W. Gomulicki

MIECZ I ŁOKIEĆ

II

ST. FRANCIS COLLEGE
ATHOL SPRINGS, N.Y.

Teofil

WIKTOR GOMULICKI 1850-1919

MIECZ I ŁOKIEĆ

POWIEŚĆ Z WIEKU XVII

TOM II

WYDANIE NOWE

BEZPŁATNY DODATEK DLA PRENUMERATORÓW TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

CZĘŚĆ TRZECIA.

HANUSIA.

Był maj 1617-go roku.

Ciepły, błękitno-złocisty poranek rozweselił i odmłodził Starą Warszawę.

Błyszczały w słońcu czoła wyniosłych, świeżo wymalowanych i wyzłoconych, kamienic. Niektóre, po wielkim pożarze były wybudowane na nowo, *a fundamentis,* inne podźwignione «z popiołów», *ex cineribus.* O jednem i drugiem głosiły napisy na świeżych tablicach nad furtami.

Rynek Staromiejski, dziś szary, spłowiały, był wówczas pełen blasków i kolorów. Lśniły wpuszczone w mur i obrzeżające wejścia marmury; płonęło złoto na kamienicy Baryczkowskiej, na posążkach ustawionych na dachach, we wnęki wsuniętych; połyskiwały metalowe i kamienne godła — czerwienił się nawet bruk, kostkami granitowemi, pospołu z cegłą wyłożony.

Wiosna powlokła ciepłą, złotawą barwą nawet stary mur obronny, od kilkowiekowej «patyny» poczerniały. Z jego szczelin wyrastały

tu i owdzie długie trawy, miękkie łodygi pnących się roślin — nawet wątłe gałązki zasianych wiatrem brzozek i topolek.

Wszystko wyglądało weselnie...

Pomimo dnia powszedniego, kramnice były zamknięte. Nikt też nie kupczył pod niebem otwartem, przy stolikach przenośnych i na chodnikach pod ścianami, co nazywano: «na treciech». I przechodniów niewielu się widziało.

Było widoczne, że Stara Warszawa święci dzień uroczysty — choć tego dnia kalendarz pomiędzy świętami nie wymieniał. Nie należało to święto do kościelnych; nie należało nawet do parafialnych. Było urzędowe — «magistrackie».

Owego dnia miały się odbyć w Warszawie wybory nowego burmistrza. Spóźniły się w tym roku; zwykle dopełniano ich w ciągu stycznia.

Burmistrz był pierwszą osobą w tej maleńkiej respublice handlowo-rękodzielniczej, która zależała od króla, niekiedy od marszałka, ale w sprawach wewnętrznych, najdonioślejszych, rządziła się samoistnie. W burmistrzu ona miała jednocześnie: ojca, sędziego, adwokata, doradcę, reprezentanta. Pominąwszy różnice polityczne i społeczne, które dzieliły Wenecyę od Warszawy, można powiedzieć, że burmistrz był dla drugiej tem samem, czem dla pierwszej doża.

Wybory spóźniły się, gdyż do ostatniej chwili nie wiedziano, czy na wysokiem stanowisku ze-

chce pozostać burmistrz dotychczasowy: Jan Klemens z Radziwia, lekarz królewski. Jego uczoność i odrębność stanowa ciążyły cokolwiek mieszczaństwu — nie śmiano go wszakże tykać, gdyż miał za sobą dwór i Jezuitów. On sam wreszcie trudności usunął, oświadczając rajcom, że pragnie ustąpić.

To pierwsze, poufne oświadczenie zostało powtórzone *coram populi* (właściwie tylko w obliczu «posesyonatów»), w przededniu wyborów, w głównej izbie Ratusza.

Wczoraj właśnie, w godzinach rannych, koło radzieckie i ławnicze, oraz najdostojniejsze z pomiędzy wyborców persony, zostały wezwane *per pulsum campanae* («przez uderzenie dzwona» — jak tego wymagał regulamin) na Ratusz, dla wysłuchania ustępującego burmistrza.

Ludowi wezwanie otrąbiono na czterech rogach Rynku.

Około południa wielki tłum zebrał się w starej siedzibie władzy miejskiej. Do izby głównej, zwanej «sądową», wpuszczono tylko członków magistratu, «starszych», czyli «cechmistrzów» zgromadzeń rzemieślniczych, oraz obywateli, posiadających nieruchomości. Reszta pozostała w izbach dolnych — zatłoczyła sienie i schody.

Jan Klemens, z przydomkiem «z Radziwia» — co jego kmiece pochodzenie ujawniało — przemówił do zebranych po łacinie.

Dziękował towarzyszom urzędu za pomoc, obywatelom za uległość, cechmistrzom za doskonalenie rzemiosł, które obok handlu, stanowią główne miast i mieszczan bogactwo. Ostatnim był prawie wdzięczny, że zajmują się pracą trudną i upośledzoną, do której szlachta i męże uczeni nie są sposobni...

Jeśli nie słowa, to sam ton przemowy wskazywał, że ustępujący burmistrz nie jest «kość z kości» mieszczanin. Nawet i jego łacina była jakaś sztuczna, książkowa, apteką i szpitalem zalatująca...

Orędzie zakończyło się przypomnieniem, że nazajutrz o dziewiątej zrana i starsi i cały *populus* zgromadzić się mają u Fary. Odprawi się tam nabożeństwo uroczyste na intencyę szczęśliwych wyborów.

To był właśnie powód, dla którego kramnice były zamknięte, ulice opustoszałe, a całe śródmieście miało postać odświętną.

Fara, choć potężna i przestronna — przestronniejsza, niż teraz, bo posiadająca kaplic kilka, dziś już nieistniejących — ledwie pomieścić mogła zgromadzone mieszczaństwo.

U ołtarza stał biskup; na chórze grała kapela królewska; śpiewali królewscy śpiewacy; huczał organ, dzwoniły dzwonki, dym kadzideł wisiał w powietrzu, jak obłok niebieski. W środku nabożeństwa wstąpił na kazalnicę ksiądz

Baryczka, umyślnie wezwany, jako prawe dziecko *Antiquae Civitatis Varsoviae,* jako odrośl starego rodu mieszczańskiego. Mówił piękne rzeczy o powadze i posłannictwie mieszczaństwa; przypominał ojców, dziadów, pradziadów, co w lochach farskich, pod stopami zebranego tłumu, snem kamiennym spali; nakłaniał do pracy ciężkiej, nieprzerwanej, która, choć niedoceniana, często nawet lekceważona, wyjść musi na korzyść Rzeczypospolitej. A ta Rzeczpospolita, po dwakroć nieszczęsna, nękana z zewnątrz, wewnątrz na stronnictwa rozdarta, cierpi dziś równo od wrogów swych i od synów...

Głośne westchnienia słuchaczów towarzyszyły mówcy. Co chwil parę odzywał się jęk — niekiedy łkanie stłumione wybuchało.

Wreszcie ksiądz ukląkł i odmawiać jął modlitwę do Ducha Świętego — a cały kościół powtarzał ją za nim chórem ogromnym.

Duch Święty miał dać wyborcom natchnienie...

Poważny i wzruszający był widok magistratu, z ustępującym burmistrzem na czele, klęczącego przez cały «Kanon» przed wielkim ołtarzem. Dostojne, prawie bez wyjątku siwe głowy chyliły się w żarliwej modlitwie aż do kamiennej posadzki. W twarzach wyrażających skupienie wewnętrzne, w oczach do góry wzniesionych, znać było, jak poważnie ci starcy zadanie swe pojmują.

Znamię solenne nosiła cała publiczna a częściowo i domowa działalność ówczesnego mieszczaństwa. Więcej bywało w niem prawdziwej powagi i dostojności, niż w magnatach, układających teatralne miny i ruchy, pożyczających siły od szabel wiszących u pasa a wspaniałości od guzów dyamentowych, spinających obłożone sobolami aksamity...

Dwaj «gminni» obchodzili kościół z puszkami, zbierając ofiary dla celebransa. Gdy je potem wysypano na głęboką misę cynową, utworzyły stertę błyszczącą, srebrem i złotem gęsto przesianą.

Na srebrze i złocie mieszczanom nie zbywało. Mieli w rękach dwie najpotężniejsze dźwignie ekonomiczne: handel i rzemiosła. Skromni i oszczędni, gromadzili skarby. Na rękę też im była *lex sumptuaria*, ograniczająca zbytek w strojach. Bez niej młode mieszczaneczki opróżniałyby ojcowskie i mężowskie sepety na klejnoty, złotogłowy, koronki, kosztowne pióra i futra.

W dwóch tylko wypadkach skarbce mieszczańskie otwierały się na całą szerokość: gdy Rzeczpospolita była w potrzebie i gdy przypadały publiczne albo rodzinne uroczystości.

II.

Zahuczały dzwony Świętojańskie w cieśninie wązkiej uliczki; rozlały morze dźwięków na miasto senne, ciche, wyczekujące...

— Ojcowie idą!... — rzucił dowódca pachołków miejskich, trzymających straż przy Ratuszu.

Drabanci potrząsnęli dardami, rozsunęli się, utworzyli szpaler.

Błyszczała w słońcu ich broń, błyszczały mundury błękitne, blachy na piersiach, czubate, futrem obłożone kołpaki.

Cały Ratusz stał w blaskach. Na szczycie, pozłacana syrena wykręcała się z lekkim wiatrem, skrzypiąc wesoło. U wejścia, białe, kamienne anioły zdawały się z szumem radosnym rozsuwać skrzydła, wystawiając przed się tablice z herbami Korony, Litwy, Warszawy, z przewiązanym wstęgą «Snopkiem» Wazów, zapowiadającym krajowi dostatek, obfitość...

Przy muzyce dzwonów opuścił świątynię szlachetny *magistratus*, mając na czele rajców siwowłosych. Za rajcami, ściśnioną kolumną ruszyli ławnicy i gminni; dalej obywatele, z których każdy albo już pełnił urząd miejski, albo się do pełnienia go sposobił — wreszcie lud miejski, pełen rozmaitości w typach, ubiorze, obliczu.

Wszyscy szli w milczeniu głębokiem; nawet sąsiad do sąsiada nie przemówił.

W orszaku rajców budził zdziwienie i współczucie widok niezwykły. Pomiędzy białobrodymi starcami, jak pierwiosnek wśród śniegów, kwitła świeża, może szesnastoletnia dzieweczka. Jeden ze starców wspierał się na jej ramieniu. Był to ojciec dzieweczki: niedawno światu przywrócony Melchior Drewno.

Stary mieszczanin krokiem nie mógł ruszyć bez swej Hanusi. Ile razy znalazł się w obcem miejscu bez niej, zapadał w tęskność — milknął, martwiał. Wielka cześć, jaką żywiło dla Drewny całe koło radzieckie, sprawiła, że — niebywałym w dziejach magistrackich przykładem — pozwolono mu przybywać na posiedzenia w towarzystwie córki.

Zgoła inaczej on teraz wyglądał. Twarz płonęła rumieńcem, oczy błyszczały — był podawnemu energiczny, przedsiębiorczy, bystry. Chwilami tylko nagły dreszcz go wstrząsał — twarz bladła, oczy gasły...

Wówczas jedno spojrzenie czarnych oczął Hanusi, jeden uścisk jej białej, drobnej rączki przywracały mu pogodę.

Wzdłuż schodów ratuszowych, wiodących na piętro, ciągnęła się jakby marmurowa kronika Starej Warszawy szereg tablic, na których literami złotemi wyryto najważniejsze zdarzenia

z dziejów miasta. Po tych schodach wkroczył poważny *magistratus* do izby «radzieckiej».

Choć izba była przestronna, zrobiło się tłoczno. Zydle rzeźbione stały tu przy wszystkich ścianach i dokoła stołu, kobiercem nakrytego — nikt wszakże nie siadał. Wszyscy stali, nie tracąc solenności, milczącemi usty myśli tajone, jakby na kłódkę, zamykając.

Hanusi podsunięto ławeczkę. Spojrzała na ojca, a widząc, że siadać nie myśli, nie usiadła...

Ze ścian patrzyły na poważne grono dostojne oblicza monarchów polskich. Przegradzały je szafy i police dębowe z księgami, w skórę oprawionemi. Od powały zwieszał się świecznik duży, z ramionami dziwacznie wyginanemi, które wyrastały z łona rzeźbionej syreny.

Gdy tak stali wszyscy, wyczekując, uchyliły się w głębi ciężkie drzwi dębowe. Wysunęła się z nich prawie zupełnie łysa, apostolska głowa starego Baryczki.

— Panów ojców prosim — panów starszych...

Tłum rozsunął się; wystąpili naprzód rajcowie. Był w ich liczbie Szlichtyng, był Szeliga, który pisał się «Scheliga», był Długosz, był Łyszcz, zwany także «Liść» lub «List», był Blumhoff *vel* Plumhof, był Orlemesz, spolszczony z Horlemesa, był Dzianot, przerobiony z Gianotiego, byli: Kociszewski, Raczek, Czerski...

Jeden z pierwszych wysunął się, a raczej wysunięty został, z oznakami czci ogólnej — Drewno.

Rajcowie skupili się, mając na czele Szeligę oraz Drewnę z nieodstępną Hanusią.

Drzwi otworzyły się na całą szerz. Oni weszli do środka, jeden po drugim, dostojnym krokiem patrycyuszów. Gdy już ostatni próg przestąpił, drzwi zamknęły się; przy drzwiach stanął drabant z dardą.

Cała «ławica» czyli koło ławnicze, wszyscy «gminni» i «posesorowie» pozostali w izbie radzieckiej. Teraz dopiero na zydlach i ławach zasiedli; zawiązała się rozmowa półgłośna.

Zwykle obiór burmistrza był poprzedzany bezpośrednio przez wybory ławników i rajców. W owym roku odstąpiono z konieczności od zwyczaju. *Scabini* i *consules* byli obrani jeszcze w styczniu — do obrania pozostawał tylko burmistrz.

Obiorcami burmistrza mogli byli być wyłącznie rajcowie. Ci męże, pełni powagi, rozsądku, oraz miłości kraju i miasta, nigdy nie czynili wyboru złego — chyba, że on im został z góry, od dworu, narzucony. Dwie tylko pobudki głosem ich kierowały: potrzeba publiczna i zasługi towarzysza. Prócz tego, słuchali — natchnienia.

Izba, do której weszli rajcowie, zwała się «sądowa». Nieco szczuplejsza od poprzedniej, tchnęła większą jeszcze powagą. Tu wisiały na

ścianach poczerniałe wiekiem wizerunki książąt Mazowieckich; tu na miejscu naczelnem stał bronzowy posąg Sprawiedliwości, z oczyma zawiązanemi, z mieczem w jednej ręce, z wagą w drugiej.

W głębi, niezbyt duże, blachą żelazną okute drzwi wiodły do skarbca. Oprócz pieniędzy magistrackich przechowywano w nim najważniejsze przywileje i nadania miejskie, spisane na pergaminach, z pieczęciami książąt i królów.

Niestety! mimo tak obronnego zamknięcia, akt erekcyjny Starej Warszawy, będący metryką naszego miasta — przepadł.

Starcy zasiedli na krzesłach ustawionych w półkole. Miejsc było tyle, ilu rajców. Przed nimi, jakby w ognisku wklęsłej soczewki, stało jedno krzesło niezajęte — rodzaj tronu, ciężkiego od rzeźb, które go oplatały festonami kwiatów i owoców.

Było to miejsce przyszłego burmistrza.

W środku półkola zasiadł stary Baryczka; na końcu prawego skrzydła Szeliga, na końcu lewego, najbliżej okna — Drewno.

Przy krześle Drewny ustawiono nizką ławeczkę dla Hanusi. Starzec trzymał rękę na jej główce, chylącej się przed nim z pokorą.

Jasny, wesoły promień wpadł oknem i nie zatrzymując się w głębokiej wnęce, rzucał się na zbliżone ku sobie głowy starca i dziewczęcia.

Poważny, prawie biblijny urok tchnął od tej grupy, słońcem ozłoconej.

Obiór burmistrza tem się różnił od innych, że przy nim nie za pomocą «kresek», lecz głosami objawiano życzenie większości. Jeszcze w przededniu wyborów to życzenie, choć głośno niewypowiedziane, było wszystkim wiadome. Miano głosować na Jana Szeligę.

Za kandydatem wszystko przemawiało; wiek stateczny, ród znany, od kilku pokoleń w Starej Warszawie osiadły, wielki rozum kupiecki, w częstych wyprawach na obczyznę zaostrzony, doświadczenie ujawnione w kilkoletniem sprawowaniu urzędów radzieckich, wreszcie znaczne bogactwo.

Wśród ciszy zupełnej powstał Baryczka — z przemową, zwyczajem uświęconą, do towarzyszów się zwrócił. Upomniał w krótkich słowach, że wybory mają być aktem uczuć obywatelskich, niezmąconych żadną postronną, prywatną namiętnością.

Potem podniósł się z miejsca ustępujący burmistrz. Trzymał w ręce dużą księgę, w której były spisane: prawo o wyborach, oraz przywileje miasta. Jedno i drugie dał do głośnego odczytania Długoszowi, siedzącemu tuż przy Baryczce.

Wszystkie formalności były już dopełnione. Nastała głęboka cisza.

Starcy, ust nie otwierając, porozumiewali się oczami.

Nagle pociągnęło ich wszystkich słońce — pociągnęła srebrna głowa Drewny, odbijająca malowniczo od kruczych warkoczów Hanusiowych...

Całe grono przebiegła, jakby iskra piorunowa. Poczuli natchnienie, o które przed chwilą Ducha Świętego błagali. Serca ich, bijące zawsze zgodnie, szybko się porozumiały.

Cichym szmerem przebiegło przez izbę nazwisko: Drewno...

I zaraz kilku najsędziwszych, z miejsc postawszy, wyrzekło dobitnie:

— Oto Bóg natchnienie nam zesłał. Drewnę mieć chcemy burmistrzem!

Inni podnieśli się również, powtarzając na różne głosy:

— Drewno niech burmistrzuje... Drewno! Drewno!

Głośniej od innych wywoływał to nazwisko Szeliga. A Baryczka mówił do towarzyszów:

— Zaprawdę, on z nas najrozumniejszy, bowiem posiadł mądrość boleści...

Posunęli się całą gromadą do starca, który siedział w zamyśleniu, jakby nie wiedząc, że to o nim mowa. Pod ręce go ujęli, wywiedli na środek — na tronie burmistrzowskim posadzili.

Ocknął się wówczas, rumieńcem silnym za-

płonął. Głowę pochyliwszy, głosem cichym wyszeptał podziękowanie.

Podano mu krucyfiks. Osunął się na kamienną posadzkę, ukląkł, i dwa palce na ramionach krzyża położywszy, donośniej już, rotę przysięgi odmawiał.

— Ja, Melchior Drewno, zdawien-dawna naszej Starej Warszawy obywatel, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, Najjaśniejszemu Panu Królowi Jegomości i też wszystkiemu Pospólstwu miasta tego: sławy, pożytku, porządku, praw i wolności nadanych bronić, jako najlepiej będę umiał i mógł, z poradą i pomocą Rady. Sprawiedliwość równą wszystkim, tak bogatym, jako i ubogim, sąsiadom i gościom czynić, dobrych miłując i łaskawie z nimi się obchodząc, a złych, według ich winy, karząc. Kościołów i szpitali doglądać, sierót i wdów bronić. A tego wszystkiego nie zaniedbam i nie opuszczę dla przyjaźni, bojaźni, darów, nienawiści, gniewu — w czem mi dopomóż Boże w Trójcy Świętej jedyny i wszyscy Święci Jego. Amen.

— Amen! — powtórzył chór starców, jak jeden mąż.

Po przysiędze posunęli się wszyscy do Drewny, aby go z kolan podźwignąć, na miejscu honorowem posadzić.

Do siedzącego przystąpił Klemens z Radzi-

wia, burmistrz ustępujący, i wręczył mu uroczyście klucze miasta.

Baryczka zdjął ze ściany łokieć okuty — trzykrotnie uderzył nim we drzwi zamknięte. Stojący z drugiej strony drabant otworzył je na całą szerokość.

Starzec stanął w progu, górując nad tłumem w izbie radzieckiej, izba bowiem sądowa była o kilka schodków wyżej położona.

— Szlachetnemu i dostojnemu Kołu Ławniczemu, dwudziestu Mężom Gminnym i całej zwierzchości miasta Starej Warszawy! — donośnym głosem zawołał. — Oto z mądrej rozwagi ichmościów panów Rajców i z natchnienia Bożego Burmistrzem naszym obrany jest jegomość pan Melchior Drewno, mąż uczciwy, rozgłośny, uczony. Niech żyje!

— Niech żyje! — powtórzyła okrzyk izba cała.

Dwóch rajców podprowadziło Drewnę do progu. On się kłaniał — tamci znowu krzyczeli.

Potem Drewno poszukał oczami Hanusi. Panienka zbliżyła się do ojca, który był widocznie osłabiony wzruszeniem. Pochylił się do niej, słów kilka do ucha jej szepnął.

Blade, czarnowłose dziewczę, oczy spuszczając, wyszczebiotało:

— Ojciec czyni mnie tłómaczką życzeń swoich — i zwyczajem starodawnym wszystkich

ichmościów panów zaprasza do siebie na bankiet, dnia pojutrzejszego.

Na tem zakończył się obiór burmistrza Starej Warszawy w roku Pańskim tysiącznym sześćsetnym siedmnastym.

III.

W dużej, wązkiej izbie z powałą ostrołukową nie czerniał już pośrodku wypłowiały falendysz. Zniknęły też ze ścian czarne opony.

Było jasno, wesoło. Potoki światła, płynące z mnóstwa świec woskowych, odbijały się od pogodnych barw gobelinu, na ścianach rozwieszonego. Gobelin przedstawiał «Wiosnę». Pośród drzew, okrytych młodą zielenią, na łące, której trawa przypominała szmaragdowy, mieniący się w słońcu aksamit, nad strumykiem, literalnie «srebrzystym», bo niemi srebrnemi wyhaftowanym — snuły się dziewczęta w lekkich, powłóczystych szatach, zrywając lilie, róże, fiołki.

Przez komnatę przewijała się wstęga biesiadników, błyszcząca podobnymi gobelinowi kolorami. Zwłaszcza niewiasty wyglądały jak kwiaty.

Bogaci mieszczanie we własnych domach lekceważyli ustawę przeciw zbytkom. Tu już nie tylko atłas, aksamit i złotogłów, lecz i klejnoty drogocenne iskrzyły się w łunie licznych

świeczników. Mieszczaneczki były rade pochwalić się skarbami rodzinnymi i roztaczały bogactwo swe, jak pawie lśniące ogony.

Jedynie dziewczęta i matrony blasku od klejnotów nie pożyczały. Pierwszym wystarczały wianki z róż na rozpuszczonych włosach; drugim — wdowie, półżałobne czepce.

Przez wązką komnatę przepływały coraz nowe fale gości: młodzież, ludzie dojrzali i starcy. Wszyscy zatrzymywali się przed portretem Hanusiowym przedziwnej piękności; wszyscy oglądali z zachwytem wspaniałe, jedwabiem wyszywane «szpalery», chwaląc je w głos i wartość ich — zwyczajem kupieckim — na dukaty obliczając. W całej Starej Warszawie jeden tylko Drewno «Bogacz» mógł się był na zbytek taki zdobyć. Znawcy porównywali «Wiosnę» z «Potopem», dziedzicznym gobelinem królów polskich i twierdzili, że ostatniemu w niczem nie ustępuje.

Tą «Wiosną» haftowaną uczcił Melchior wiosnę żywą, która, w osobie Hanusi, w dom jego wstąpiła.

Do izby portretowej, którą nazywano teraz «wiosenną», przytykały z jednej i drugiej strony komnaty przestronne, pełne światła, sprzętów zbytkownych, wydobytego z ukrycia i rozkładającego się z zadowoleniem bogactwa.

W jednej komnacie służba przybierała stoły

do bankietu. Przewodził tu i rozkazy wydawał ochmistrz dworu królewskiego, Włoch napół spolszczony, który za grube pieniądze zgodził się zestąpić z wyżyn zamkowych na padół mieszczański. Ale i on, to rozszerzał oczy z podziwu, to je mrużył z zadowolenia, widząc, jak niezmierną mnogość kryształów, farfuru, naczyń srebrnych, pozłacanych i szczerozłotych wydobywano z wielkich szaf gdańskich, stojących pod wszystkiemi ścianami.

W tej komnacie przygotowywano miejsca dla gości najdostojniejszych, dla patrycyatu staromiejskiego i dla niewiast. Młodzież męska oraz mniejsi personaci bankietować mieli w izbie obocznej, która zresztą nie była od tej ani szczuplejsza ani uboższa.

Po stronie przeciwnej — tańczono. Kapela przygrywała hucznie i skocznie. Ale tylko najniecierpliwsi szli w pląsy. Stateczni i światowych zwyczajów świadomsi chowali ochotę na później.

Gościnność domy rozszerza — tu jednak nie wystarczała. Domy w Starej Warszawie były przeważnie wązkie, rozrastające się bardziej w wyż i wzdłuż, niż w szerz. Kamienica Drewnowska należała do największych; i w niej wszakże na jednem piętrze tak wielki tłum gości nie pomieściłby się wygodnie. Szczęściem, do Drewny należał także dom sąsiedni. W łączącym oba domy murze wybito duży otwór,

ubrano go festonami kosztownego adamaszku i z dwojga średniej wielkości mieszkań zrobiono jedno bardzo przestronne.

Wszystkie okna od czoła stały otworem. Prócz wrzawy zmieszanych rozmów, brzęku srebra i szkła, hucznej melodyi «regałów», łały się z nich na cichą, senną ulicę fale zapachów mocnych, odurzających, w których się podówczas nad miarę kochano. Oba domy tchnęły nimi, bo nawet podłoga w sieniach i stopnie schodów były skropione wodą kamforową.

Milczące od tak dawna mury zdawały się wstrząsać dreszczami rozkosznymi. Jak pod ciepłem marcowego słońca wychodzi ze ścian «zamróz» zimowy, tak z tych murów sędziwych występowały na wierzch i ulatniały się zarazki nudy, melancholii, martwoty...

Było wszakże w tem ognisku wybuchliwej wesołości jedno miejsce, gdzie nie śmiano przemawiać inaczej, niż szeptem, gdzie zachowywano się statecznie, powściągliwie, prawie jak w kościele.

Tem miejscem była nieco wgłębiona część izby gotyckiej, gdzie wisiał portret Hanusi. Przed portretem zawsze ktoś stał lub siedział, przyczem po raz tysiączny powtarzali jedni drugim historyę cudownego powrotu dzieweczki.

Z dnia katastrofy Hanusia zachowała tylko pamięć wielkiego blasku i gorąca, a potem głę-

bokiej ciemności i przykrego chłodu. Zapamiętała niewyraźnie i to jeszcze, że ją wieziono przez czas długi, dniami i nocami, przez różne wsie i miasta. Rozmaitość wrażeń osuszyła prędko jej łzy.

U kresu długiej podróży znajdowało się miejsce bardzo ciche i bardzo piękne. Niezliczone białe korytarze, zaciszne białe komnatki, wielkie białe izby z oknami kolorowemi... Ta białość przeczysta mieszała się z zielenią i kwiecistością licznych ogrodów, z fioletem gór, wyrastających ścianą zębatą na zachodzie.

W ogrodzie, na korytarzach, w komnatkach, w izbach — młode i starsze niewiasty, ubrane szaro, jednostajnie, przemawiały głosem cichym, słodkim, ujmującym.

Powietrze było przejęte kadzidłem, drżące od śpiewu chóralnego, od organowych akordów.

Później dopiero dowiedziała się Hanusia, że jest w klasztorze i że ten klasztor leży daleko, za Krakowem, u samego podnóża Karpat.

Gdy była nieco starsza, objawiono jej nadto, że z woli opiekuna ma zostać zakonnicą.

Tego opiekuna, który ją przywiózł i w klasztorze zostawił, nazywano «doktorem». Znała go i wielce poważała sama ksieni. Oświadczył, że Hanusia jest sierotą zupełną i wypłacił odrazu jej posag zakonny. Potem odjechał i przez lata całe nie pokazywał się w klasztorze.

Dziewczątko wyrastało jak lilia ogrodowa, której przeznaczeniem ozdobić kiedyś ołtarz Bogarodzicy. Żyła jedynie modlitwą, ciszą, zachwytem religijnym. Wszystkiem był dla niej klasztor. Za murami klasztornymi widziała świat pełen przewrotności, kłamstwa, grzechu. Nie tęskniła do tego świata — owszem, drżała przed nim.

Pamięć lat dziecięcych zupełnie w niej zamarła. Myślała często, że jej rodzice nigdy naprawdę nie istnieli. Może ją przyniósł i na stopniach ołtarza złożył anioł srebrnoskrzydły? Może spadła z chmurki białej, przepływającej nad klasztorem? Może obłoczek kadzidła, tchnienie róż klasztornych, dźwięk organu, światło gromnic ucieleśniły się pod jej postacią?

Znała już wszystkie praktyki zakonne. Śpiewała pieśni łacińskie i rozczytywała się w martyrologiach. Nie obcy był jej nawet ból, jaki sprawia włosiennica i dyscyplina.

Z żarliwością, budzącą podziw w starszych towarzyszkach, umartwiała ciało, podnosiła ducha. Z własnej ochoty znosiła posty surowe, sypiała na kamiennej posadzce — próbowała nawet sypiać w trumnie.

Dzień jej obłóczyn był już naznaczony. Ale właśnie, gdy czyniono do tej uroczystości przygotowania, zjawił się niespodzianie opiekun i zażądał wydania dzieweczki.

Ponieważ nie upominał się o wiano zakonne, «matka wielebna» opozycyi nie zakładała.

Hanusia powróciła do «doktora», który wydał się jej obcym, jakby po raz pierwszy widzianym. Ale nie czuła przed nim trwogi najmniejszej. On jej powiedział, że rodzice odnaleźli się i że ją do nich powiezie.

Dzieweczce żal było obecności, ale i przyszłość ją zaciekawiała.

Pojechali do Krakowa, gdzie znakomity artysta odmalował jej portret w ubiorze klasztornym.

Z Krakowa udali się do Warszawy.

Ponieważ nagła radość z odzyskanego dziecka mogła była jej ojca zabić — pokazano mu ją najpierw na obrazie.

Potem, gdy jego oczy do obrazu nawykły, a umysł czytaniem ksiąg odpowiednich dość się wzmocnił, «doktór» zaprowadził ją w porze wieczornej do drzwi domu rodzicielskiego.

— Wejdź — rzekł do niej — śmiało a skromnie. Przed obrazem chwilę postój, potem przystąp do swego ojca i ucałuj go statecznie, jakbyś po witała po powrocie z krótkiej przechadzki.

Powiedziawszy to, ów człowiek odszedł i więcej się nie pokazał...

Hanusia uczyniła, co jej zlecono.

. . . . . .

Wszyscy, słuchając opowieści, byli wzruszeni. Ale nikogo ona tak do głębi nie wstrząsnęła, jak

pewnego jasnowłosego młodzieńca, który widocznie po raz pierwszy ją słyszał.

Wśród tłumu strojnego ten młodzieniec wyróżniał się na podziw skromnym ubiorem. Nie miał na sobie żadnego klejnotu; nie miał nawet złotej lub choćby srebrnej zapinki. Odzież jego była czarna, pół-żałobna.

Twarz młodzieńca pokrywał smutek. Przygasłe oczy, zapadłe policzki mówiły o przebytych niedawno cierpieniach. Było widoczne, że zabawy ogólnej nie dzieli, że w tłumie biesiadującym znalazł się z przymusu.

A jednak, gdyby stopniem bogactwa szczęście ludzkie mierzyć, ten młodzian w domu Drewny należałby do najszczęśliwszych — może byłby najszczęśliwszy...

Wszakże to był Krzyś Dąbek, główny spadkobierca zmarłego przed rokiem Kawki, dziedzic jego kramu i kamienicy, starszy «legier» potężnego domu Burnbacha, a co najważniejsze: tegoż Burnbacha syn przybrany i przyszły dziedzic — choć już nie przyszły zięć, niestety.

Obu im popsuła szyki grasująca w Gdańsku minionej jesieni epidemia czarnej ospy. Ona to, na kilka tygodni przed ziemskimi ślubami, zabrała szczebiotliwą Ketchen na trwalsze z niebem zamężcie.

IV.

W dwóch wielkich izbach stołowych dwie kapele przygrywały naprzemian ucztującym. Gdy jedna zmilkła, natychmiast odzywała się druga. Mury i okna na chwilę drżeć od hucznej muzyki nie przestawały.

Biesiadnicy, choć na starszyznę i młodzież podzieleni i przy dwóch stołach siedzący, mieli tęż samą wygodę. Pod dachem Drewny nikt z gości nie był pośledni.

W izbie wyższej ucztującymi zajmował się sam Melchior z żoną; izba niższa była pod opieką brata Melchiorowego, Łukasza.

Oba stoły były zastawione złotem, srebrem i kryształami — cyny nawet na szarym końcu nie widziano. Olbrzymie serwisy zajmowały środek każdego stołu. Serwis na stole górnym wyobrażał świątynię z kolumnami alabastrowemi. Nakrywała ją kopuła złota w karpią łuskę; nad kopułą roztaczał białe skrzydła wielki srebrny orzeł ze «Snopkiem» królewskim w dzióbie. Pomiędzy kolumnami stały ofiarnicze trójnogi szczerozłote; na nich kryształowe naczyńka na sól, cukier, pieprz, imbir i różne tłuczone korzenie. Wielkie, również kryształowe amfory mieściły w sobie ocet i oliwę. Podstawę serwisu, na lwich łapach ze srebra opartą, stanowiła olbrzymia tafla szkła zwierciadlanego.

Serwis na stole niższym był nieco skromniejszy. Cały srebrny przedstawiał altanę, której słupki schodziły się u góry, służąc za podstawę dużemu koszowi, pełnemu pomarańcz i cytryn. I ten serwis miał kopułę, na której, zamiast orła, królowała Syrena.

Drewno «Bogacz», a bardziej jeszcze jego dumna żona, zapragnęli owego dnia pokazać światu swe wszystkie skarby. Była w tem niezawodnie próżność, ale była przedewszystkiem chęć ucieszenia siebie i innych widokiem rzeczy pięknych, kosztownych, trudem wielu lat zgromadzonych. Więc, zwyczajem owoczesnych krezusów, pootwierano drzwi wszystkich szaf napełnionych drogocennemi naczyniami. Prócz tego na schodkach, umyślnie w głębi obu izb ustawionych, porozkładano wielkie misy, dzbany, puhary, talerze oraz cacka przeróżne, wszystko z drogiego kruszcu, wielce misternej roboty.

Drewno pewnie połowę fortuny w te «porządki» włożył — a fortuna jego była niezmierna.

Gdy oczy opatrywały i szacowały wystawione na pokaz bogactwa, myśl zwracała się mimowoli ku tej, co w przyszłości będzie ich dziedziczką. Ona była właściwą bohaterką dnia. Rodzice synów dorosłych biedzili się nad pytaniem: komu się dostanie ten kąsek królewski, ta córka jedyna bogacza nad bogacze?

Hanusia tymczasem siedziała cicha, zamy-

ślona, najzupełniej obca całemu widowisku, wszystkim żądzom, projektom, wyrachowaniom.

Śliczna, bladziuchna, ubrana biało, miała również białe na czarnych włosach róże. Inne dziewczęta zwieńczyły się fiołkami, różami ponsowemi — jej nawet do kwiatków różowych matka namówić nie mogła.

Czemś klasztornem i czemś żałobnem tchnęła smukła, świetlana postać dzieweczki.

W tłumie biesiadniczym niejedne oczy iskrzyły się, patrząc na Hanusię. Ale nikt pewnie tak pilnej i stałej nie miał na nią uwagi, jak gość dostojny, posadzony na pierwszem zaraz miejscu po doktorze Klemensie z Radziwia, któremu prym w zebraniu należał się *ex officio*.

Obecność tego gościa niejednegoby zdziwiła. Wszakże to był we własnej osobie imć pan Zboiński, posesor z Węgrzynowa, niedawny adwersarz Melchiora Drewny!

Skąd on wziął się na tem miejscu? Jakie prawa zdobył do attencyi?

Nie animusz rycerski dziwy te sprawił, lecz — dyplomacya. Nie napróżno stary szlachcic spędził długie lata w służbie Boboli...

Zaledwie doszła do Węgrzynowa wieść o zjawieniu się Hanusi i ocknięciu Melchiora, natychmiast Zboiński zrozumiał, że sprawie inny obrót nadać należy.

Po krótkim namyśle, rozłożone na pulpitach

foliały i kwartanty pozamykał, z szuflad powyciągał uzyskane przeciw Drewnie kondemnaty, oraz wszelkie akta procesowe — związał to wszystko razem, ubrał się odświętnie i dosiadłszy konia, z pakunkiem swym ruszył do Starej Warszawy.

Konia zostawił w gospodzie, z papierami do Drewnów poszedł.

— Bóg was nawiedził, moi państwo — wyrzekł po przywitaniu — i mnie z wami po Bożemu poczynać wypada.

Rozwinął papiery, pokazał plik kondemnat.

— Co ziemskie — ze wzgardą dodał — niech idzie na ziemię!

I cały zwitek pod stół rzucił.

Potem otworzył szeroko ramiona, uścisnął Drewnę, jak przyjaciela, Drewnowej końce palców ucałował, mówiąc, że oboje uważa za świętych — bo tylko świętym Bóg cuda ukazuje.

Wreszcie poprosił, żeby pokazano mu Hanusię. Na czole dzieweczki złożył ojcowski pocałunek; oświadczył, że do obojga rodziców uderzająco podobna — żądał, by go uważała za przyjaciela.

Zakończył te wszystkie kordyalności pytaniem, czy kochani sąsiedzi pozwolą, aby im syna swego przedstawił?

Rumieniec oblał twarz Melchiorowej.

— Synaczek waszej wielmożności — rzekła

rozpromieniona — spotka się pod dachem naszym z równą, jak jego ociec, przyjaźnią i estymą.

Bezpośredniem tych odwiedzin następstwem była obecność obu Zboińskich na bankiecie. Ojciec królował w izbie górnej między starszyzną; synowi dostało się miejsce nieco pośledniejsze wśród młodzieży.

Wyróżnienie starego szlachcica było dziełem pani Melchiorowej. Pełna próżności niewiasta, dostawszy w dom herbowego, czuła się tak szczęśliwą, jakby «Pana Boga za nogi chwyciła». Było między mieszczanami wielu znacznie przewyższających wartością Bobolinego poufnika — Drewnowa przecie uparła się wywyższyć go i postawiła na swojem.

Za to przy drugim stole Melchior okazał się samowładnym. Młody Zboiński posadzony został przezeń nietylko po wszystkich «gminnych», lecz i po obu braciach Dąbkach.

Zżymnął się na to, zębami zgrzytnął, oczyma zamigotał. Przez większą część uczty milczał topiąc wściekłość w kielichu. Potem zjadliwymi docinkami jął drażnić Krzysia.

Ale zatrute strzałki nie szkodziły młodemu mieszczaninowi. Nastrojony poważnie, przejęty smutkiem, nie czuł ich nawet. Od dwóch dni dopiero bawił w Starej Warszawie. Przybył w sprawach zarówno swoich, jak swego przybranego ojca, który miał tu domów kilka, oraz

duże składy towarów. Zaliczony do mieszczaństwa warszawskiego, nie mógł się wymówić od uczestniczenia w uroczystościach z obiorem nowego burmistrza złączonych.

Jadł mało, nie pił wcale — z bratem swym tylko półgłośną wiódł rozmowę.

Tymczasem z każdą chwilą uczta bardziej się ożywiała. Niebawem można było powiedzieć, że bracia Dąbkowie byli jedyni z biesiadników, którym trunek głowy nie zamroczył. Poeta nie należał do tych, co za kołnierz wylewają, zwłaszcza gdy miał przed sobą wino tak wysokiej cnoty, zwykł był jednak w piciu, jak we wszystkiem, przestrzegać Horacyuszowej miary.

Drzwi przedzielające obie izby stały otworem; gwar jednej przedostawał się do drugiej; dwa potoki wesołości mieszały się ze sobą, podniecając się wzajem. Mieszczanie, zwykle trzeźwi i, jak wszyscy handlujący winem, nie łakomiący się zbytnio na nie, teraz gęsto wychylali kielichy. I to należało niejako do regulaminu obiorczego.

W górnej izbie, mimo obecności niewiast, «pełne» szły za «pełnemi», przyczem stary Zboiński uważał za obowiązek pokazywać mieszczankom, w jaki to sposób należy obchodzić się z puharem i szklenicą. Obudziło to chęć współzawodnictwa w młodszych synach Starej Warszawy. Gdy ochota wzrosła, jeden z ostatnich

pochylił się do Drewny i z uśmiechem filuternym zapytał:

— Ojcze radny! Pono nie zawadziłby «wiatraczek»?

Dosłyszał te słowa Zboiński.

— Waszmoście tak zwać musicie jakowyś fortel przy piciu? — z nietajoną ciekawością zagadnął.

W odpowiedzi Drewno skinął na jednego z usługujących, do ucha rozkaz mu poszepnął.

— Za moment — rzekł, do gościa się zwracając — waszmość ów fortel obaczysz. Jest to — skromnie dorzucił — sztuka mieszczańska; nie wiem przypadnie-li do gustu szlacheckiego?

Gdy to mówił, sługa postawił przed nim wielki srebrny puhar kształtu osobliwego. Zboiński niezmiernie osobliwości takich ciekaw, prosił, by mu dano dziwne naczynie do obejrzenia. Do samych oczu je podniósł, przyglądał mu się długo z pilnością niezwykłą.

Puhar miał kształt sporego dzwona.

Na wierzchu dzwona znajdował się nadzwyczaj misternie wyrobiony wiatrak. Z okienka wyglądały głowy: młynarza w szlafmycy i młynarki w dużym czepcu. Oboje byli tłuści, uśmiechnięci. Po schodach szedł w górę młynarczyk, uginając się pod ciężkim worem zboża. Scenka była pełna życia i humoru.

Szlachcic, przypatrzywszy się, kielich oddał.

— Figla-m ciekawy — rzekł — a dojść go nie mogę.

Więc kielich przeszedł w ręce sławetnego Raczka, który był z rajców najjowialniejszy. Ten zażądał przedewszystkiem, aby mu przyniesiono flaszę co najprzedniejszej małmazyi. Wino do kielicha wylał, potem przyłożył usta do małej rurki na brzegu puhara. Dmuchnął i zaraz skrzydła wiatraczka obracać się zaczęły z cichym furkotem. Obracający się wiatraczek podał Zboińskiemu.

— Trzeba wino wypić, zanim wiatrak obracać się przestanie.

— To potrafimy — zaśmiał się szlachcic. — Co przecie potem?

— Potem ono wypicie odzwonić.

— A czem-że?

— Czemże-by, jak nie dzwonem, co jest we środku.

— Uczyń waszmość *exemplum* — łacniej się pojmie.

Raczek gracko wywiązał się z zadania. Puściwszy w ruch wiatraczek, wino duszkiem wychylił, potem obróconym w dół kielichem potrząsnął i donośnie zadzwonił. Do dna kielicha było przytwierdzone szczerozłote serce.

«Wiatraczek» doznał ogólnego powodzenia. Wszystkich wyśmienicie zabawił.

Gdy tak «góra» rozweselała się krotochwilami, na dole zbierało się na burzę.

Wichurze nie wystarczały już docinki. Odsunął się ze stołkiem swym od stołu i nabrawszy w rękę gałek z chleba, zaczął ciskać niemi w młodszego Dąbka.

Krzyś chciał jeszcze i to w żart obrócić, ale w bracie jego, który był bardziej porywczy, zakipiał gniew.

Poeta wysunął się również ze stołkiem, zasłaniając sobą Krzysia.

— Dziw — w głos wyrzekł — że w domu sławetnego mieszczanina poczynają sobie drudzy jak w gospodzie lub na leżach obozowych.

Konrad ucha nadstawił — uchem, rzec można, zastrzygł.

— Nie bakałarzom — przez zęby mruknął — sądzić obyczaje ludzi rycerskich.

— Karcić nieobyczajnych, rzecz właśnie bakalarska — poprawił tamten.

Zamigotały czarne oczy lisowczyka.

— Zapominasz waszmość — syknął, najeżając wąsy — że mówisz do szlachcica...

Petrus Quercus zaśmiał się głośno.

— Szlachectwo bez cnoty — złyka forboty! — wyrzekł do siebie niby, tak przecie, że był usłyszany przez wszystkich najbliższych.

Wichura rzucił się na stołku, jak nożem zgnięty.

— Łyku! — wrzasnął. — Na cnotę, na klejnot mi następujesz!

Kapela w owej chwili grzmiała, głusząc słowa krzykacza. Inaczej sprawa przyjęłaby pewnie bardzo zły obrót.

Wielka ogłada, na Zachodzie nabyta, wstrzymała poetę od czynienia burdy. Odpowiadając, nie tylko, że głosu nie podniósł, lecz owszem zniżył go jeszcze.

— Trunek waści zamroczył. Rozwagi ci brak i pamięci. Zapomniałeś, że gościsz w domu łyka, otoczon łykami — że wino i mięsiwo, któremiś tak hojnie pusty żywot naładował, łyk przed tobą postawił.

Niewiadomo, coby odpowiedział porywczy szlachcic szczęściem w tejże chwili w obu izbach zrobił się rumor. Starszyzna podniosła się od stołu; młodzież pójść musiała za jej przykładem.

Tłum rozdzielił i w przeciwne strony uniósł zwaśnionych.

Dużo czasu upłynęło, zanim pomiędzy zmieszaną drużyną ład zapanował. Każdy szukał właściwej kompanii, odpowiednij rozrywki. Jednych ciągnęła poważna *de publicis* gawęda; innych krotochwilne przekomarzanie się z niewiastami; inni jeszcze szukali kątów ustronnych do drzemki. Starszym białogłowom cisnęły się

na usta utyskiwania na frasunki domowe; młodym drgały nogi do tańca.

Już też w obszernej bawialni obie złączone kapele usadowiły się na chórku i słodkimi dźwiękami fletów mile łaskotały nerwy. Pęki świec z jarzącego wosku rzucały na wszystko żółtawe, drżące — rzekłby kto tańczące — światło. Podłoga, wodami pachnącemi zlana, tchnęła wonią odurzającą.

Matrony zasiadły sznurem pod ścianami; przy matkach tuliły się córki dorosłe, jak kurczęta przy kokoszach. Blizko drzwi jednych i drugich stali młodzieńcy, pomuskując czupryny, gładząc wąsa, wystawiając jakby na pokaz zgrabne buciki na wysokich napiętkach z czerwonego lub żółtego safianu.

Aby stało się zadość zwyczajowi, starzy rajcowie, podawszy rękę poważniejszym mężatkom, wysunęli się na środek, aby przetańczyć «pieszego». Trwało to krótko. Niebawem mężatki znalazły się na dawnych miejscach; rajcowie cofnęli się do izb dalszych — kapela huczniej i skoczniej zagrała.

Tu dopiero otworzyło się pole dla Wichury. Iskrą stał się, wężem, ptakiem, płomieniem. Oczy latały mu jak u szaleńca, śniada twarz przybrała barwę ciemnej purpury — skakały w nim wszystkie nerwy, wszystkie muskuły. Zdawało

się, że w ogniu własnej krwi spłonie, na popiół stleje, z dymem uleci.

W tańcach «skocznych» nie miał sobie równego; w «gonionych» sam siebie prześcigał.

Dziś na taki animusz taneczny wzruszonoby ramionami — możeby wyśmiano go nawet. Wówczas budził zachwyt w mężczyznach i niewiastach — zwłaszcza wśród kół mieszczańskich. Owiewał je gorącem tchnieniem rycerskości, pola bitewnego, krwawej, upajającej furyi, która plebejom wydawała się jakby świętym szałem kapłanów eleuzyjskich...

W niejednej piersi niewieściej skakało serce do taktu pląsom Konradowym. Ale niczyja twarz płomieni wewnętrznych nie zdradzała. Do mody należało mieć twarz nieruchomą, nic zgoła nie wyrażającą. Im większe było w licach podobieństwo do maski woskowej, tem nadobniejszą, tem «cudniejszą» wydawała się niewiasta...

Z taką właśnie zimnokrwistą z pozoru pannicą o źrenicach szklanych, brwiach zlepionych w wąziuchne niteczki, usteczkach, jakby wymalowanych na bladoróżowej buzi, tańczył Wichura «gonionego». Różne miał ten taniec odmiany — Zboiński wszystkie znał, ze wszystkiemi się popisywał.

Postawiwszy swą tancerkę na środku izby, wybijał jej czołem pokłony i kręcił się dokoła niej, jak fryga, najdziwniejsze i najśmielsze

wykonywując figury. Zwało się to «drobuszka».

Potem nacierał na nią obcesowo, do ucieczki przymuszał, za uciekającą gonił po izbie całej w rytmicznych podskokach. Oczy mu płonęły, na ustach igrał uśmiech zalotny, twarz wyrażała największą pożądliwość...

Nagle, gdy już miał dziewczynę pochwycić, wyraz jego twarzy zmieniał się błyskawicznie. Ściągnięte brwi, schmurzone czoło, usta zacięte — gniew objawiały. Wymijał tancerkę nadąsany, niechętny — jakby urażony.

Śmiano się z tych dąsów, przyklaskiwano dobrze udanej niechęci. «Gniewus» nie mógł być tańczony inaczej, jak z gniewem.

Zachwyt niewiast był cichy; mężczyźni objawiali go głośno. Najgłośniejsze aplauzy odbierał tancerz od swego ojca. Zboiński był dumny z Konrada; na jego zalety chciał zwrócić uwagę ogólną.

Inni tanecznicy zgaśli przy Wichurze, który od razu uczynił się prowodyrem pląsów. Na niego tylko patrzano, on był jedynie przedmiotem zajęcia.

Do bawialni zaglądać jęli i starsi mężowie, oklaskami zwabieni. Widowisko było naprawdę ciekawe. Mieszczanie uśmiechali się, gładząc brody; chwalili głośno, a po cichu myśleli, że

jednak w karmazynach krew ognistsza i szybciej krąży.

Zboiński podszepnął hasło któremuś z najbliższych — wnet starzy i młodzi wołać zaczęli:

— Świeczkowy! świeczkowy!

Zrozumiała wołanie czujna służba — przyniosła świeczki woskowe i nalane winem szklenice. Starsi z kielichami, młodzież ze świeczkami palącemi się wystąpili na środek, opasując kołem dziarskiego tancerza. Kapela zmieniła melodyę, bo ją zawsze do «świeczkowego» zmieniała. Żywe koło poczęło kręcić się w tempie coraz szybszem, przytupując i pokrzykując. Migały złote płomyki, rzucało iskry szkło — we środku stał Konrad tryumfujący, zwycięski... a przecie ani szczęśliwy, ani zadowolony.

Wichura już kilkakrotnie zmieniał tancerki — nigdy dostać nie mógł tej, której pragnął. Ta jedna nie dzieliła ogólnej wesołości. Siedziała przy matce blada, smutna, obca otaczającemu ją zgiełkowi. A jednak dla niej to właśnie wstąpił w dom mieszczański, dla niej wystroił się kosztownie, dla niej cuda zręczności dokonywał.

Gdy ją w pląsy zapraszał usłyszał w odpowiedzi:

— Nie nauczona-m tańca.

— Nauczę waszmościankę.

— Niepojętna-m.

Dyalog urwał się.

W tańcu niespokojne oczy Wichury nie zatrzymywały się nigdy na tancerce; biegły nieustannie ku jedynaczce Melchiorowej, starając się jej spojrzenie pochwycić. Ani razu im się to nie udało.

Napróżno matka zwracała uwagę Hanusi na tancerza i jego zręczność. Czarne oczy dziewczątka nie dostrzegały go nawet. Zresztą wyraz tych oczu był taki, jakby nie widziały nic zgoła, prócz własnych myśli.

Gdy razem z dopalającemi się świeczkami kończył się «świeczkowy», Konradowi wydało się, że niechętne jemu oczy Hanusi biegną w lewo ku drzwiom otwartym...

Spojrzał tam — zadrżał.

We drzwiach stał Krzyś Dąbek wpatrzony w Hanusię, równie blady i smutny jak ona.

W tejże chwili taniec skończył się. Konrad skoczył, rozrywając opasujące go koło; chłodząc twarz magierką, do drzwi się skierował. Wymijając Krzysia, potrącił go niby nieumyślnie z taką siłą, że młodzieniec potoczył się na środek drugiej komnaty i omal nie upadł.

Zaledwie to uczynił, sam otrzymał z przeciwnej strony równie krzepkie potrącenie. Wymierzył mu je Petrus Quercus. Zaklął i za kord chwycił u pasa wiszący.

Nie dano mu go wydobyć. Rozważniejsi otoczyli wszystkich trzech, ścisnęli i prawie prze-

mocą wypchnęli do izby sąsiedniej. Tam jeden ze starych rajców zajął się uspokajaniem zwaśnionych.

— Prze Boga! — błagał — powściągnijcie waszmoście swą krewkość. Estymę winniście domowi szlachetnego Drewny. Urazy na inny czas, na inne miejsce odłóżcie. Nie ucieczą.

Dąbkowie zaraz się uciszyli — Wichura nie przestawał się miotać.

Choć poturbowany przez Petrusa, wadził się nie z nim, lecz z Krzysiem.

— Słysz, plebeju! — syczał przez zaciśnięte zęby, przysunąwszy twarz swoją tuż do jego twarzy. — Znowuśmy się na wązkiej ścieżce zdybali. Radzę-ć: ustąp. Ja w prawo, ty w lewo — inaczej nie można.

Krzyś, choć zafrasowany, nie był przecie mazgaj.

— Idę drogą swoją, nie cudzą — spokojnie odrzekł. — Ustępować nie mam przed kim, ani poco. Sam na siebie, szlachcicu, bacz — mnie w pokoju ostaw.

Spokojność i pewność siebie młodzieńca, zbiły tamtego z tropu.

— Gdańsk ci posłużył — w Gdańsku losu szukaj! — wyrzekł z mniejszą już butą. — Na co ci Warszawa?

Tu wmieszał się do rozmowy poeta.

— Warszawa — macierz nasza. Większe-ć

do niej prawa Krzysiowe, niż waszmościne. Swój lgnie do swego. Mieszczaninowi najgodniej w mieście; żołdakowi — w obozie.

Wichura ledwie się mógł pohamować. Drgały mu wąsy i powieki. Nie mogąc sięgnąć przeciwnika nożem, wbił weń straszne z podełba spojrzenie.

— Nie z waszmością gadam! — mruknął.

— To nic. Szturchańca-ś odemnie wziął — możesz przyjąć i słów kilkoro.

— Com wziął, oddam. Jeno że u mnie szturhańce inaksze: z żelaza i stali. Wrychle, da Bóg, uładzimy swoje liczby.

— Radzę waszmości uładzić je wprzód z sumieniem swojem, tudzież — z Mahabejami...

Szyderstwo dojęło szlachcica do żywego. Prawda zawsze najdotkliwsza. Nie mógł już nad sobą panować z dobytem żelazem posunął się do poety.

Przytrzymała go na miejscu ciężka łapa starego Zboińskiego.

Szlachcic już od kilku chwil stał za plecyma zwaśnionych, zważając, co mówią.

— Jejmość pani Drewnowa dopytuje o cię — rzekł z naciskiem, zatapiając groźne spojrzenie w oczach syna.

A ciszej dodał, na kord wzrokiem wskazując:

— Schowaj to. Nie zabijaj fortuny, która sama w ręce lezie.

Przestroga wzięła skutek. Konrad żelazo wsunął do pochwy. Z głową zwieszoną, jak u spętanego byka, za ojcem poszedł.

Gdy już znaleźli się za progiem, Zboiński powiódł syna do ustronnego kąta, obok siebie posadził. Twarz jego wyrażała wielką przebiegłość. W kącikach ust i oczu krył się tajony uśmiech.

Zadzierzysty, okazały szlachcic zmienił się na chwilę w pełzającego poufnika Boboli.

— Tu nic po żelezie — rzekł do samego ucha Konradowi. — Ty, panie synu, zakrzątnij się wedle dziewki; Dąbków mnie ostaw. Da Bóg, żądło im się wyrwie.

W szerokim uśmiechu pokazał wielkie, ostre zęby...

V.

Krzyś nie śpieszył z wyjazdem.

Wiele czasu zajmowały mu sprawy własne i Burnbachowe; miał przytem inne powody, przytrzymujące go na miejscu.

Bogacz gdański uczynił Krzysia swym pełnomocnikiem na całą Warszawę. Właśnie jeden z domów Burnbacha trzeba było sprzedać, inny odnowić i rozszerzyć; o grunta podmiejskie toczyła się sprawa w urzędzie wójtowskim; składy towarów były zarzucone zamówieniami z blizka

i z daleka. Zajęcia było wbród — przydawszy zwłaszcza kłopot z własnym kramem po nieboszczyku Kawce, z rozdziałem puścizny po babce, z opatrywaniem biednych krewniaków i krewniaczek.

W tem wszystkiem brat nie był mu żadną pomocą.

Petrus Quercus po dawnemu dzielił czas między stare księgi, młodą gospodynię, kruka, psa i polskie oraz łacińskie rymowanie. Chwile zbywające wypełniało mu porównywanie win węgierskich z francuskiemi i hiszpańskiemi, w celu ostatecznego pomiędzy niemi wyboru.

Przy piciu posługiwał się wyłącznie cyną — widocznie wino wciąż jeszcze było złote.

Ile razy Krzyś zjawił się w dworku Bocianim, narzekając na frasunki lub o pomoc prosząc, poeta od razu rzecz zamykał Salomonowem: *omnia vanitas*, po którem szło zwykle Horacyuszowe: *carpe diem*.

W dworku panowała zawsze jednostajna, spokojnie wesoła i umiarkowanie poważna atmosfera. Zaledwie dawało się zauważyć, że podająca teraz flasze z winem Greta była zażywną blondynką z profilem, szyją i biustem Junony.

I ta Greta chodziła w miękkich mesztach — oczu przecie nie trzymała wciąż spuszczonych, ani była skąpa w słowach i uśmiechach.

Poeta, który utrzymywał, że o przeszłości

mówić «nie warto», a o przyszłości «na nic się zda» nigdy jej poprzedniczki nie wspominał. Prawdę rzekłszy, choćby chciał, nicby o niej powiedzieć nie umiał.

Ormianka w zawoju i baszmagach, wyszedłszy jednego rana z domu, już się więcej nie pokazała. Poeta zapytał o nią dwóch, trzech osób, a nic się nie dowiedziawszy, dalszych poszukiwań zaniechał. Względem swych Gret trzymał się stale zasady:

— Wolna wola przyjść — wolna wola odejść...

Na trzeci dzień rządy w dworku sprawowała już Junona.

A nie tylko w sprawach handlowych i gospodarskich trzeba było Krzysiowi zasięgnąć rady braterskiej. Inna jeszcze sprawa, stokroć od tamtych ważniejsza, czyniła go od wielu dni frasobliwym.

Od chwili, gdy ujrzał Hanusię i historyę jej usłyszał, nie miał spokoju. Otwarła się przed nim przepaść, której nie mógł zgłębić rozumem. Im dłużej się w nią wpatrywał, tem większy zamęt czuł w myślach, niepokój w sercu.

Rozum po tysiąc razy ostrzegał go, że jest szaleniec — on rozumu nie słuchał. Nie było nikogo w Starej Warszawie, ktoby wątpił, że Hanusia Drewnówna, która powróciła z klasztoru do rodziców, jest tąż samą Hanusią Drewnówną, którą podczas pamiętnego pożaru z Warszawy uwieziono.

Choćby nawet pamięć oczu ludzkich przez te lata osłabła, udowadniał to zachowany w całej świeżości portret Dolabelli. Dziecko miało tęż samą twarz, co dzieweczka: bladą, smętną, pełną zadumy i tajemnicy.

To było uderzające, namacalne – temu Krzyś zaprzeczyć nie mógł.

Ale i on nie myślał jej zaprzeczać.

Scena porwania dziecka ognistymi rysami wypaliła się w jego umyśle. Nieustannie wywoływał ją w pamięci; za każdym razem stwierdzał, że tamta Hanusia i ta są jedną i tąż samą osobą.

Jednocześnie gotów był przysiądz, że dziecko, które wyrwał z płomieni i które mu ukradziono, było dzieckiem Dorotki.

Te dwie pewności wzajem się znosiły. Dziecko Dorotki nie mogło być córką Drewny; córka Drewny nie mogła być dzieckiem Dorotki.

Dylemat nierozwiązalny — chaos — otchłań...

Nie mogąc rozwikłać niepojętej zagadki ani rozumem, ani instynktowym domysłem, zlecił Krzyś wszystko Bogu. Modlił się i czekał na łaskę Ducha Świętego, która mu ciemności rozwidni.

Tymczasem jedno było dlań pewne: potężne wrażenie, wywarte na niego przez córkę Drewny.

Gdyby nie wiedział, że to myśl grzeszna, przyrównywałby był to wrażenie do tego, jakiego doświadczał, modląc się przed obrazem świętym.

Ze śmiercią Ketchen zamarła w duszy Krzysia wszelka pusta, chochlikowa wesołość, której młoda Gdańszczanka była uosobieniem. Gdy się z taką wesołością spotkał, wydawała mu się szaleństwem i urąganiem. Wiele też cierpiał na bankiecie u Drewnów.

Ale Hanusia nie miała w sobie nic chochlikowego. Gdyby można było jego duszę posępną i bolejącą zakląć w kształt żywy, wyglądałaby tak właśnie, jak córka Drewnów.

Ciągnęło go do niej — do jej twarzy, która miała barwę lilii białej, do jej ust, na których zastygła modliwa, do oczu, co zdawały się nieustannie wpatrzone w dalekie, zwykłemu wzrokowi niedostępne światy.

Uczucie, jakie w nim budziła ta dzieweczka, dopiero z osłonek dzieciństwa wykwitająca, najlepiej określało częste westchnienie:

— Jakżebym pragnął mieć taką siostrę!...

Czatował na każdą sposobność, która mu pozwalała widzieć Hanusię. Nigdy nie mógł napatrzeć się jej do syta. Patrzenie wystarczało mu. Nie rozmawiał z nią dotąd — myślał niekiedy, że głosu jej, wprost do siebie skierowanego, mógłby słuchać tylko na klęczkach.

Codziennie rano Hanusia odprowadzała ojca do drzwi ratuszowych. Powracała w towarzystwie starej sługi. W południe, z tąż samą sługą,

szła po ojca. Starzec obywać się bez niej nie mógł, jak Edyp bez Antygony.

Za każdym razem na drodze Hanusiowej znajdował się Krzyś — najczęściej przez dzieweczkę niedostrzegany. Nie chciał być natrętnym, unikał wszystkiego, coby mogło najlżejszym pyłkiem ziemskim paść na tę duszę liliową.

Sprawy, dotyczące dziedzictwa po dziadku, zawiodły go kilkakrotnie do Ratusza, przed oblicze burmistrza Starej Warszawy. Znalazł przyjęcie łaskawe, dobroć prawie ojcowską.

Drewno znał dobrze Burnbacha, z którym nawet w swoim czasie spółkę miał handlową. Nieboszczyk Kawka był jego przyjaciel. Łzy pociekły mu z oczu na wieść o śmierci córki Burnbachowej. I zaraz smutek go opanował tak wielkie, że rozmowę zmuszony był przerwać.

Wznowił ją po kilku dniach z większem ożywieniem i z większą jeszcze życzliwością. Widoczne było, że upodobał sobie młodego Dąbka. Wypytywał go o wszystko, jakby chciał duszę jego nawskróś przejrzeć. Rozmowa przeciągnęła się aż do końca godzin urzędowych. W progu stanął pachołek, oznajmiając, że jejmościanka panna burmistrzówna na ojca swego czeka.

Drewno ujął młodzieńca pod ramię, zeszedł z nim na dół i pozwolił, razem z Hanusią, odprowadzić się do domu.

Ulice Starej Warszawy nigdy nie wydawały

się Krzysiowi tak piękne, jak wówczas, gdy szedł niemi w jednej kompanii z Hanusią. Unosiło go coś w górę i ledwie czuł kamienie pod stopami. Z tego, co wówczas mówił, można było o jego rozumie sądzić bardzo niepochlebnie. Prawdę rzekłszy, sam nie wiedział, co mówi.

Na Hanusię nie patrzył, jednak wybornie ją widział. Obawiał się śmiertelnie, aby do niego nie przemówiła. Musiałby wówczas klęknąć na chodniku.

Gdy zbliżano się do domu, wydało się nagle Krzysiowi, że przy harfie Dawidowej chór Serafów srebrnymi zadzwonił głosami. A to tylko Hanusia wyrzekła:

— Dziś ojcaszek będzie miał na obiad gęś z czarnym sosem...

Takie odprowadziny kilkakrotnie się powtórzyły. Kilkakrotnie też młodzieniec został zaproszony w gościnę.

Zaproszenie wychodziło zawsze od Drewny. Drewnowa nigdy do niego nie dorzuciła słówka. Nigdy też nie okazała gościowi twarzy uprzejmej.

Krzyś bez trudności pojął, że nie ma w niej przyjaciółki.

Powodu odgadnąć nie umiał, choć on był prosty i już nie jednemu wiadomy...

Drewnowa nie mogła mieć twarzy uprzejmej dla Dąbków, gdyż ją chowała dla Zboińskich.

Bogata plebejka jedno tylko kryła w sercu

pragnienie: skoligacić się ze szlachtą. Już w myśli przeznaczyła Hanusię na żonę Konradową. Stary Zboiński ukazał jej drzwi raju herbowego i obiecał, że je przed nią otworzy.

Dąbka traktowałaby pewnie z powszednią uprzejmością, jak wszystkich, ale Dąbek jej zawadzał. Czuła w nim groźnego współzawodnika. Był bogaty, szanowany, skromny — między młodzieżą Starej Warszawy pierwsze trzymał miejsce. Co ważniejsze, Drewno pokochał go jak syna.

W sprawach małżeńskich, uczuć panny nie brano wówczas w rachunek. Jednak coś szeptało burmistrzowej, że i z tej strony może mieć przeszkodę. Z przenikliwością niewieścią odgadywała, że serduszko Hanusi będzie skłonniejsze cichemu a czułemu Krzysiowi, niż pełnemu dzikich a nietrwałych porywów Wichurze.

Na wady ostatniego zamykała oczy.

Niechby syn szlachecki tarzał się w ścieku, nędzny i półnagi, onaby wyciągnęła go z błota, odziała w atłas i klejnoty, posadziła obok siebie — rękę córki mu oddała.

Wiedział o tem Zboiński i śmiało wiódł syna do zwycięstwa. Nowe długi zaciągnął, siebie i Konrada wystroił; przemysłem dyplomatycznym zdobył nawet klejnotów trochę, herbem rodzinnym zdobnych, którymi nieustannie ćmił oczy burmistrzowej.

Przed Zboińskimi cel był jasny — Krzyś nie

umiałby nawet przed sobą zdać z niego sprawy. Wiedział tylko, że dopóki na Hanusię patrzy, smutku swego nie czuje. Był zaś w wieku, gdy człowiek jeszcze umie i pragnie smutków swych się pozbywać.

Zboińscy często teraz nawiedzali Starą Warszawę. Sprawa ich szła coraz pomyślniej, ale tylko u matki Hanusiowej. Sama dzieweczka i jej ojciec zachowywali się względem szlachciców obojętnie. Drewno był wręcz niechętny Konradowi, o co miewał nawet częste z małżonką spory.

Wichura nie mógł się pochwalić, żeby kiedykolwiek zajrzał w oczy Hanusi. Dzieweczka, nawet rozmawiając z nim, zdawała się go nie widzieć.

Skarżył się raz na to ojcu...

— Mleczak jesteś! — zaśmiał się stary na całe gardło. Drewno musi być drewnem, na to nie poradzisz. Wżdyć poczekaj: zapali się ono drewno u twojego płomienia...

VI.

Dzień sierpniowy, od samego świtu bezchmurny, piekł żywym ogniem Warszawę. Nieco chłodu płynęło od Wisły, od licznych dokoła miasta gąszczów, lecz chłodowi stawał zaporą

wysoki mur obronny i nie puszczał go do środka.

Antiqua Varsovia smażyła się w ciasnem zamknięciu, jak święty Wawrzyniec na ruszcie.

Nie tamowało to biegu spraw urzędowych i kupieckich. Mieszczanie jak mrówki uwijali się po kramach, snuli po ulicach, szukając odrobiny cienia pod wystającymi daszkami, które każdy prawie dom posiadał na wysokości pierwszego piętra.

Ulicą Świętojańską szedł w stronę Rynku Krzyś Dąbek. Mimo upału szedł lekko, z głową podniesioną, z twarzą wyrażającą zachwyt. Przed chwilą widział Hanusię...

Z narożnego «sklepu» (po dzisiejszemu piwniczki) wynurzyła się mocno różowa, potem okryta, twarz jego brata. Właściciel sklepu — zarazem posesyonat i ławnik — sprowadził był właśnie z Węgier przednią małmazyę. Skosztować jej było prawie obowiązkiem poety.

Bracia ujęli się pod ramię, skierowali kroki do kramu dawniej Kawki, obecnie Krzysia.

Nim jeszcze znaleźli się w Rynku, dobiegły ich kilkakrotne, w krótkich odstępach czasu powtórzone, wrzaski tłumu.

— *Populus* bawi się... — zauważył z uśmiechem Petrus Quercus. — Może mu oprawca krotochwile pokazuje...

Mimo idących przebiegło pędem kilku wy-

rostków stanu rzemieślniczego, oraz kilka zdyszanych białogłów.

— Onufrowo! — zagadnął Krzyś znajomą. — A co tam za bałuch?

— Uciecha, mój miły! — zaszelepniła. — Mistrz łotrzycę chłosta.

— Śpieszajcie! śpieszajcie! — wykrzyknął pędzący szewczyk. — Już pewnie ochłostana.

— Jezusku Najsłodszy!... — jęczała, postukując szczudłem baba kulawa. — Żeby choć zdążyć na piętnowanie!...

Pośpieszyli za innymi i Dąbkowie. Wypadała im tamtędy droga; przytem widowiska byli ciekawi. Wszelkiego rodzaju «egzekucye» należały do igrzysk publicznych, których widokiem nie gardzili najstateczniejsi nawet mieszczanie.

Bracia z trudnością przecisnęli się przez tłum, który zapełniał prawą stronę Rynku. Ponad tłumem górował ustawiono wysoky pręgierz. Pod pręgierzem stała młoda dziewczyna z czarnymi, rozpuszczonymi włosami.

Te włosy były ostatnią osłoną jej wstydu, ostatnią tarczą przeciw urąganiom motłochu. Nadzwyczaj długie i gęste spływały falą czarną na oczy, twarz całą zakrywały.

— Spóźniliście się waszmoście! — mówił z ubolewaniem chudy safiannik z oczyma iskrzącemi się od uciechy. — Już butel połowy swego dokonał.

— No, no — wtrącił uspakajająco jego sąsiad, otyły winiarz, mlaskając wystającemi wargami. Jeszcze będą ładne rzeczy. Spójrzcie jeno na prawo. Grzeją się tam szczypczyki.

We wskazanym kierunku, na niższym stopniu rusztowania, stał żelazny koszyk, pełen węgli żarzących. Przy koszyku kręcił się chłop atletycznej postawy, ubrany od stóp do głowy czerwono, obciśle. Przegarniał łopatką węgle i rozpalał przy nich do czerwoności narzędzie żelazne, do długich obcęgów podobne.

Winowajczyni za całą odzież miała długą do samych stóp koszulę z płótna zgrzebnego, sznurem w pasie ścisniętą. Na plecach, ramionach i piersiach koszula była zakrwawiona. Przed chwilą właśnie skończyła się pierwsza część «widowiska»: pomocnik kata ochłostał obnażoną po pas dziewczynę.

Tuż przed Dąbkami stali dwaj ichmoście statecznie wyglądający. Dopiero po bliższem wpatrzeniu widziało się, że jeden ma minę wilka, drugi lisa. Zanim jeszcze przemówili, można było poznać, że to męże uczeni. Szczególny blask ich oczu uprzedzał, że — juryści.

— Będzie-li strzyżona czy szelmowana? — pytał wilk.

— Długowłosa... nożyce jej nie miną — lis odpowiedział.

— Zatem *poena in crinibus.*

— *Et in carne.*

Wilk skrzywił się.

— *In cute,* chciałeś rzec waszmość.

— Wiem, co mówię — zaśmiał się lis. — Prawo rozróżnia «skórę» i «mięso» — nie rozróżnia ich ceklarz. Widzi mi się, że ten drągal dobrał się i do mięsa.

Słońce piekło coraz mocniej. Tłumowi donoszono wodę zimną w dzbanach, które jedni drugim podawali. Mężczyźni osłaniali się od słońca zatkniętemi na kijach czapkami; niewiasty trzymały nad głową rozpostarte chustki. Po wszystkich twarzach pot spływał.

Tłok zwiększał się z każdą chwilą. Znalazło się wszakże jeszcze jedno miejsce wolne dla nowego przybysza. Był nim młody zawadyacki szlachcic. Dla szlachty zawsze i wszędzie miejsce być musiało.

Przybysz znalazł się na widowisku wypadkiem. Szedł od strony Bramy Wiślanej. Pilna a tajemna sprawa musiała go w tamte strony prowadzić. Nie było to miejsce dla szlachty.

Łokciami i głowicą szabli torował sobie drogę ten zuch z postawą rycerską. Potem latające niespokojnie oczy znieruchomił, utkwiwszy je w obliczu skazanej. Nozdrza rozszerzyły mu się — wietrzył krew.

— Spójrz, Krzychu — trącił brata Petrus

Quercus, wskazując wzrokiem junaka — adwersarz twój...

Ale Krzyś był w tej chwili zajęty odczytywaniem tablicy, na której wypisano rodzaj przestępstwa. Skazana była winna przyczynienia się do kradzieży, spełnionej u jej krewnego i opiekuna, oraz o zostawienie tego ostatniego bez opieki w chwili groźnego niebezpieczeństwa.

Ledwie skończył czytać, wrzaski tłumu wznowiły się. Na rusztowanie wstąpił butel, trzymając rozpalone cęgi.

Wielką łapą szybko, brutalnie rozgarnął sploty czarnych włosów, odsłaniając jedno ucho dziewczyny. Ucho było drobne, kształtne, białe, jak z konchy perłowej. Przyłożył do tego ucha żelazo — pociągnął...

Tłum zawył z uciechy.

— Urwał!... urwał — wrzeszczeli jedni.

Inni poprawiali.

— Nie urwał — naderwał!...

Pomiędzy czarnymi włosami widać było tylko czerwoną, krwią buchającą plamę.

— To i koniec! — zaśpiewał z żalem chudy safiannik.

— Koniec abo i nie koniec — mlasnął winiarz. — Butel nie odchodzi. A i naród nie rusza się — snać jeszcze na coś czeka.

— Na «dokładkę» — zaśmiał się stojący obok

rzeźnik. — Drugi pół dnia stać gotów, póki mu ochłapa nie ciśniesz.

— A więc jeno *in carne* — wyrzekł z powagą jurysta o lisiej twarzy.

— *In cute* — poprawił towarzysz.

— Na jednem uchu kat przestał — pierwsza to wina.

— Nazbyt łaskawie osądzona. Wżdyć kradzież ponad trzy złote sięgnęła.

— Ba, ale jakie złote? Czytaj waszmość w Prawie Saksońskiem *De tribus solidis.* Nie o szeląga-że to mowa?

— Jużci tak — wszakże *solidum* wykładają: złoty. Z łaciny to idzie: *a solidate auri.*

W tej chwili tłum pomrukiwać zaczął z zadowolenia. Rzekłbyś: stado niedźwiedzi, które dobrało się do miodu.

Na rusztowaniu znów się czerwony drab pojawił. Tym razem trzymał w łapie duże błyszczące nożyce.

— Hej-że dyna! — zaśpiewał nieposiadający się z uciechy parobek piwowarski. — Będzie i rzezanie.

— Strzyżenie, dudo! — poprawił go rzeźnik.

— Waszmość duda, bo dudy nadymasz!... — odciął się parobczak.

I zaraz dał nurka w tłum, gdyż go już pięść rzeźnicka sięgała.

Błyszczące w słońcu nożyce mignęły przed

samemi oczyma skazanej. Wzdrygnęła się — i to był pierwszy znak życia, jaki w niej od początku egzekucyi dostrzeżono. Ruchem prawie instynktowym głowę szarpnęła w tył, lecz uderzywszy się silnie o słup pręgierzowy, zaraz ją na piersi opuściła.

Butel zgarnął palcami twardymi pęk włosów granatowo czarnych. Zgrzytnęły nożyce raz, drugi, trzeci. Czarne płaty zaczęły padać dokoła, podobne martwym jaskółkom.

Teraz dopiero odsłoniła się twarz dziewczyny. Była kredowo biała, w kamień zastygła, martwa.

— Jezus! Marya! — wykrzyknął Petrus Quercus. — Toć to moja Ormianka.

Ręce załamał zdziwiony i wzruszony.

— Wiadomo! — mruknął któryś z sąsiadów. — Siostrzanka Ogły Ormianina. Nieboszczyka znałem; miał kram po tamtej stronie. Wychował ziółko. Dobrze, że naznaczona — każdy tera szelmę pozna...

— Na toż ci przyszło, niebogo! — mówił poeta ze współczuciem, na uwagi nie zważając.

Winowajczyni, zbita, «obszelmowana», ostrzyżona, miała stać jeszcze przez czas jakiś na oczach ludzkich. Zbliżało się południe. Słońce rzucało promienie prawie prostopadle.

Każdy z widzów znalazł sobie jakąś ochronę przed upałem. Tylko dziewczyna pod pręgierzem była bezbronną ofiarą promieni słonecznych.

Strasznie było pomyśleć, że jej ostrzyżoną, niczem nie nakrytą głowę ogień z nieba od tylu godzin przepala. Ale tej myśli nie miał nikt z tłumu. Serca, czy też tylko nerwy ówczesnych ludzi były twardsze niż dziś, a dla winowajców zgoła nieczułe. Zresztą, tłum bywa zawsze okrutny.

Poeta nie wliczał się do tłumu, tłumem gardził. *Odiit profanum vulgus.* Ledwie zauważył mękę dziewczyny, uczuł litość niezmierną.

W pobliżu stał dzban wody zimnej, świeżo ze studni przyniesionej. Chwycił dzban i rozpychając motłoch, podążył do miejsca kaźni.

Butel zagradzał mu drogę. Odepchnął go, na stopnie rusztowania skoczył — dzbanek do spalonych ust dziewczyny przyłożył.

Drgnęła, jakby budząc się z omdlenia. Potem piła długo, chciwie.

Poeta skropił obficie wodą jej twarz i głowę.

Otworzyła oczy, spojrzała mu w twarz — ani słowa nie wyrzekła.

Ale źrenice jej dotąd suche, matowe, zabłysły nagle brylantowo, nabrzmiałe ogromnemi łzami.

Poeta postawił dzban z niedopitą wodą u stóp skazanej. Potem zeszedł powoli z rusztowania, odsuwając dostojnym ruchem ręki butla, który chciał go chwycić za ramię.

Tłum patrzył na to wszystko w milczeniu. Milczenia nie przerwał i później. Temu i owemu

zrobiło się markotno; ten i ów zrozumiał, że Ewangelia każe «pragnącego napoić», nie bacząc, kto on i gdzie się znajduje.

Jaga teraz dopiero zdawała się pojmować, co się z nią dzieje. Twarz jej skurczyła boleść: ogromne, nad miarę rozszerzone oczy zaczęły wpatrywać się z natężeniem w kata i w tłum.

Najweselsi i najdziksi (co często łączy się ze sobą) przed tem spojrzeniem spuszczali lub odwracali oczy.

Nagle skazana dojrzała coś, co ją do głębi wzruszyło. Podniosła brwi, szyję wyciągnęła, wspięła się na palce, o ile na to krępujące ją sznury pozwalały. Nie mając rąk wolnych, oczyma wskazywała punkt jeden. Usta jej rozchyliły się — głosem zachrypłym, gardłowym wołać jęła:

— O, o, o... tam... on!

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku jej spojrzenia. Ale ten, którego wskazywała, nie czekał, aż go dojrzą i — również się odwrócił.

Powstało małe zamieszanie — on z niego skorzystał i ukrył się za plecami sążnistego parobka, choć szlachcicowi tak czynić nie wypadało.

Po małej chwili uwaga tłumu znów skupiła się na skazanej. Egzekucya była skończona. Kat odwiązał dziewczynę od «pręgi», z rusztowania ją sprowadził.

Gdy stanęła na bruku, związał jej z tyłu

ręce i popędził przed sobą, jak się pędzi bydlę na rzeź lub do obory.

Już ona odtąd przestawała być istotą wolną, od siebie zależną. Prawo oddawało ją na własność i na łup oprawcy. Kat wiódł ją do ohydnego zaułka w «międzymurzu», to jest: w wązkiej przestrzeni, oddzielającej mur wewnętrzny od zewnętrznego. Tam mieściła się jego siedziba, w blizkiem sąsiedztwie budynku zwanego «Dom Rycerski», skąd i uliczka zwać się później zaczęła «Rycerska».

Dziewczynę, kroczącą po rozpalonym bruku boso, w długiej koszuli, motłoch odprowadzał z wyciem, gwizdaniem i urągliwymi krzykami.

Ten zaś, którego ona oczyma w tłumie pokazała, z pośpiechem z drogi jej zeszedł, a zbiegłszy na Powiśle, puścił się pędem, jakby go kto gonił...

VII.

Goniono go istotnie.

W wązkiej uliczce usłyszał za sobą tętent stóp ciężkich, podkutych. Tętent zbliżał się coraz bardziej, aż go wreszcie dosięgnął.

Widoczne było, że pościg urządza jeden tylko człowiek. Wichura mógł się bać tłumu i oczów jednej dziewczyny — lekceważył napastników nie tylko oddzielnych, lecz nawet kupą nacierających.

Stanął w miejscu i, z ręką na szabli, odwrócił się.

Ujrzał za sobą chłopa olbrzymiej postaci, w łachmanach, z pałką w lewej ręce, z ręką prawą bezwładnie wiszącą. Ujrzał — Kołtuna.

— A ty czego, dziadu? — pogardliwie skrzywił się.

Żebrak wysunął przygotowaną zawczasu miseczkę.

— Biedny jestem... kaleka... o grosik proszę... — zaśpiewał na nutę dziadowską.

— Tu nie miejsce na żebraninę! — ofuknął go Konrad.

I chciał odejść.

Ale Kołtun zastąpił mu drogę.

— Wielmożny panie — rzekł innym już tonem — mnie od waszej wielmożności należy się...

— Za co?

Żebrak zdrową ręką wskazał rękę bezwładną.

— A ot, za ten suchy badyl, co go noszę z łaski waszej wielmożności...

— Nie wiem, o czem gadasz. Nie znam cię.

— To ja pomogę wielmożnej pamięci. To było dziesięć roków temu, jak Stara Warszawa gorzała...

Ciemny rumieniec przemknął po twarzy Konrada.

— Dudkujesz, dziadu. Idź z Bogiem.

Podał żebrakowi drobny pieniądz i chciał odejść.

Kołtun pieniądza nie wziął, głową pokręcił, krzywe nogi rozkraczył, zagradzając drogę.

— Tam był kram jeden — poprzednim tonem ciągnął — w tym kramie skarby wielkie, przy skarbach dziewucha jak łania...

Wichura milczał, gryząc wargi, szablę ściskając.

— To wszystko dostało się wielmożnemu panu. A mnie z Ogłą co? Jemu śmierć; mnie sucha łapa i kij dziadowski.

Konrad wciąż milczał, rzucając z pod brwi ściągniętych wściekłe spojrzenia.

Tamten mówił dalej:

— Klejnoty bies porwał — wiem. Wpadły w pazury umarlakom — tam, pod szubienicą (wysunął pałkę w stronę Kępy Polkowskiej). Ale czerwieńce u wielmożnego pana ostały. A było ich siła — widziałem!

— Czegoż ty chcesz nareszcie? — mruknął Konrad, nie patrząc na niego.

— Zaraz... zaraz... Wprzód o onej dziewusze. Wielmożny pan widział ją u pręgi? Moja to gęba przeciw niej świadczyła. Gdzie grzych, tam i kara. I dziad ma sumienie i dziad na Sądzie Boskim stanie. Taić mu wara.

Pomilczał chwilę, tonem poufnym dodał:

— A wżdy o wielmożnym panu zataiłem.

Grzych mój — wiem przecie, co się herbowemu należy.

— Więc?... — spytał Konrad nerwowo, rzucając oczami w prawo i lewo, jakby upatrywał, czy nikogo niema na drodze.

— Więc dopraszam się łaski wielmożnej o nagrodę.

Przy tych słowach pochylił się pokornie, jak przystoi proszącemu.

— Zbóju! — wrzasnął wściekły z gniewu Wichura. — Oto twoja nagroda!...

I dobywszy szablę rzucił się na zgiętego olbrzyma.

Ale Kołtun z pod obwisłej czupryny śledził pilnie jego ruchy. Z nadzwyczajną szybkością wyprostował się — sękatą pałką cios odbił. Wytrącona z ręki Konrada szabla, upadła o kilkanaście kroków stamtąd.

Żebrak pobiegł po nią, podniósł, łachmanami z kurzu otarł — spokojnie podał szlachcicowi.

— Moja gęba, wielmożny panie — wyrzekł, skłaniając się czapką, po chłopsku — nie zatka się żelazem. Tu i śrybro nie wystarczy.

Wichura zrozumiał, z kim ma do czynienia. Szablę schował do pochwy — sięgnął po kaletę.

Odwracając twarz, podał dziadowi dukata.

— Cóż to takiego, wielmożny panie? — zadziwił się szyderczo Kołtun, chowając szybko

monetę. — Nie pokrzepi się świnia plewką. To tyle, co i nic!

— Trzosu przy sobie nie naszam... — mruknął niechętnie Konrad.

— To się wie. Ino rzeźniki tak czynią.

Poskrobał się w łeb, pomyślał...

— Nagrodzi mnie wasza wielmożność później — wyrzekł, czapkę poprawiając — po weselisku... Bo Kołtun wie, że się wasza wielmożność żeni — i wie, że z córką «Bogacza». Kołtun wie wszystko... Wielmożny pan nie zna jeszcze Kołtuna. To dobry dziad — ino na złoto łasy. On poczeka — zato potem wasza wielmożność nasypie mu kwartę czerwieńców. Całą kwartę. To fracha dla takiego, co będzie je mierzył ćwierciami!

Pokłonił się do samych kolan Konrada.

— Z Bogiem, wielmożny panie! Niech będzie pochwalony... Ino Kołtuna nie zabaczać. Kołtun trzyma ozór za zębami — ale on go świerzbi... Z przed ołtarza do wieży, droga nie szlachecka... W imię Ojca i Syna... Zdrowaś Marya, łaskiś pełna...

Odszedł, odmawiając głośno pacierz. Zaraz też i Konrad z miejsca ruszył. Zgrzytając zębami, mieląc w nich przekleństwa, z ciasnych, splątanych uliczek wydostał się na Przedmieście Krakowskie, a stamtąd szybko, prawie biegiem, podążył wprost do Węgrzynowa.

Zaraz po przybyciu do dworka, wziął ojca na stronę, kilka słów do ucha mu szepnął. Zamknęli się obaj i mieli długą, do dwóch godzin trwającą naradę.

Po naradzie ojciec ukazał się z miną zafrasowaną. Poszedł do stajni, gdzie długo zabawił, potem do lamusa, w którym chował rynsztunki wojenne, stare papiery, a podobno i zapaśne pieniądze.

Konrad do samego wieczora nie wychylał się z domu. A gdy noc zapadła, stary Zboiński przywiódł przed ganek osiodłanego wierzchowca. Konrada wywołał, dał mu worek z prowiantem, zawinięcie z bielizną, zapasik pieniędzy — i powtórzyła się scena z przed lat dziesięciu, gdy Wichura do rokoszanów odjeżdżał.

Tym razem jednak jego wierzchowiec nie był dychawiczną «marchą». Konrad wyruszał w świat na wspaniałym turczynie, tym samym, który go pod znakiem Lisowskiego do stolicy przywiózł.

Ten tylko turczyn i szabla damasceńska z głowicą rubinami osypaną pozostały mu z wypraw do Moskwy i nad morze Białe.

— Swiat można z tem zdobyć! — zakrzyknął butnie na odjezdnem.

I z kopyta na ów podbój ruszył.

VIII.

— Cóż to? Bez synaczka?

— Właśnie w jego sprawie waszmość panią nawiedzam.

— Spodziewam się, że nie zachorzał?

— Bóg strzegł. Jak ryba zdrowiuśki. Jeno, że w Warszawie nieobecny.

— Gdzież gości?

— W obozie. Hetman wezwał go nagle, aby śpieszył z pomocą i radą.

— Sam hetman?

— Sam Jaśnie Wielmożny Chodkiewicz.

— Wielki to honor dla syna waszej wielmożności.

— Bo i wart. Krzepka to dusza, a i ciało nie mdłe. Żelazna ręka, serce złote.

— Felicytować takiego jedynaka.

— Sięgnąćby mógł po żonę do rodów magnackich. Ale los chciał inaczej. Umiłowanie swe indziej nalazł...

Drewnowa głośno westchnęła. Zboiński zakasłał, wąsa na dół pociągnął.

Przez chwilę milczeli. Gdy rozmowę podjęto, szlachcic, po krótkiem kołowaniu, przystąpił *ad rem*, prosząc w imieniu syna o rękę Hanusi.

Mieszczanka poczerwieniała z radości. Gdyby nie reszta dumy, ucałowałaby może rękę szla-

chcica. Przezwyciężyła się jednak i szepnęła, oczy spuszczając:

— Dzieciątko to jeszcze...

— Wiem — odrzekł Zboiński. — I mój Konrad nie przestarzały. Oboje czekać mogą. Jeno pewności mi trzeba, że ta mitręga fortunnego końca dojdzie.

Drewnowa ciągnęła z zakłopotaniem:

— Nie wiem takoż, co pan mąż wyrzecze. On mieszczanin z dziada, z pradziada — z mieszczanami trzyma.

— W takowych sprawach zawżdy niewiasta decyduje.

— Tak być powinno. Wszelako żonie działać przeciw mężowi nie wolno. Może, da Bóg, że się to uładzi. Nic ja nie mam na uwadze, jeno szczęście Hanusiowe.

Zboiński przysunął się ze stołkiem.

— Więc ze strony waszmość pani pewność mieć mogę?

Drewnowa przybrała właściwą wszystkim niewiastom minę przyzwalającego oporu.

— Czy ja wiem... — wyrzekła głosem ani przytakującym, ani przeczącym.

Zboiński ujął lekko jej rękę, na czapce swej położył i pocałował.

To było przypieczętowanie umowy.

O zapytaniu Hanusi nikt nawet nie pomyślał.

Co prawda, takie zapytanie byłoby i nie-

wczesne i nadaremne. W główce Hanusi nie postała dotąd ani razu myśl o małżeństwie.

Wyrwana prawie przemocą z klasztoru, dotąd miała duszę pełną klasztornych rojeń i pożądań. Snem wydawał się jej pobyt w domu rodziców, rzeczywistością — lata spędzone pośród sióstr i matek zakonnych.

Przedłużała tamto życie nocą w snach, za dnia w marzeniu. Często ciało jej szło z matką lub z ojcem przez ulice Starej Warszawy, a dusza przebywała daleko u podnóża fioletowych Karpat...

Wielka zamożność rodziców zapewniała jej spokój. Życie powszednie, wraz z powszednimi zabiegami, kłopotami dla niej nie istniało. Ze zbytku, którym ją otaczano, nie korzystała, korzystała za to ze spokoju i swobody, dzięki którym mogła oddawać się bez przeszkody marzeniom, religijnym praktykom i czytaniu.

Czytała wyłącznie dzieła ascetyczne, polskie i łacińskie — w klasztorze bowiem nauczono ją łaciny. Modliła się po kilka razy na dzień; codziennie bywała w kościele. Wszystkie pieniądze, dawane jej przez ojca, szły między ubogich. Jałmużny rozdawała osobiście, zawsze zaś instynktem odgadła, komu najpotrzebniejsze.

Co rano, po odprowadzeniu ojca, szła z matką do kościoła. Lubiła ciche, ustronne kaplice, gdzie mogła przestawać sam na sam z Chrystusem lub

Jego Matką. Najchętniej modliła się u Swiętego Jana, w kaplicy «Baryczkowskiej», przed cudowną figurą Zbawiciela.

Wszystko, co Stara Warszawa miała najdostojniejszego i najbiedniejszego, przesuwało się przed tą śliczną dzieweczką z objawami szacunku i miłości. Dla wszystkich jednakowo dobra, nie wyróżniła nikogo. W jej czystych, błyszczących, pełnych głębi mistycznych oczach postacie ludzkie odbijały się na chwilę, jak w zwierciadle — utrwalić się żadna nie mogła.

Jeśli byli tacy, których obojętność Hanusi drażniła, nie należał do nich Krzyś Dąbek. Jemu wystarczało na Hanusię patrzeć — o tem, żeby na niego patrzano, nawet nie pomyślał. Widok twarzy Hanusiowej działał na niego kojąco. Gdy miał przed oczyma tę bladą, smutną twarzyczkę, o bólu, krwawiącym mu serce, zapomniał.

Zdarzyło się, że na kilka dni przed wyjazdem, Krzyś, wyszedłszy rano naprzeciw Hanusi, nie spotkał ani jej, ani Drewny. Tego dnia nie było w Ratuszu żadnego posiedzenia, ani sprawy naglącej — stary burmistrz, który trochę niedomagał, pozostał w domu.

Krzyś nie miał nic lepszego do czynienia, niż pójść do Fary na mszę ranną. Mszy wysłuchał, poczekał, aż kościół opustoszeje, potem zboczył do kaplicy Baryczkowskiej, gdzie czerniał w ołtarzu Pan Jezus cudowny.

Do tej kaplicy po wszystkie czasy zachodzili ludzie na rozmyślania, na obrachunek z sumieniem lub sercem. Można tam było widywać zarówno kobiety, jak mężczyzn, zarówno prostaczków, jak dygnitarzy.

Istnieje legenda, że niekiedy korytarzami wewnętrznymi, łączącymi Zamek ze świątynią, przybywał do tego zacisza — Stanisław August... Dworzanie szeptali sobie na ucho, że płochy motylkuje przy jakiej pudrowanej Filidzie — on tymczasem, przed całym światem ukryty, modlił się słowami własnego wiersza: «Pókiż, o Panie, będziesz zagniewany?... Pókiż od Ciebie ja będę chłostany?»...

Wszystkich ciągnął do siebie ten Pan Jezus, którego lud nazywał «starym» — może dlatego, że był czarny i chmurny.

Krzyś ukląkł na stopniach ołtarza - otworzył serce swe przed Bogiem-Człowiekiem. Jeszcze mu wiosna życia nie minęła, a już tylu żałobami był okryty!

Rodziców ledwie zasięgnął pamięcią. Dziadek i babka, co mu ich tak długo zastępowali, już między umarłymi. Z dalszej rodziny, ciocia Dorotka, panna z fraucymeru Urszuli Meierin, jakże żałośny miała koniec! I innym nie wiodło się: uciskani przez marszałka, prześladowani przez Jezuitów, szli przez życie po cierniach...

Jedyny brat — uczony, szlachetny, dobry

nawet — jest poeta i filozof ze szkoły Horacego, więc potrosze i Epikura. Troski odgania od siebie, jak muchy natrętne — smutkami swoimi i cudzymi rozrzewniać się nie lubi. Ból i łzy trzeba przed nim ukrywać.

W tej pustyni wyrósł kwiat: śliczna, wesoła, rozśpiewana, rozchichotana Ketchen. Gdzież ona?...

Boleść przepełniła mu serce.

— Jezu! Jezu! zmiłuj się nademną! — głośno jęknął.

Jezus zmiłował się: boleść młodzieńca roztopniała w łzach.

Krzyś, nie wiedząc o tem, płakał. Oczy miał otwarte, w górę wzniesione — krople łez spływały z nich na twarz, na czarną odzież, na stopnie ołtarza.

Nagle wydało mu się, że go ktoś budzi, znak mu daje...

Spojrzał w bok: o kilka kroków od niego klęczała Hanusia.

Dzieweczka patrzyła na płaczącego z głębokiem współczuciem. W prawej ręce trzymała niewielką, otwartą książkę i tę książkę podawała mu ruchem takim, jakim udziela się jałmużny.

Krzyś książkę wziął i przeczytał w niej miejsce, które mu panienka palcem wskazała. Przeczytał najpierw po cichu, potem w głos:

— «Wszytek żywot Chrystusów krzyżem był y męczeństwem, a ty szukasz odpoczynie-

nia y wesela? Błądzisz, błądzisz, jeśli czego innego szukasz a niźli cierpieć utrapienia. Abowiem wszytek żywot ten śmiertelny pełen jest nędz y krzyżami zewsząd zapieczętowany. A imby kto w duchu wyżej postąpił, tem cięższe krzyże często najduje; bo wygnania swego karanie z miłości więcej roście»...

Książka oddziaływała nań tak samo, jak oczy Hanusiowe: kojąco i krzepiąco. Było mu trudno z nią się rozstawać. Skończywszy czytanie, raz jeszcze ją otworzył raczej pozwolił, aby się sama otworzyła.

Książki otwierają się same w miejscach, do których często się zagląda. Krzyś nabrzmiałym łzami głosem przeczytał, co następuje:

— «Tak Bóg zrządził, abyśmy się uczyli jeden drugiego ciężary nosić, bo żaden nie jest bez niedostatku, żaden bez ciężaru, żaden sobie nie jest dostatecznym, żaden sobie nie jest dosyć mądrym; ale potrzeba, abyśmy się społem znosili, społem cieszyli, społem ratowali, ćwiczyli y napominali»...

— Amen! — wyrzekł mocny głos za plecyma klęczących.

Oboje drgnęli obejrzeli się poza siebie.

Przez kaplicę przesunął się szybko ku wyjściu człowiek w długiej, czarnej szacie.

Zwieszająca się ze stropu na srebrnym łańcuszku lampka buchnęła żywszym płomieniem.

Jaskrawe światło oblało na chwilę nieznajomego.

— Doktór... — szepnęła Hanusia.

— Hiszpan!... — zakrzyknął Krzyś.

Młodzieniec porwał się z kolan, za nieznajomym wybiegł.

Nie było go w bocznej ławie, ani w głównej; nie było w kruchcie, ani przed kościołem. Kruchciane babki i skuleni pod murem świątyni żebracy nie widzieli nikogo wychodzącego.

Krzyś wrócił do kościoła.

Środkiem nawy gotyckiej kroczyła dostojnie sławetna Drewnowa, szum czyniąc kosztowną, ciężką, złotem przetykaną suknią. Obok niej, bez szmeru najmniejszego, płynęła, jak duch, Hanusia.

Złożył głęboki pokłon obu niewiastom. Przy tym pokłonie oczy młodych zeszły się na chwilę i powiedziały sobie:

— Potrzeba, abyśmy się społem znosili, społem cieszyli, społem ratowali...

IX.

. . . . . .

...— «Tam zawżdy nieba świeciły pogodne, przez cały się rok łąki zieleniały... Między mirtami wesołemi, chłodne, gdzieśkolwiek stąpił,

wiatry powiewały. Szum drzew pachnących sny czynił łagodne; fontany wody przejrzystej strzelały; ptactwo śpiewało, a we środku nowy stał dziwnie piękny pałac marmurowy»...

Czytający zamilkł, aby głośną deklamacyą nie spłoszyć skradającego się szczura. Szczur wypełznął z kąta i sunął cicho, ostrożnie do kromki chleba, leżącej na ziemi, tuż przy posłaniu.

Czytający zamknął książkę, podniósł ją ponad głowę, czekał. Po chwili, gdy wilgotny pyszczek szczura dotykał już suchara, cisnął w zwierzę księgę.

Grube *in quarto* w pomarańczowym pergaminie rozpłaszczyło się na ziemi — szczura jednak nie dosięgło. Mignął jak szara błyskawica i tylko jego długi, nagi ogon zabielał na sekundę w czarnym otworze nory.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się człowiek. — Dobrze, żem w dzban z małmazyą nie ugodził. Szkoda byłaby nienagrodzona.

Poprawił się na posłaniu, które dziwnie zachrzęściało. Był to chrzęst słomy, niezupełnie jeszcze zbutwiałej i startej. Na słomie nie było ani kobierca, ani prostego kilimka, ani nawet bylejakiej, płóciennej osłony.

Podniósł z ziemi «Goffreda» i nie tracąc wesołego wyrazu twarzy, czytał dalej w głos:

«Tu w chłodzie, między ziołami wonnemi, przy ciekącym nas zdroju posadziła, gdzie z po-

trawami wielki stół drogiemi i służbę złotą była postawiła. Co się najduje w morzu, co na ziemi, co na powietrzu, i co wymyśliła uczona kuchnia, to wszystko tam było — a sto nam panien do stołu służyło»...

Uśmiechnął się przy ostatnich słowach i rękę w słomie zanurzył. Z barłogu wydobył puharek błyszczący, szczerozłoty. Podniósł go do światła, które żółtemi, jakby brudnemi smugami padało z małej, skwierczącej lampki, zawieszonej u nizkiego sklepienia.

Cieszył przez chwilę oczy widokiem pięknego klejnotu. Potem wziął ciężki dzban i przechyliwszy go, napełnił puharek po same brzegi — wodą.

Wypił, językiem mlasnął, jakby po prawdziwej małmazyi. Oczy wzniósł do góry, zaczął dobitnie skandować wiersz Horacego na cześć wina, dobrych przyjaciół i życia niefrasobliwego.

— Gdyby tu był *amicus* Jagoda! — rzekł do siebie, skończywszy. — Dopierożbyśmy prześcigali się w rytmiech! Ale on przy królewicu, dokoła słońca swojego krąży — o padół ani dba.

Zaśmiał się.

— A wżdy i na padole słonecznie, kwieciście — drzewa szum czynią, fontany strzelają, wino płynie strugą, sto cudnych panien posługę sprawuje...

Znów zaczął odśpiewywać przeciągle Horacyuszowe trocheje.

Jakby do taktu rytmom dzwoniły dokoła krople wody, ściekające ze sklepienia. Cała izba była wodą przesiąkła. Nawet bez wyglądania na zewnątrz odgadywało się, że to zarazem podziemie i podwodzie. Woda kapała z góry, spływała ze ścian, żłobiła otwory w gliniastej ziemi, niepokrytej ani deskami, ani cegłą. Na szczęście, ta ziemia była zawsze spragniona, wypijała wodę szybko, broniąc izbę od zalewu.

A woda usilnie wtargnąć tu pragnęła. Za murem jej plusk nieustannie słyszeć się dawał.

Jedno okienko miała izba — niewielkie, umieszczone wysoko, obciągnięte błoną pęcherzową. W dnie bardzo słoneczne przez tę błonę wpadało trochę mętnego światła. Można też było, silnie wzrok wytężywszy, dostrzedz przez nią dużą przestrzeń kołyszącej się wody, białe bryły chmur na niebie i zielone plamy drzew, rosnących na brzegu przeciwnym.

Muzyka wierszów i dzwonienie kropel dość długo już trwały, gdy nagle wmieszały się doń głosy nowe. Przy zwiększonym plusku wody coś kilkakrotnie uderzyło z zewnątrz w mur — w ten właśnie, który z wodą stykał się bezpośrednio i w którym znajdowało się okienko.

Uderzenia były silne — wstrząsały ścianami i sklepieniem.

Po pewnym czasie ucichły.

Człowiek w izbie zamilkł — słuch wytężył.

I nagle trwoga zjeżyła mu włosy; do okienka wyraźnie zapukano...

Kto mógł pukać?

Za oknem były tylko otchłań nocy i otchłań wody. Okienko znajdowało się w wysokości kilkunastu łokci nad powierzchnią fal. Uważano je za tak bezpieczne, że nie wzmocniono nawet kratą. Z wierzchu i od środka osłaniały je tylko dwa poprzeczne, niezbyt grube pręty żelazne.

Pukano mocno, prędko, jakby na alarm.

Człowiek trwogę przemógł — uległ ciekawości.

Na palcach, ostrożnie, przysunął stołek pod ścianę, wszedł nań, ucho do błony przyłożył.

I w tejże chwili omało nie spadł ze stołka, usłyszawszy tuż za okienkiem wołanie:

— Panie Pietrze!... Panie Pietrze!...

Głos brzmiał dziwnie — można było jednak poznać, je jest niewieści.

Nic nie odrzekł — słuchał dalej z sercem zamierającem.

Głos powtórzył mocniej, niecierpliwiej:

— Mości Dąbku! Czujesz-li waszmość?

«Czujesz-li» znaczyło: czy czuwasz?

Nie było wątpliwości, to na niego wołano. Głos wydał mu się znajomy, choć brzmiał dziwnie, jakby ze sfer górnych, powietrznych przybywał.

Trudno było go nie wysłuchać.

Człowiek chwycił sztabę, w zmurszałej cegle osadzoną — szarpnął — wyrwał. Pięścią rozbił ramę drewnianą — paznogciami zdarł błonę.

Do nory wpadło silnym pędem świeże, wilgotne powietrze.

X.

Uwięziono poetę nocą w jego własnym dworku. Nie dopełniła tego straż magistracka — owszem, magistrat był najzupełniej obcy gwałtowi, na wolnym obywatelu dokonanemu. Ale jak nad Jowiszem *Ananke*, tak nad magistratem stała potęga wyższa, która w potrzebie uważała za właściwe nie tylko nie mianować się, lecz nawet oblicza swego nie odsłaniać...

Dworek obsadzili ludzie zbrojni, w których można się było domyślać drabantów królewskich. Jedną tylko pochodnią przyświecali sobie, a i tę, o ile mogli, po węgłach kryli. Dowódca ich miał papier z pieczęcią na wosku, z podpisem wysokiego dygnitarza...

Zażywna Greta, z profilem i ramionami Junony, próbowała niedopuścić przybyszów do swego pana. Dwaj drabanci chwycili ją i usta jej zatkawszy, na uliczkę wynieśli.

Petrus Quercus ze snu smacznego przebudzony, czuł więcej gniewu, niż strachu. O obro-

nie nawet nie pomyślał, zrozumiawszy od razu, że byłaby daremna. Zresztą, jako stoik, był zawsze i na wszystko przygotowany.

Pozwolono mu zabrać ze sobą jedną tylko książkę i jeden sprzęt najniezbędniejszy. Poeta wziął «Jerozolimę Wyzwoloną» w przekładzie Piotra Kochanowskiego, oraz — szczerozłoty puharek.

Wszystko odbyło się prędko i cicho.

Na pożegnanie odchodzącemu «Junona» załkała, pies zawył żałośnie, kruk zbudzony pióra najeżył, zatrzepotał skrzydłami, zakrakał...

Poetę odprowadzono nie do Ratusza i nie do Wieży Marszałkowskiej, lecz — do Zamku.

Powrotnemu pochodowi już pochodnia nie przyświecała.

Orszak, wśród zupełnych ciemności, szedł krętymi zaułkami, zbaczając w prawo i lewo, rozmyślnie kołując, aby prowadzony drogi rozpoznać nie mógł.

Zatrzymano się wreszcie u bocznej furty, gdzie mur miejski dotykał już niemal Wisły. Tam drabanci oddali poetę straży zamkowej, która odprowadziła więźnia do Baszty Narożnej.

W rzadkich tylko i ważnych wypadkach więziono przestępców w obrębie Zamku. Widocznie sprawa Petrusa Quercusa należała do rzadkich i ważnych.

Gdyby stary Dąbek nie wyzbył się był do-

browolnie szlachectwa, syn jego byłby przed takim gwałtem bezpieczny. Szlachcic odpowiadał z wolności, czekając, aż mu sąd winy dowiedzie — plebeja ciągniono do wieży wpierw jeszcze, zanim okazał się jej winnym.

Poeta znalazł się nie tylko w wieży; wtrącono go w dodatku *in fundo*. Izba była położona o kilku stóp poniżej poziomu wody.

Zaledwie wprowadzony do wilgotnego podziemia, zaraz rzucił się na słomę i chrapnął. Miał bowiem zasadę: we wszelkich warunkach życia poświęcać na sen pewną, stale oznaczoną ilość czasu.

Niebawem dano mu poznać, że ręka, która go pochwyciła, jest właściwie łapą i że ta łapa posiada szpony żelazne.

Stawiony został przed sąd mieszany: razem świecki i duchowny. Nie wróżyło to dobrze. Obronić się sędziom świeckim było trudno; duchownym — nie podobna.

Instygator obarczył go winami ciężkiemi. Powiedział mu najpierw, że jest kacerz. Powiedział mu następnie, że jest autor złośliwych epigramatów na osoby czcigodne, a co najgorsze: że spłodził potworny *pasquilus* na świętą osobę Króla Jegomości.

Na te oskarżenia poeta odpowiedział — śmiechem.

Sędziowie porozumieli się oczami. Do pro-

tokółu zapisano: «Grzesznik zatwardziały, bezczelny».

Poeta roześmiał się, bo mu się wydało śmiechu wartem posądzanie go o niemożliwości. Dla osób czcigodnych, o ile były takiemi naprawdę, żywił zawsze cześć głęboką. Przeciw królowi nic nie napisał i napisać nie mógł, jeśli nie z innych względów, to — przez ostrożność.

Nazbyt lubił spokój i życie wesołe, aby miał dobrowolnie leźć w gardło smokowi.

Zaraz na pierwszem posłuchaniu kazano mu przysiądz, że będzie mówił «tylko prawdę, samą prawdę, nic oprócz prawdy».

Petrus Quercus odrzekł swobodnie:

— Na co przysięga? Ja nigdy nic innego nie gadam, jeno prawdę!

Jednakże przysiągł.

Do protokółu zapisano: «Lekce sobie waży przysięgę».

Potem przystąpiono do popierania oskarżeń dowodami.

«Kacerstwo» Petrusa Quercusa było stwierdzone świadectwem Boboli. Tego świadectwa dostarczył sądowi Zboiński.

Autorstwo *pasquilusa* miały udowadniać dokumenty piśmienne. Te dokumenty zobowiązał się złożyć — Zboiński.

Zboiński odgrywał w tem wszystkiem rolę

ważną — kto wie, czy nie główną. Ale nie zdradzał się z tem.

— Mocodawcą mym — mówił — jest świętej pamięci podkomorzy koronny. Byłem za życia jego poufnik; teraz jestem woli jego wykonawca.

Badanie oskarżonego odbywało się tylko dla formy. Wyrok był od dawna przygotowany i minąć go nie mógł. Ale i formie musiało się stać zadość — i to w zakresie jak najszerszym.

Już od trzech miesięcy poeta siedział w wieży o chlebie i wodzie. Niekiedy przynoszono mu miskę kaszy lub grochu. Kot bawił się myszą, wiedząc, że mu nie uciecze.

W ciągu tego czasu przesłuchiwano go kilkanaście razy. Oplątywano go coraz gęściej i silniej pajęczyną sofistyki prawniczej i teologicznej. Z początku rozrywał tę pajęczynę, potem dał jej pokój, widząc, że nie podoła.

Najczęściej wcale na pytania nie odpowiadał. Milczał, choć rozległa wiedza i pamięć doskonała podsuwały mu zwycięskie argumenty.

— Głuch czy niemądry? — rzekł raz na ucho koledze któryś z mniej doświadczonych sędziów.

— Szczwany — odszepnął tamten, lepiej sumień ludzkich świadomy.

Petrus Quercus, jak w pierwszej chwili, tak i później, na wszystko był gotów — nie drżał przed niczem. Zresztą nie myślał wcale o spra-

wie, zatopiony całkowicie w rozważaniu przygód Tankredowych.

Sam też układał pieśni, naprzemian łacińskie i polskie. Były to wyłącznie eklogi, pełne słońca, wesołości, gruchania gołębi i kochanków.

Zresztą sypiał wybornie, jedzenie więzienne zmiatał z apetytem, humoru nie tracił. Zrobił nawet spostrzeżenie, że nowy tryb życia skuteczniej od małmazyi «rozwesela serce i zaostrza dowcip». Myśli i słowa nigdy mu tak obficie i z taką łatwością nie napływały na wolności, co w zamknięciu.

Mimo wszystko, przeczucie ostrzegało go, że stoi nad przepaścią. Wyrok, choć nie ogłoszony, dawno już był wydany — nie mógł zaś przynieść nic innego, prócz zguby.

Kacerstwo i zbrodnia «obrazy majestatu» były zawsze karane śmiercią.

Stanowisko, jakie względem sędziów zajął poeta, było powodem, że opóźniał się ostatni akt sprawy. Formalna jej strona wymagała, aby oskarżony przyznał się do zarzucanych mu przestępstw — on zaś trwał wciąż przy swojem, to znaczy: przy prawdzie.

Wyobrażał też sobie, jak prawdziwy poeta, że prawda zawsze wkońcu zwycięży.

Zapomniał o jednem: że sądy ówczesne miały środek niezawodny na wydobycie z oskarżonego takiej prawdy, jaka im była potrzebna.

Ten środek miał trzy stopnie, stosowane kolejno z kilkodniowemi przerwami.

Przy stopniu pierwszym «ręce oskarżonego wyłamywały się ze stawów w ramionach, podnosiły się w górę za plecami i stawały w równej wysokości z głową; górna połowa ciała podawała się za sznurem, nogi zaś wyciągnione i do haka przywiązane wisiały jak na powietrzu».

Stopień drugi był jeszcze bardziej — przekonywający. Uparty więzień «wyciągał się jak struna, ręce jego wykręcały się w tył, stając w prostej linii z ciałem, w piersiach robił się dół głęboki, w który tłoczyła się głowa, a cały człowiek wisiał na powietrzu, nie dotykając już wcale stołka, przyczem wszystkie żebra, kości, mięśnie i ścięgna występowały tak wyraźnie, że można je było policzyć».

Nader rzadko musiano przechodzić do stopnia trzeciego, on był wszakże niezawodny. Gdy bowiem kto miał na nogach «żelaza, z dwóch sztuk złożone, z ostrymi karbami nakształt zębów piły, przez które z obu stron przechodziły śruby» i gdy mu te żelaza «na wierzch piszczeli i pod spód zadane» ściągano śrubami, które «coraz bardziej kaleczyły ciało i gniotły kości» — gotów był «wyznać», że zamordował prababkę, że słońce obraca się dokoła ziemi i że w każdej, wirującej na gościńcu kurzawie siedzi dyabeł z ogonem i rogami...

Petrus Quercus o tem zapomniał — pomimo, że na znakach ostrzegawczych nie zbywało. Każdego, bardziej na te rzeczy czułego, zastanowiłoby przedewszystkiem na ostatniej indagacyi dziwne zachowanie się jednego z sędziów duchownych...

Ze słodyczą, od której krew cierpła w żyłach, zwracał się ten sędzia do poety, już nie żądając, lecz prosząc go, aby przyznał się do kacerstw i paszkwilów.

— Są na waszmości wielkie dowody — mówił. — Niemasz sposobu wykręcania się. Ulżyj sumieniu swemu, wyznaj prawdę, kajaj się, skruchę i żal za grzechy okaż. Na wszystkie świętości zaklinam cię: uporu daremnego zaniechaj. Wspomnij na gorzkie łzy Piotra Apostoła: zmiennikiem nie bądź i zaprzańcem. Odkryj z ufnością duszę swą tym, którzy sternikami dusz są uczynieni. Nie jeno ziemski trybunał sądzić cię będzie: staniesz przed trybunałem Bożym, stokroć straszliwym. O! z jakąż lekkością serca odpowiadać będziesz Najwyższemu Sędziemu, gdy grzech uporu i kłamstwa ostawisz na ziemi...

Namowa kończyła się obiecankami, na które (w przekonaniu mówcy) trudno było nie połakomić się...

— Wina waszmości jest jako skała Syzyfowa: własnym ciężarem wali się na grzesznika. A przecie przyznaniem się i tu wiele zdziałać

zdołasz. Sprawiedliwość ludzka surowa, wżdyć i ona ma serce, zaślepienia błądzących po ojcowsku się lituje. Przyznaj się, a może sąd łaskawszą śmiercią cię ukarze...

Petrus Quercus milczał. Oczy jego na sędziów zwrócone, mówiły:

— Czyście oszaleli?

Posłuchanie skończyło się głośniejszem, niż zwykle skrzypieniem piór i dłuższem acz cichem mamrotaniem słów łacińskich i greckich.

Za wyprowadzonym z izby poetą, miodowousty *pater* posłał długie, pełne żalu westchnienie....

Jednocześnie inni patrowie pisali rozkaz do «mistrza», aby opatrzył w podziemiu haki i sznury, i aby miał w pogotowiu blachy nabijane kolcami, oraz żelazne «buty hiszpańskie».

XI.

...Twarz, którą ujrzał poeta w wybitym otworze okna, wprawiła go w osłupienie. Gdyby nie to, że obiema rękami trzymać się musiał muru, żeby nie spaść, pewnieby się przeżegnał — jak na widok ducha.

Z pod dużej, jedwabnej chustki, która całą głowę i większą część twarzy zakrywała, wyjrzały doń wielkie, ciemno-fiołkowe, w owej chwili

prawie czarne, oczy, niemające równych sobie w całej ówczesnej Warszawie...

— Przebóg! — wyjąkał. — Tyżeś to, niebogo?

— Ja sama, panie Pietrze...

— Skąd?

— Z piekła...

W ostatnim wyrazie *ł* zostało wymówione miękko, jak *l*. Mimo tego złagodnienia, wyraz oddziałał na poetę wstrząsająco.

Petrus Quercus zadrżał od stóp do głowy.

Postać za oknem dodała:

— Powiedziałam: z piekła, powinnam była rzec: z czyśćca. Wżdyć jeszcze o zbawieniu swem nie wątpię.

Widząc osłupienie poety, przyłożyła mu usta do samego ucha, mówiąc cicho a prędko:

— Śpieszaj waszmość. Niema czasu na mitręgi. Bierz coć trzeba i w drogę!

— Którędy?

— Przez okienko.

— Jakże? prosto do Wisły?...

— Pod basztą stoi czółno...

— Skakać?

— Nie, zejść po drabince.

Wszystkie *r* w ustach mówiącej gruchały po gołębiemu. Czyniło to jej mowę słodką, pieszczotliwą. Zresztą i sam wyraz «drabinka» miał dużo mocy kojącej.

Poeta uspokoił się.

Naglony do pośpiechu, zeskoczył szybko ze stołka — żwawo zakrzątnął się po izbie. Narzucił na ramiona ciemną opończę, głowę nakrył czapeczką, futrem oszytą. Potem rozrzucił barłóg, dobył zeń księgę w pergaminie oraz złoty kubek. Obu przedmiotów brać ze sobą nie mógł, nie mając ich gdzie pomieścić. Bez namysłu wybrał — Kochanowskiego.

— Toć i to złoto — szepnął do siebie.

Okienko musiał rozszerzyć przez wybicie kilku cegieł, w czem pomagała mu z zewnątrz Jaga. Szum wiatru i fal zagłuszał łoskot spadających gruzów.

Niebawem Petrus Quercus znalazł się na drabince, którą przytrzymywało dwóch ludzi siedzących w czółnie. Dostał się i on do czółna i zajął miejsce obok czekającej nań Ormianki.

W tejże chwili krzepcy, ponuro milczący, wioślarze odepchnęli statek od baszty. Czółno zakołysało się na wzburzonych falach i zwolna zaczęło posuwać się ku przeciwnemu brzegowi rzeki.

Poecie zdawało się, że marzy. To jedynie rozumiał, że wybawiono go z niewoli i że wybawicielką jest jego dawna Greta.

Z radością, choć i z niepokojem, zwrócił się do Jagi, aby jej wynurzyć wdzięczność, rękę serdecznie uścisnąć. Ale już dziewczyny przy nim nie było.

Usiadła na przeciwnym końcu czółna, jak najdalej od niego.

Zawołał na nią po imieniu — nie odpowiedziała. Zresztą szum wody i plusk wioseł zagłuszały słowa.

Chciał wstać, podejść do niej, lecz to było niepodobieństwo. Łódź silnie się kołysała, on zaś, osłabiony więzieniem, doznawał ciągłych zawrotów głowy.

Zaniechał przeto wszystkiego i siedział nieruchomo, czekając: kiedy i w jaki sposób sen się zakończy...

Noc była bardzo ciemna, niebezpieczeństwo przeprawy wielkie. Petrus Quercus zgoła o tem nie myślał. Miałżeby trwożyć się mężczyzna, mędrzec i poeta, gdy młoda, słaba niewiasta najmniejszego nie okazywała lęku?

W milczeniu okrążono Kępę; w milczeniu przedzierała się łódź do brzegu praskiego. Trwało to długo. Na rzece były wiry, które należało wymijać; niekiedy napór fal był tak wielki, że tylko z wysiłkiem pokonywać się dawał. Przytem, jeśli wysoki brzeg warszawski błyszczał tu i owdzie sennie mrugającemi światełkami, płaszczyzna Pragi tonęła w zupełnych ciemnościach.

Dążono do celu prawie po omacku.

Wreszcie łódź wstrząsnęła się gwałtownie; zachrzęścił pod nią piach wilgotny — statek

nie tyle wylądował, co wyrzucony został na płaskie wybrzeże.

— Wysiądźmy — przerwała długie milczenie Jaga, wstając z miejsca i przystępując do poety.

Nie zbliżyła się jednak zupełnie, jakby obawiając się dotknięcia.

Petrus Quercus, pełniący rolę zupełnie bierną, uczynił co mu kazano.

Zaledwie kilka kroków postąpił, usłyszał idącą za sobą Ormiankę. Zatrzymał się — ona zbliżyła się doń na odległość dwóch kroków.

Prawie jej nie widział. Wydawała mu się czarną na ciemnem tle plamą.

Nie wiedział co rzec — ona pierwsza przemówiła:

— Wolnyś waszmość. Już cię tu pachołki nie pochwycą. Idź w świat, nie oglądając się za siebie.

— Greto... — szepnął — dziewko moja serdeczna...

Ona ciągnęła:

— Czeka waszmości droga daleka, trzeba ci kalety dobrze opatrzonej. Łaskę mi uczyń: weźmi to...

Odczuł bardziej, niż dojrzał, wyciągniętą do siebie rękę.

Instynktowo wysunął swoją — namacał w cie-

mnościach podawany sobie przedmiot — palcami go ujął.

— Daję co mam — mówiła Jaga, jakby usprawiedliwiając się. — Nie czerwieńce to są, jeno klejnoty. Pono siła warte.

Milczał, ściskając w ręce ciężki woreczek. Nie wiedział ani co czynić, ani co mówić.

Dziewczyna pośpieszyła z objaśnieniem:

— Moje to własne dziedzictwo po stryju...

— Sobie ostaw... — wyrzekł, starając się oddać jej skarb z powrotem.

— Nic mi po klejnotach... — odparła. — Grzeszna jestem i nędzna. Wór z popiołem i włosienica, oto prawe klejnoty pokutnic.

Umysł poety błądził w labiryncie.

— Nie rzekłaś mi dotąd — szepnął — jak się to wszystko stało? Kto cię przysłał? skąd się wzięłaś?...

— Mówiłam już waszmości, że z piekła.

— Gdzież ono piekło?

— W międzymurzu u kata...

Okropnie zabrzmiało to wyznanie w głuszy ciemnej, przy poświście wichru.

— A przecie — dorzuciła ponuro — żołdak mię żaden nie tknął. Grzesznam, ale nie splugawiona. Broni mię krzyż, który noszę... na głowicy stryjowego kindżała.

Drżący promyk gwiazdy, z chmur wychylonej, załamał się na błyszczącym, obosiecznym

ostrzu, które Ormianka wydobyła z fałd swego odzienia.

— Strasznie tam być musi?...

— Strasznie...

— Jakże się wydostałaś?

— Fortelem najpierw, potem, gdym już swój skarb odebrała, przekupstwem.

— W tej chwili nikogo nie potrzebujesz się obawiać?

— Nikogo.

— Ci dwaj ludzie, co nas tu przywieźli?...

— Rybacy z Powiśla, zapłaceni przezemnie.

— Ów... z międzymurza, pościgu za tobą nie urządzi?

— Co jemu po mnie!

— Chwałaż Bogu! To już i koniec piekłu twojemu.

— Nie, nie koniec.

— Któż cię do powrotu zniewoli?

— Sama wrócę.

Petrus Quercus aż skoczył, usłyszawszy te słowa.

— Pocóż miałabyś wracać?

— Aby męczyć się dalej.

— Patrzyłem na twoją mękę. Wierę, Bóg jej ma zadość.

— Grzech mój śmiertelny, pokuta do śmierci trwać musi.

Poeta rozrzewnił się. Pociągnęło go do dziewczyny szczere współczucie.

— Zaniechaj tego — wyrzekł prosząco. — Pokuty dokonasz modlitwą, jałmużną, postem. Bóg ją z każdego miejsca przyjmie. Warszawę rzuć, idźmy w świat razem.

— Nie mogę.

— Radzę-ć z serca szczerego. Nie jeno radzę, ale i proszę. Usłuchaj mnie. Wżdyć dawniej dość mię lubiłaś...

Nie zaraz odrzekła. Zdawała się namyślać nad odpowiedzią. Wreszcie przemówiła głucho, jakby niechętnie:

— Dziś już waszmości nie lubię.

Takiego wyznania żaden mężczyzna nie wysłucha obojętnie. Petrus Quercus, choć stoik, zafrasował się.

— Krzywaś mi, dziewko moja? — spytał z lekką wymówką. — Za co? Uczyniłem ci krzywdę jakową?

— Nie.

— Jeśli przeto złości przeciw mnie w sercu nie chowasz, podaj mi rękę.

Usłuchała go.

Ręka dziewczyny była zimna, jak z lodu. Ale zaledwie potrzymał ją kilka chwil w swej dłoni, rozgorzała takim ogniem, że się zdała żagwią płonącą.

Petrus Quercus poczuł ten ogień aż w sercu.

— Prawda-li to — czule zapytał — że ty mię nie lubisz?

— Prawda.

— Dlaczego?

Dziewczyna wybuchnęła:

— Nie lubię, bo... miłuję! Całem sercem, całą duszą miłuję waszmości! Dzbanem wody kupiłeś mnie waszmość wszystką aż do śmierci. Żywię jeno myślą o tobie. Ręcebym twoje całowała, do nóg twych upadła... Jeśli ci krwi mojej trzeba, oto nóż, oto serce moje... Podsłuchałam tajemną rozmowę butlów: jako męczyć mają waszmości, i otom wybawić cię przyszła... Jakżem szczęśliwa, żem ci się na cokolwiek przydała!... Gdybyś mię waszmość teraz zabił, byłabym szczęśliwa aż do ostatka dni swoich!...

Poeta słuchał tych słów jak w odurzeniu. Było to odurzenie rozkoszne, takie, jakie sprawiają wyziewy kwiatów przyjemnie pachnących.

Dziewczyna zamilkła — jemu się zdawało, że wiatr szumiący po zaroślach słowa jej powtarza, do samego ucha mu przynosi — czule, pieszczotliwie wyszeptuje...

Nie wiedział co odpowiedzieć. To było pod wszystkimi względami tak niespodziane!

Czuł, że pod wpływem tego wyznania wszystko przetwarza się dokoła niego i w nim. Stojąca przed nim, ledwie widna, w mgle i wietrze rozpływająca się, postać nic już nie miała

w sobie z jego dawnej Grety. Miejsce «gospodyni» z Dworka Bocianego zajęła istota zagadkowa — dobrowolna męczennica, na chwilę tylko wychylona z otchłani. Nie zdziwiłby się, ujrzawszy ją otoczoną światłem.

I w sobie czuł zmianę dziwną. Zamknięcie, post długi, wytężona praca duszy o całe lata postarzyły go, a zarazem myślą i sercem podniosły.

Doświadczał uczucia zupełnie nowego. Dziewczyna pociągała go, ale w sposób zgoła inny, niż dawniej. I teraz pragnął przygarnąć ją do siebie, uścisnąć, ucałować to miłowanie, wszakże nie było wcale podobne owemu, które jego mistrz Horacy opiewał.

Cokolwiekbądź, zrozumiał, że dziewczyna, która mu w głos kochanie swoje wyznaje, jest — jego dziewczyną. Postąpił więc ku niej, aby ją pochwycić w objęcia.

Ale pochwycił tylko mgłę zimną.

Jaga rozpłynęła się w mroku.

Zawołał na nią po imieniu — nie odpowiedziała. Pobiegł w stronę rzeki — nie napotkał nic, prócz wilgotnych, cały horyzont zakrywających, oparów.

Nagle, z mgły nadrzecznej, dobiegł go głos. Brzmiał głucho, jękliwie — zdawał się płynąć z wielkiego oddalenia:

— Z Bogiem, panie Pietrze!... Z Bogiem, mój miły!...

I zaraz potem — plusk i szum wody, wiosłami rozbijanej...

Ogarnęła go wielka tęskność.

— Greto!... Greto!... Greto!... — zawołał po wielekroć.

Mgła, coraz bardziej gęstniejąca, tamowała mu głos, czyniąc go prawie bezdźwięcznym. Wołania wsiąkły w tę mgłę bez echa.

Wyciągnął ręce — chciał biedz, skąd plusk wioseł dochodził.

W tej chwili ściemniało bardziej jeszcze — puścił się deszcz rzęsisty. Szum wiatru, fal, ulewy razem się zmieszały. Poeta uczuł na twarzy bryzgi zimnej wody.

Oprzytomniał.

— *Mehercle!* — zawołał, jakby budząc się ze snu. — Tociem nie Wanda... do Wisły nie skoczę!...

Poczuł się napowrót stoikiem. Chciał zawrócić — ale stanął jak wryty. Ze środka rzeki dobiegło go głośne łkanie.

Wytężył słuch, zważając: czy ten głos zbliżać się będzie, czy oddalać?...

Łkanie odzywało się coraz ciszej, coraz niewyraźniej — wreszcie rozwiało się w przestrzeni.

— Przywidziało mi się — mruknął. — To wiatr po chrościnie buszuje...

I przypomniawszy sobie, że ma na Pradze znajomego Izraelitę, puścił się szparko, aby u niego resztę nocy przespać i klejnotów część na drogę spieniężyć.

CZĘŚĆ CZWARTA.

CHOCÌM.

I.

— Czuuuj!...
— Braciaszki! Taż choć momencik...
— *Wer da?*
— *Freund.*
— Wos pun gdzie?
— Na nocnej straży. Konia pod nim ubiły.
— *Szczasť nam Boh!*
— *«Wsidaj brate na konia... nedałeka doroha»...*
— *Requiescat... pacem aeternam da ei Domine...*
— Dobij! dobij!... Bóg cię nagrodzi...
— «Leć głosie po rosie»...
— *Hura-ha! Hura ha!...*

Znów cisza. Tylko Dniestr tłucze się o skaliste brzegi, jęcząc, grożąc; tylko konie prychają i biją kopytem ziemię; tylko wiatr zarzeczny, razem z wonią świeżych pokosów, przynosi krzyk nocnego ptaka.

Obóz śpi. Ale sen obozu jest podobny do snu człowieka w gorączce. Chwile martwego odrę-

twienia przerywają wybuchy, rzucania się niespokojne, maligna...

Ot, i teraz, gdzieś daleko, przy łańcuchu ostatnich czat wszczął się nagły hałas. Zatętniał galop koński, rozległ się szczęk broni, buchnęła wrzawa głosów zmieszanych. W jednej chwili wszystko ucichło, a w mroku zamajaczyła gromadka ludzi, wiodących w głębię obozu skrępowanego człowieka.

Był to szpieg turecki. Schwytała go straż nocna, gdy pełznął, jak wąż, pod okopy.

Tu i owdzie gotują strawę w kociołkach, starannie zasłoniwszy ogniska, bo hetman ogni nocnych nie lubi. Ciury czyszczą zbroje i handlują zdobytymi za dnia łupami; towarzysze grają w kości, ciągną wino i gorzałkę z miodem.

Ranni jęczą; umierający jednają się z Bogiem. Kapelan obozowy w komży, z olejami świętymi, przesuwa się, jak cień biały, poprzedzany przez chłopca cienko pobrzękującego małym, cichym dzwoneczkiem. Dokąd Bóg wejdzie, już tam spokój; gdzieindziej — krzyki ostre i bluźnierstwa. Zupełnie jak w starej, żołnierskiej piosence:

Gdy już w biegu drzewce skruszą,
Niejeden się żegna z duszą,
Jednemu się mienią oczy,
A z drugiego krew się toczy,

Trzeci woła, by dobito,
Albo szablą łeb ucięto...

Żywi i cali nic na te krzyki nie baczą. Gdy się nie bawią, śpią - śpią «potężnie», jak się jeden z dyaryuszów wyraża. Tym tylko, co zostawili doma żonę, dziatki, troska wierci serca, sen z powiek spędza...

I do hetmańskiego namiotu sen dotąd nie wstąpił. Niedawno odbyła się tam rada wojenna. Co tylko najtęższego posiada obóz — z wyjątkiem chorego i na bezczynność skazanego królewicza — brało w niej udział.

Na radzie hetman został przegłosowany. Zapał sędziwego «Jana Carolusa» wydał się młodszym odeń znacznie komisarzom i senatorom zbyt porywczym, zbyt młodzieńczym...

Chodkiewicz chciał lecieć na bój jak orzeł, oni postanowili być, jeśli nie «cisi jak gołębie», to przynajmniej «ostrożni nakształt wężów». — Nuż nie uda się? — mówili sobie, i lęk ogarniał ich śmiertelny. — Będziemyż rzucali kostką o Rzeczpospolitą?... — powtarzali, pragnąc obronić i uprawnić swe kunktatorstwo.

Zygmunt III już był zaszczepił Polakom zimny jad swej ślimaczej, pełzającej «dyplomacyi». Na sejmie mianowano jedenastu komisarzów, którzy nie mieli na celu nic innego, jak:

podcinać skrzydła geniuszowi rycerskiemu Chodkiewicza.

Zwycięzcę z pod Kircholmu szanowano, czczono, wysławiano w mowach i pieśniach — ale mu nie dowierzano. Dzielił los wszystkich wielkich, otoczenie swe przerastających duchów. Zamysły jego były wielkie i śmiałe, wykonanie ich prędkie, z zuchwalstwem graniczące. Zanim inni zdążyli rozpatrzeć się w sprawie, on już ją kończył. Nienawiści swych nie ukrywał; przyjaźnie stwierdzał bodaj krwią serdeczną. Jego oko sokole ogarniało od razu całość; widział w jednej chwili początek i koniec każdego przedsięwzięcia. Wielkie przestrzenie, które inni przebywać muszą krok za krokiem, on jednym rozmachem skrzydeł przelatywał.

Jakże mógł nie budzić niedowierzania — prawie strachu — w królu «dojutrku», we flegmatyku zaciętym, o którym mawiano: *tardus, taciturnus, tenax* · spóźniający się, ponury, uparty!...

Hetmana przegłosowano. Radził od razu, całą masą nieznużonego jeszcze i pierwszymi tryumfami podnieconego wojska, runąć na Turków, przerazić ich, upokorzyć i do zawarcia pokoju zmusić; radził jednem, ogłuszającem uderzeniem pioruna zapobiedz długiemu rozlewowi krwi — nie usłuchano go. Nie usłuchano, gdyż... nie zrozumiano. Leśniowski, Sieniawski, Kossakowski, zwłaszcza zaś Jakób Sobieski zdradzający upo-

dobania literackie, a więc wręcz rycerskim przeciwne — oświadczyli się stanowczo za wojną przewlekłą. Bohatera mógł zrozumieć tylko bohater — nie było zaś go między komisarzami i senatorami. Podobno, po Cecorze, próżnoby oglądano się za bohaterem po całej Rzeczypospolitej...

Chodkiewicz ustąpił. Bolała go obrażona duma, w sercu czuł palącą gorycz zawodu — jednak ustąpił. Uczynił tak najpierw dlatego, że kochał ojczyznę stokroć bardziej, niż siebie; następnie, że chciał dać przykład karności, którą innym wymownie zalecał.

Ale powód najważniejszy tkwił głębiej, na samem dnie sumienia. Było nim: tajemne przeczucie, że bądź co bądź, zwyciężyć, tryumfatorem zostanie, imię swe na wieki z pamięcią Chocima połączy...

Mimo wszystko, cierpiał. Gdy komisarze odeszli, długo biegał po pustym namiocie, jak tygrys po klatce. Wreszcie rzucił się na łoże, futrami wysłane, głowę na dłoni wsparł, wzrok zatopił w migotliwem świetle kaganka dumał...

Nie był to już Chodkiewicz z przed lat trzynastu. Mleczna broda leżała mu na piersiach, z nad wyłysiałego czoła zniknął czub wichrowaty; tylko brwi i wąsy zatrzymały nieco dawnej czarności, tylko głęboko osadzone oczy ża-

rzyły się po dawnemu — czasem wściekle, częściej posępnie...

Twierdzą historycy, że miał wówczas lat sześćdziesiąt. Wacław Potocki nazywa go kilkakrotnie «starcem siedmdziesięcioletnim». Skłonniejsi jesteśmy do uwierzenia ostatniemu. Sześćdziesiąt lat to jeszcze nie sędziwość, zwłaszcza dla męża zahartowanego jak stal, z duszą płomienną, z ciałem lwiem. Któryś z wielkich poetów powiedział: «Dla ludzi genialnych, starzeć się, znaczy rosnąć». I Chodkiewicz był na swój sposób genialny.

Niegdyś, stały wyraz twarzy hetmańskiej stanowiła rzymska *virtus*. Dziś o tej twarzy można było rzec, że ma wyrazów tysiąc. Życie znaczyło ją coraz inaczej, coraz inne struny targając w umyśle i sercu.

Ze śmiercią żony, z duszy i twarzy hetmana uciekła na zawsze radość; śmierć syna, ukochanego nad wszystko «Hieronimka», wypłoszyła z nich nawet nadzieję. Wprawdzie druga żona, dwudziestoletnia Anna Aloizya, czekała na powrót sędziwego małżonka w Jarosławiu, on wszakże — w i e d z i a ł, ż e n i e p o w r ó c i. Ta pewność (o której czytać u współczesnych, głównie u Petrycego) mroczyła żałobą wyraziste rysy hetmana, dając im zarazem wyraz uduchowienia, właściwy czekającym na śmierć. Dołączały się do wszystkiego: obawa o losy ojczy-

zny, zgryzota, wywołana niekarnością poddanych, tysiączne ukłócia, otrzymywane od zawistników, wreszcie ohyda wstrętnego, przygaszającego zapał, przez sejm narzuconego — kunktatorstwa. Wreszcie, od roku, prześladowało go krwawe widmo Żółkiewskiego...

Nad tą całą burzą świeciła promiennym łukiem tęczy — Wiara. Chodkiewicz, zawsze nabożny, w ostatnich latach życia więcej obcował z Bogiem, niż z ludźmi. Modlitwa zabierała mu codziennie tyleż czasu, co powinności hetmańskie.

Ciałem swem już zarządził: miało legnąć w Kretyndze, obok pierwszej, gorąco umiłowanej małżonki. Resztę sił niósł na usługi krajowi, nie oszczędzając ich, ani się z niemi drożąc; jeśli zaś kiedykolwiek zapragnął dłuższego żywota, to tylko w tej myśli, żeby zeń pożytek miała ojczyzna.

Gdy komisarze (przyłączył się do nich Lubomirski oraz senatorów kilku) postawili na swojem, radość ich była wielka. Ta radość udzieliła się i historykom, współczesnym i późniejszym. Winszowano sobie, że «roztropność» wzięła górę nad «porywczością», że zapobieżono wielkiemu nieszczęściu...

Dziś sądzimy o tem inaczej.

Dziś wiemy, czem były naprawdę owe kroć tysięcy Turków, w których stopniowem zwię-

kszaniu tak sobie podobali nasi pisarze. Cyfry rosły w miarę rozgrzewania się fantazyi. Co Kobierzycki oznaczał liczbą 400.000, u Piaseckiego wzrasta do pół miliona. Jan hrabia z Ostroga, świadek naoczny, widzi «trzykroć sto tysięcy, krom Tatar». Wassenberg bez zająknienia mówi: *septies centena millia.* Niesiecki myślał chyba o całym milionie, bo samych Tatarów liczy siedmkroć sto tysięcy.

Dziś, gdy się zna źródła tureckie, przez Sękowskiego udostępnione, tę «nieobjętą mnogość zjadłej dziczy», która biskupa Warmińskiego w zimne patos wprawiała, łatwo wprowadzić do cyfry rzeczywistej. Ona nie przenosi 200.000.

Więc skłonić trzeba głowę przed geniuszem Chodkiewicza. Nie porywczość, lecz rozum głęboki pchał go do walnej, energicznej rozprawy z nieprzyjacielem.

Gdy chciano go przerazić ogromem armii tureckiej, na szablę wskazując, zawołał:

— Ta ich policzy!...

Gdy wspomniano o fanatycznej zaciekłości sułtana, o jego pogróżkach, krew lodem ścinających, przytoczył ruskie przysłowie:

— *Sierditaja sobaka wołkom strawa...*

Pierwszą odpowiedź wspomniał Sarbiewski, drugą Birkowski.

Pomimo nieusłuchania hetmana, zwyciężono. Ale to zwycięstwo zostało okupione potokami

krwi. Dziesiątki tysięcy trupów zaległy nadrzecze Dnieprowe, w nurtach rzeki grób znalazły. A on właśnie chciał temu zapobiedz.

To nie był «bożek wojny», zamiłowany w bitwach, szafujący krwią ludzką obojętnie, może z upodobaniem. Nie wiadomo, czy krew wroga miała dla niego jakąkolwiek wartość (byłby w takim razie wyższy nad swój wiek — i nad dwa wieki następne), ale krew polską uważał za świętość i zawsze pamiętał, że z niej Bogu wyrachować się musi...

II.

Światła i cienie przesuwały się po wyrazistej twarzy hetmana. Rzucała je może migotliwa lampka — prędzej wszakże pochodziły od kotłujących się w mózgu myśli.

Duchem stał hetman wysoko, w sferze zupełnego, nadziemskiego spokoju — nad nerwami chorymi panować nie zdołał. Unosiły go często dalej, niż należało. Kiedyś, w obliczu wojska, cisnął buzdyganem w Kazanowskiego — omal nie uśmiercił magnata. Było to ze wszechmiar opłakane; najgorzej odbiło się na zdrowiu hetmańskiem.

Ależ-bo trudno już było wytrzymać. Dworska hałastra otaczająca królewicza zbyt wiele

sobie pozwalała. Sama powierzchowność strojnych, podrygujących, z kudłatymi włosami, piżmem woniejących młodzików, poruszała żółć w starym rycerzu. Cóż dopiero, gdy te fanfarony obejściem się, minami, półsłówkami okazywali lekceważenie jego władzy najwyższej.

Hałastra czuła się bezkarną, mając za sobą syna królewskiego. Władysław pewnieby wybryki młokosów poskromił — choroba trzymała go w łożu, czyniła bezsilnym.

I położenie w obozie trułο hetmana. Najlepiej był świadomy jego niedostatków, zwłaszcza przy wojnie przewlekłej. Łatwo mogło zbraknąć żywności i amunicyi. Przytem, któż mógł zaręczyć za długą wierność kozaków? Zaporożcy byli jak wiatr stepowy — trudno było zgadnąć: kiedy i dokąd polecą. Tylko pieniądz mógł był zatrzymać ich na miejscu, ale tej marności zawsze brakło Rzeczypospolitej. Tymczasem na kozactwie stała armia, wspierały się losy całej wyprawy.

Przeczucie śmierci nie miało dla Chodkiewicza nic strasznego. Ale drżał, żeby nie przyszła nie w porę. Już upatrzył w Lubomirskim swego następcę — wolałby był jednak sam sprawy z Turkami uładzić.

Przesuwała mu się niekiedyś przed oczyma urocza postać Anny Aloizyi — postać dziwna, lotna, podobna do tych majaków, które, zdaje

ci się, że już trzymasz w ręce, a one, ulatują w dal, albo się w nicość rozpływają. Takie promienie pięknie złocą puszystość lekkich, wiosennych obłoczków — czarnych, jesiennych chmurzysk one nie przebiją...

Mroki na czole hetmańskiem coraz bardziej gęstniały — z oczu coraz posępniejsze, jakby gromniczne buchało światło. Zerwał się nagle — postąpił kilka kroków w głębię namiotu, gdzie błyszczał w półcieniu ołtarzyk polowy.

Ukląkł na porzuconej tam skórze wilczej — oczy do nieba wzniósł — modlił się...

Długo trwała modlitwa. Nie przeszkadzano w niej hetmanowi. Ktoś kilkakrotnie zaglądał do namiotu — spostrzegłszy starca na klęczkach, cofał się z pośpiechem.

Nagle oczy modlącego się stanęły słupem. Powyżej ołtarza, w ciemnem zagłębieniu dojrzał głowę Żółkiewskiego. Głowa unosiła się w powietrzu krwawa, śmiertelną sinością powleczona; z jej oczu, patrzących z boleśną wymówką, płynęły łzy...

Krótki, przenikliwy krzyk wydarł się z piersi Chodkiewicza. Starzec wzniósł w górę obie ręce, na usta wystąpiła mu piana — z wykrzywioną twarzą, z drgającymi członkami upadł na ziemię.

W tejże chwili weszli do namiotu dwaj ludzie: ksiądz i lekarz.

Ksiądz wziął się zaraz do modlitwy. Lekarz

podsunął choremu pod głowę zwinięty kobierzec i z miejsca go nie ruszał.

Była to chroniczna choroba hetmana: kaduk. Strasznymi jej napadami przypłacał każdą głębszą zgryzotę, każdy gwałtowniejszy wybuch gniewu. Pod Chocimem napady powtarzały się częściej, bo i cierpienia częściej i srożej dojmowały.

Burzliwy dzień życia hetmańskiego nie rozpogodził się nawet pod wieczór.

Gdy napad minął, ksiądz z lekarzem przenieśli chorego na łoże — sami siedli opodal, cicho rozmawiając.

— Odpoczynku mu trzeba — mówił ksiądz. — Dość już nateral się w służbie Rzeczypospolitej. Nie młodzik; miejsce jego nie w namiocie, jeno przy ciepłym kominie, przy dzbanie piwa z grzankami...

Lekarz uczynił głową i ręką znak przeczący.

— Co mówisz, *reverende!* — zżymnął się. — Chciałżebyś sokoły po kurnikach trzymać, ognistymi bachmatami mierzwę wozić? Jemu nie pod pierzynę leźć, jeno w pole lecieć, szablą karków pogańskich macać. Posoka turecka — oto *remedium* na niemoc hetmańską. Zaraz jutro pchnę go na Turka, gdy wyjdzie z niego cholera, ozdrowieje.

Noc płynęła, oni z miejsc nie wstawali, czuwając nad chorym. Hetman spał twardo, z oczy-

ma szklącemi się pod niedomkniętą powieką. Przez sen mruczał słowa to gniewne, to błagalne.

W tym samym czasie, w innej stronie obozu, przepędzał noc bezsennie człowiek, nie mający z pozoru żadnej do tego przyczyny.

Był to lisowczyk.

Towarzysze jego — z wyjątkiem zaciągnionych na straż nocną — od dawna już chrapali. Za dnia byli w ogniu, a to na sen środek najdzielniejszy. Pomogła k'temu i gorzałka, której Wołosza dostarczała w obfitości.

Ten jeden przewracał się niespokojnie na pokrytej wojłokiem ziemi, przyczem klął półgłosem, po polsku i po rusku, księżyc, przez płótno namiotu przeglądający.

Już kilka nocy bezsennie przepędził. Niepokój wewnętrzny przemógł znużenie. Junak knuł plany tajemne, wytężał myśl ku celowi, od którego cała jego przyszłość zawisła.

Niedawno jeszcze wesół, hulający bez pamięci, niedbały o jutro, we wszystkiem rozpasany, od kilku dni zmienił się, sposępniał — w sobie się zataił.

Stało się to z chwilą, gdy do obozu przybył królewicz z wojskiem koronnem.

Dwie wówczas niespodzianki spotkały junaka. Pierwszą był widok pięknego oddziału rajtaryi, którą własnym sumptem wystawił i przy-

prowadził towarzysz jego chłopięctwa, niegdyś druh, a co najdziwniejsze człek zgoła nie rycerski bo — warszawski mieszczanek. Drugą stanowił list przywieziony ze stolicy przez któregoś z rotmistrzów, a pochodzący od ojca junakowego.

W liście te były słowa:

«Uwiadamiam cię, miły panie synu, że imćpan Melchior Drewno, Hanusiów ociec, srodze zachorzał, i już się pewnikiem Kostusi nie wywinie. Medycy piszą mu termin ostatni za niedziel ośm, *ad maximum* za dziesięć. Wszystko rzuć, a do Warszawy bieżaj, nie mieszkając. Póki jeszcze żyw, trzeba sprawę uładzić i koniec dać jej fortunny. *Post fata* pana oćca, opiekę nad dziewką weźmie jego rodzony imćpan Łuka — o którym wiesz, jako nam jest krzywba, nawet cale *inimicus*. Ani momentu nie mitrężt: zabieraj koń swój (zdobyczne takoż) i wszystko, czem cię Mars z Fortuną w wyprawach twych zbogaciły. Wiemci jako o sobie pamiętać umiesz, a przy podziale łupów na ubocz nie idziesz. Więc kamyczków klejnotnych co najwięcej; więc rzędziki grzeczne co u bachmatów tureckich nie nowina; więc złote sygnety, zapinki, trzęsidła, których w tureckich namiociech a wpierw u Węgrów i innych nacyi *multum* nałowić musiałeś; więc naresztę czerwieńce, bodajby pogańskie — w sakwy statecznie kładź

a wiąż, i pod strażą pacholikową, dniem i nocą, przez góry i jary, po szczęście swoje ruszaj. A niech to będzie z wolą pana hetmanową — przed którym udaj: jako ociec twój *moriturus*. Z czem cię Panu Bogu polecam.

Piotr Zboiński, ręką swą.

A sakwy miej nabite, bo wystąpić trzeba *honeste* — memu zasie mieszkowi boki haniebnie zapadły».

Lisowczyk miał nad czem łamać głowę...

I klejnoty i złotogłowy i rzędy turkusami sadzone i trzosik wreszcie z dukatami niedawno jeszcze posiadał. Okazyi do ładowania sakw nie brakło. Straceńcy rzucali się w bój jak sępy, rwali jak kruki — nakształt srok byli łakomi na błyskotki. Ten nie zawsze bywał pierwszy do boju, za to w rabunku nikomu ubiedz się nie dał.

I byłby z pewnością skarb swój powiózł w całości do Warszawy, gdyby nie to, że pomiędzy obozem a zamkiem chocimskim był parów, że w tym parowie osiadła kupa przekupniów, handlujących najponętniejszymi dla żołnierza towarami i że najżwawszy z tej kupy miał wino mołdawskie wielkiej cnoty, gorzałkę mocną jak ogień i dwie córki na schwał urodziwe, oraz, że w jego baraku o każdej porze szła gra w karty lub kości...

Wszystko to sprawiło, że łupy, zamiast do

Warszawy, pojechały do owego handlarza, którego dla włosów rudych nazywano Szafran.

Ten Szafran uchodzić chciał za Wołoszyna, był naprawdę żyd farbowany. O dziewkach, co u niego wino wojakom nalewały i inne usługi czyniły, trudno było rzec, czy są jego córki, siostry lub jego wspólniczki. Udawał wszakże ojca, wielce o ich cnotę dbałego. Gdy który z junaków w tym kierunku wykroczył, nigdy mu tego płazem nie puszczał: zawsze ów śmiałek musiał winę swą okupywać gotowizną lub fantem.

Z ilości fantów złożonych przez Zboińskiego można było łatwo wyrozumieć ogrom jego wykroczeń.

Pismo ojcowskie zastało junaka w położeniu prawie Hiobowem. I on sam i koń jego mogli byli śmiało powiedzieć: — To tylko nasze, co na nas.

Lisowczyk, przepijając u Szafrana ostatni klejnot, mówił sobie:

— Fraszka! Dość jeszcze onych w namiocie sułtana i jego baszów.

Ale czasu nie było na świeże obłowy. Zanimby rycerz zdążył nowe trupy obedrzeć, Drewno mógł umrzeć, a z nim przepadłaby cała fortuna.

Konrad, który w stanie zwyczajnym był wściekły, teraz, gdy go wściekłość prawdziwa

objęła, stał się spokojny. Chodził «jak sum», milczący, ponury, czarne myśli przeżuwał, czarne plany knował.

Jednego wieczora do parowu poszedł, z samym Szafranem zasiadł do kości.

— O co gramy? — spytał tamten, przezierając wzrokiem bazyliszkowym puste kieszenie lisowczyka.

— O wszystko moje, które jest u ciebie.

Szafran roześmiał się od ucha do ucha.

— Jak jest, to już jest. O cóż tu kości rzucać?...

— O to, że jeśli wygram, wszystko do mnie powróci.

Żyd zmrużył oczy.

— A jak ja wygram?

— Zapłacę ci tyle, ile to wszystko warte.

— No, to warte dużo...

— Zapłacę ci dużo.

Szafran mieszał kostki w kubku, nie myśląc ich rzucać.

— Zaczynajmy... Cóż to? Czyżbyś nie polegał na słowie szlacheckiem?

Zwrócił się do dziewczyny, która siedziała w pobliżu, jednem okiem i uchem uczestnicząc w tej scenie, drugie zaś oko i ucho wysyłając przez okno do nowych gości, zsiadających z koni przed budą.

— Ot, twoja Zofka za mnie zaręczy...

Zofka roześmiała się, pokazała figę — z zalotnem spojrzeniem wybiegła do przybyszów.

Lisowczyk posłał za nią przekleństwo.

— Salka poczciwsza... Gdym jej niedawno sznur pereł dawał, przysięgła, że będzie zawżdy przyjaciółka moja. Salki jestem pewien. Hej! gdzie Salka?... Salka! Salka!

Ale Salka nie słyszała nawet wołania, siedząc przy innym stole, między dwoma towarzyszami, którzy pijanym głosem ryczeli śpiewkę żołnierską.

Żyd potrząsał kostkami — uśmiechał się, milczał...

Konrad spokojny, bo wściekły, wyciągnął z zanadrza list ojcowski, oddarł czystą połowę — na stole, przed sobą, papier rozłożył. Następnie sięgnął po pióro leżące na półce i — odwinął lewy rękaw swego kaftana.

Po chwili, w prawej jego ręce błysnął nóż. Szkliste ostrze dotknęło nagiego ramienia — z małej ranki trysnęła krew...

Handlarz nie przerywał zabawy z kubkiem. Na junaka patrzył ciekawie, lecz bez zdziwienia. Widywał rzeczy dziwniejsze, a z krwią tyleż pewnie był znajomy, co z gorzałką.

Tamten pióro we krwi umoczył, do pisania się zabrał. Zabazgrał całą ćwiartkę, u dołu podpis zamaszysty położył. Skończywszy, zalał ranę okowitą i szmatą płócienną owiązał. Wre-

szcie, zdjął z palca sygnet (cynowy, bo złoty był u Szafrana w zastawie) i nad świecą zapaloną okopciwszy, przy podpisie odcisnął.

— Słysz, żółta mordo! — rzekł papier żydowi wtykając. — Tym cyrografem czortowi pyskbym zatkał... Chyba i tobie wystarczy?

Szafran z uwagą odczytał rewers.

— Mało... — skrzywił się. — Wasza wielmożność jeszcze co dorzuci...

— Chyba butem w lędźwie!

— Wasza wielmożność dołoży — szkapę!

— Co? na mego turczyna masz oskomę? Pohanyś ty i ciotka twoja maciora!

Szafran wysunął szufladę, schował kostki — zabierał się wstawać.

— Słysz! — mruknął Konrad jeszcze spokojniej, bo go wściekłość prawie dusiła. — U mnie koń jeno jeden.

— Na jednym przestanę.

— *Bene.* Dostaniesz, parszywcze, i konia — jeżeli wygrasz. Dostaniesz konia — i bodaj cię zaraz na kierkut wywiózł.

— Ja Wołoszyn...

— Więc nie na kierkut, jeno prosto do samego piekła. I to wiedz, czarci synu, że koń nie będzie twój, aż sobie innego na Turkach wezmę. — A teraz grajmy.

Wyrzucili kilkakrotnie kostki.

Grając, milczeli. I w całej budzie zrobiło się

cicho. Powodem cichości nie stała się gra, na którą mało zważano, ale coś niewytłómaczonego — coś, co niekiedy, niewiadomo skąd, napada ludzi i najweselszym śmiech z ust zdmuchuje, w piersiach oddech tłumi...

Być może, iż przyczyniła się do tego niezwykła w owym dniu parność, połączona z dziwnymi oparami, które słońce tylko na miejscach wyniosłych rozproszyło. Cały parów był zalany ciepłą, brudną mgłą, wyziewającą woń błota, siarki i krwi.

Cokolwiekbądź i obaj pijani towarzysze, przyśpiewujący Salce, i gromadka pancernych baraszkująca z Zofką, i czwórka kozacza, co nieopodal siedziała na trawie, podając sobie z rąk do rąk i z gardła do gardła butlę gorzałki — uczuli nagle ściśnienie serca, które odebrało im w jednej chwili chęć do śmiechu, śpiewu i pustej gadaniny...

Może to było owo tknięcie wewnętrzne, które, częściej, niżby kto sądził, ostrzega ludzi o wiszącej nad nimi fatalności?... Są znaki zapowiadające każdą katastrofę w przyrodzie — czemużby ich życie miewać nie mogło?

Myszy opuszczają budynek, który ma się wkrótce zawalić. Ptactwo odlatuje z miejsc, do których zbliża się zaraza. Czyż tylko człowiek miałby być pozbawiony instynktu ostrzegawczego?

Na gliniastych, piaszczystych, strugami wody powyżłabianych ścianach parowu, rosły smukłe dziewanny, maki purpurowe, fioletowe ostróżki. Wszystko to raźnie wyciągało się do słońca, pławiło w nim barwne korony — powabami późnego kwiecia usiłowało przytrzymać uciekające lato... Ale owego dnia wszystka roślinność zszarzała, sposępniała, jakby jej listki i płatki, czułe na wiatr i burzę, doznały nagłego lęku przed nadciągającym huraganem.

Na prostym stole z tarcic sosnowych, kostki stukały głucho, jak grad na stwardniałej od spieki niwie. Wreszcie stukać przestały.

Gra była skończona.

Żyd westchnął, lisowczyk zaświstał. Obaj nie wyrzekli ani słowa.

Zaraz też lisowczyk wstał i nie przestając świstać, krokiem bardzo wolnym wyszedł z budy. O kilka kroków stamtąd, pod daszkiem chróścianym, stał jego turczyn, szczypiąc trawę. Nałożył mu wędzidło, poprawił kulbakę, wsiadł...

— *Koły tak, naj tak!...* — mruknął do siebie i pocwałował, nie nazbyt śpiesząc, w stronę obozu.

Był taki jak zawsze, poważniejszy tylko. Ale gdyby spojrzał mu w oczy człowiek, co go znał, zdziwiłby się pewnie, że te oczy zwykle w prawo i lewo latające, teraz były nieruchome i świeciły martwo, jak szkło przepalone.

Lisowczyk przegrał...

III.

W pułku rajtaryi Wajera, wojewody Chełmińskiego, znajdował się oddział niewielki, jakby samoistny, który pod wielu względami wyróżniał się z pomiędzy innych chorągwi. Jeźdźców z tego oddziału przezywano rozmaicie, a zawsze z chęcią ośmieszenia. Najczęściej dawane im przezwiska były: «jazda brukowa», «kantycznicy» i — «krawcy».

Ostatni tytuł urodził się na poczekaniu.

Ktoś chwalił tych jeźdźców, że choć wyglądają niebardzo po rycersku, jednak na koniu siedzą krzepko, «jak przyrośli».

Ktoś drugi poprawił go:

— Powiedz waszmość, jak przyszyci — zwyczajna bowiem to rzecz u krawców...

Oddział miał własną chorągiew. Na chorągwi był herb Warszawy: syrena ze skrzydłami nietoperzowemi, z mieczem i tarczą. Kto się dłużej wpatrywał w tarczę syreny, mógł dojrzeć na niej niewyraźne zarysy jakiegoś herbu szlacheckiego...

Naczelną władzę nad oddziałem sprawował Wajer. Ale «krawcy» posiadali też własnego dowódzcę. Ten dowódzca był zarazem jakby pan ich i posesor. On ich zwerbował, do służby wojennej zaprawił, po rycersku odział — z rzemieślników i przekupniów uczynił żołnierzami.

Jazda rajtarska składała się początkowo z samych Niemców, skąd i nazwa jej poszła. Później przemieszywano ich z Polakami. I w tym oddziale byli Niemcy, ale katolicy, poddani Rzeczypospolitej. Pochodzili z Gdańska i jego okolic.

Resztę oddziału tworzyła dziatwa Starej Warszawy. Po wszystkie czasy stolica bywała matką junaków. Niedarmo w jej herbie miecz połyskiwał.

Jeden duch ożywiał wodza i podwładnych. Dobrali się. a raczej dobrano ich, według miary, z góry powziętej. Wszyscy byli spokojni, poważni, z pozoru nieco ociężali i — smutni.

Wśród rozpasania, właściwego żołnierstwu zawsze, a zwłaszcza w obliczu czyhającej zewsząd śmierci, ten oddział stanowił tak wielki, że aż rażący, wyjątek. Czysty, nabożny, karny, pełnił służbę wojenną poważnie, prawie z namaszczeniem, jako obywatelską powinność.

Gdy inne chorągwie, o ile nie szły w ogień lub na czaty, zabawiały się szklanką, kostkami do gry lub śpiewaniem nieprzystojnych piosenek, tu widziało się jedynie: pracę i modlitwę.

«Krawcy» szyli odzież, bieliznę, namioty, a odłożywszy igłę, brali się do wzmacniania szańców, opatrywania broni, naprawiania mundurów i uprzęży. «Kantycznicy» odśpiewywali chórem psalmy.

Każdy w tym oddziale miał narzędzia, należące do tego lub owego rzemiosła, oraz kancyonał. Jedni śpiewali po niemiecku, inni po polsku, a że nuta psalmów była jednakowa, chór szedł zgodnie.

Hetman, wielce nabożny, szczególną życzliwością darzył tych rycerzów statecznych. Zdarzyło się raz, że objeżdżając obóz, zboczył w tę stronę i zastał oddział, śpiewający pieśni nabożne. Rozkazał, żeby śpiewu nie przerywano i, nie zsiadając z konia, głowę jeno odkrywszy, razem ze wszystkimi psalmy ciągnął.

Już się tu wspomniało o charakterze Chodkiewicza. Był to rycerz, ale nie zabijaka. Tyleż w nim było kapłana, co żołnierza. W hymnach, od trzech wieków blizko na cześć jego wygłaszanych, sławi się tylko męstwo — nie samo przecie męstwo geniusz tego męża stanowiło.

Dotychczasowi chwalcy hetmana uwzględniali jedną połowę jego duszy. W mowach i pismach Chodkiewicza ujawniła się połowa druga — równie wielka jak tamta, większa nawet, bo lepsza.

Dochowały się słowa hetmana, których nikt dotąd należycie nie ocenił, a które przetrwają jego sławę wojenną. «Wypadnie nam kiedyś — mówi w jednem miejscu — przed surowym i sprawiedliwym Sędzią zdać ciężki z rozlanej krwi rachunek»... Gdzieindziej woła z głębi serca:

«Któż byłby tak nierozsądnym, by wojnę nad pokój przenosić!»... Wreszcie ten urodzony żołnierz, zawsze gotowy iść w bój z zagrażającym ojczyźnie lub religii wrogiem, wyznaje z wyższą nad wszelkie powątpiewanie szczerością: «Zawsze, zawsze czułem do wojny odrazę»...

Przyjdą czasy — już nadchodzą — gdy wszelka wojna zostanie nazwana dziełem szatańskiem, osądzona na równi z kanibalizmem. Bohaterstwo i bohaterów świat odda ponownemu rozpatrzeniu i ugrupuje zgoła inaczej. Hierarchia postaci historycznych ulegnie gruntownej odmianie...

Geniusz Chodkiewicza i wówczas ocaleje — dzięki słowom przytoczonym.

«Jazdę brukową» hetman poważał. Lubił też jej wodza, męża urodziwego, z płowym zarostem i takąż czupryną.

W tym mężu zażywnym, któremu zabierało się na trzydziestkę, nie łatwo było poznać dawnego pazika królewskiego, co niegdyś z chyżością jelonka przebiegał komnaty, schody i dziedzińce Zamku Królewskiego... A jednak był to we własnej osobie: wnuk nieżyjących już, sławetnych Kawków, obywatel, kupiec i posesor warszawski, spadkobierca bogactw i firmy zmarłego już Burnbacha, posiadacz domu handlowego w Gdańsku: Krzysztof Dąbek.

Dziwem to się zda, gdy człowiek od łokcia przebierze się za rycerza; dziwem większym —

gdy w tem przebraniu idzie nie na maskaradę lub turniej dworski, lecz gdzie kule świszczą i leje się krew prawdziwa. A przecie rody mieszczańskie Starej Warszawy niejednokrotnie synów swych na pole bitwy wysyłały. Mieszczankowie odznaczali się tam sprawnością i roztropnością, zdobywając sobie względy hetmanów i królów.

Na wieść o nowej nawale tureckiej Rzeczpospolita wzdrygnęła się dreszczem śmiertelnym. Po dreszczu przyszło oslupienie. Z oslupienia, grożącego śmiercią, otrząsnęła się najpierw najtrzeźwiejsza część narodu: mieszczaństwo.

Kraj nie był przygotowany do wojny. Skarb, zawsze niedomagający, teraz przerażał pustką zupełną. Chodkiewicz umiał nawet w rozpaczy zdobyć się na dowcipne szyderstwo. Opowiadał, że gdy król zwrócił się do podskarbiego z zapytaniem: «Skąd wziąć pieniędzy?», podskarbi odrzekł: «Właśnie o to samo zapytać miałem Jego Królewskiej Mości»...

Szlachta, żyjąca «hucznо i buczno», nigdy nie miała grosza zapaśnego. Rycerstwo żyło z dnia na dzień, goniąc nieuchwytną marę wojennych zdobyczy. Magnaci wydawali do ostatniego szeląga swe olbrzymie dochody. Gdy koniec z końcem nie wiązał się, zastawiano na wysokie procenty — zazwyczaj u kupców gdań-

skich — klejnoty osobiste, rodzinne, nawet... koronne.

Jedyną klasą narodu oszczędzającą byli mieszczanie.

Gdy trwogą padła na kraj, rządzący nim zdobyli się jedynie na wyciągnięcie rąk błagalnych do innych narodów. «Inne narody» były zawsze dla Polski ogniskami błędnymi, sprowadzającymi ją z prostej drogi i topiącymi w trzęsawiskach. I tym razem jedyna realna pomoc, na którą zdobył się Papież, nadeszła w chwili, gdy pod Chocimem podpisywano pakty pokojowe...

Mieszczaństwo Starej i Nowej Warszawy, Krakowa, Gdańska, wszystkich wielkich ognisk handlu, nie pomyślało nawet o goniewie za majakami. Wyrosłe na idei samopomocy i teraz do niej się uciekło. Zawrzało w ratuszach miejskich, na giełdach kupieckich — mrowiska zatrzęsły się od wzmożonego ruchu pracownic, które z kryjówek głębokich wynosiły na wierzch bogate zapasy.

Ironia, która zawsze, do najpoważniejszych spraw ludzkich wcisnąć się musi, sprawiła, że właśnie w tym czasie rządcy kraju zwrócili się przeciw mieszczanom. Szukając na oślep środków ratunku, w zupełnej nieznajomości stosunków ekonomicznych i społecznych, wypowiedzieli walkę najlepszym dzieciom, sługom i przyjacio-

łom Rzeczypospolitej. Dla ich ucisku wznowiono prawo przeciw zbytkom; ustanowiono stałą, rujnująco nizką taksę sprzedażną; obłożono handel, przemysł i rzemiosła nowymi podatkami.

Patryotyzm Gizów, Drewnów, Baryczków, Busserów, Fukierów nie ugiął się pod tym ciężarem. Mieszczanie byli ludzie twardzi, z nerwami mocnymi, nie powodujący się kaprysem ani wzruszeniami przelotnemi. Nad wszystkiem górowała u nich miłość rodzinnego kraju.

I oto jednego dnia zjawiło się na Zamku kilku ludzi, skromnie, szaro odzianych. Jeden z nich, najroślejszy, niósł szkatułę dębową, srebrem nabijaną. Szkatuła nie była nazbyt wielka, wszakże olbrzym z trudem ją dźwigał.

Przybysze, zwierzywszy sprawę swą marszałkowi, zostali niezwłocznie przypuszczeni przed oblicze królewskie.

To Stara Warszawa delegatów swych przysyłała.

Na czele poselstwa szedł burmistrz, którym był wówczas Stanisław Baryczka. Za nim postępowali trzej Janowie (to imię było wówczas u mieszczan w wielkiem użyciu): Giza, wójt Starej Warszawy, Czorn, jej szafarz i Piegłowski, pisarz radziecki. Szkatułę niósł rajca i podskarbi Jakób Szlichtyng.

Odzież posłów była tak skromna, że graniczyła niemal z ubóstwem. Wszyscy mieli delie

z taniego, szarego sukna, oszyte futrem lisiem najlichszego gatunku. Według nowego prawa burmistrz i wójt mogli byli ustroić się w jedwabie i futra kosztowne — nie skorzystali przecie z przywileju ani w tej, ani w żadnej innej okazyi.

Przemowa była krótka. Szło o rzeczy ważniejsze, niż krasomówstwo. Skłonili się nizko monarsze; potem burmistrz wyrzekł po prostu:

— Słuchy nas doszły, najjaśniejszy panie, iż Rzeczpospolita nasza w potrzebie. Obowiązek synów, macierz swą wspomagać. Otośmy przeto obol swój przynieśli. Od niej mamy wszystko — niechże i ona lada co od nas przyjmie. Prosimy patrzeć na serca nasze, nie na ubóstwo.

Tu wysunął się Szlichtyng i szkatułę, złotem wypełnioną, na stole postawił. Było w niej niemało.

Zygmunt uprzejmie powitał delegatów; ofiarę «wdzięcznem sercem» przyjął. I uprzejmość i wdzięczność były zimne, jak on cały. Ale oni ani po dziękczynienia przyszli, ani ich potrzebowali. Spełniwszy swoje, skłonili się panu swemu do kolan i opuścili Zamek tak samo cicho a statecznie, jak do niego przybyli.

Wprost z pokojów królewskich udał się każdy do swego zajęcia, aby dalej pracować, oszczędzać, gromadzić. Tak czynią mrówki i pszczoły, a oni byli właśnie mrówkami i pszczołami Rzeczypospolitej.

W tym czasie przybył do Warszawy Krzyś Dąbek. Nie zdążył obola swego wrzucić do wspólnej szkatuły — postanowił zanieść go oddzielnie.

W stolicy czekały nań wieści niepomyślne.

Drewno, ciężko chory, odsunąwszy się od wszelkich posług publicznych, dogasał zwolna, nie odrywając oczu od Hanusi, jakby chciał obraz jej na tamten świat zabrać ze sobą.

W Drewnowej plebejuszowska chciwość honorów zagłuszyła wszystkie inne namiętności i uczucia. Przewidywana śmierć męża trapiła ją najbardziej z tego powodu, że opóźni małżeństwo Hanusi i skoligacenie się Drewnów ze Zboińskimi. Obawiała się też nie bezzasadnie nowych przeszkód ze strony brata mężowskiego, Łukasza. W jej przekonaniu ten «łyk zakamieniały», nie był zdolny pojąć szczęścia, jakie daje związek z prawdziwą, herbową szlachtą.

Resztka niewieściego wstydu wstrzymywała ją od nalegania na Zboińskiego, by syna sprowadzał i z «dobiciem targu» śpieszył. Jednak dała mu do zrozumienia, że powrót Konrada jest z wielu względów pożądany. Stary ćwik z łatwością domyślił się reszty.

A Hanusia?

Hanusia nie dorozumiewała się nawet o co im wszystkim chodzi. Starego posesora z Węgrzynowa bała się, jak turkawka jastrzębia. O jego synu sama nigdy nie mówiła; mówią-

cych o nim zdawała się nie słyszeć. Za to kilkakrotnie zapytywała o Krzysia — widząc jednak, że jej niechętnie na pytania odpowiadają, dała im spokój.

Zresztą, kościół, jałmużny i czytanie ksiąg nabożnych wypełniały jej duszę tak całkowicie, że już w niej na inne myśli i uczucia miejsca nie starczyło.

Krzyś, zaraz po przybyciu, odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjęła sama Melchiorowa — a przyjęła taką twarzą i takiemi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Ścisnęło się serce biednego chłopca. Ostrym ćwiekiem wbiła mu się w głowę myśl, że nie będąc nikomu na tym świecie potrzebny, jest tem samem — zbyteczny.

Przez chwilę był blizki rozpaczy. Ocalił go — sen. W śnie ukazała mu się Dorotka. Zalana łzami, skarżyła się z wyrzutem:

— Tak to przysięgi dopełniasz, dziecko moje milujesz? Azaś obronił je przed nieprzyjacioły? z paszczęki wilczej wyrwał? z pazurów niedźwiedzich oswobodził?...

Krzyś obudził się przerażony. W ciemnej izbie, u wezgłowia łóżka, stała postać świetlana, podobna do obłoczka, blaskiem księżycowym napojonego. Krzyknął — postać znikła.

U Augustyanów dzwoniono na prymaryę. Poszedł do kościoła, mszę zakupił — wysłuchał jej, krzyżem leżąc. Nie dało mu to zupełnego uspokojenia...

Wyszedł markotny. Przecznicą, która wprost kościoła Augustyańskiego łączyła ulicę Świętego Marcina (dziś Piwną) ze Świętojańską, (tę przecznicę później zabudowano), skierował się ku kościołowi Św. Jana.

Potrzebował skupienia wewnętrznego. Ono nigdzie mu tak łatwo nie przychodziło, jak w ciemnej kaplicy Baryczkowskiej.

Tam, gdy rozmyślał, wzdychając i płacząc, przyszło mu natchnienie, żeby część fortuny dla ojczyzny miłej poświęcił i pod Chocim, na chrzest krwawy poszedł.

Tegoż dnia, około południa, był w Zamku — nie u króla wszakże, lecz u królewicza. Władysław zbierał właśnie zaciągi, z którymi miał wyruszyć przeciw Osmanowi. Dąbek zwrócił się doń z prośbą, aby mu dozwolono na potrzebę Rzeczypospolitej dostawić stu jeźdźców, całkowicie uzbrojonych, z końmi i pacholikami.

To był jego obol.

Władysław, jedyny z Wazów, w którym krew Jagiellońska atawistycznie się odezwała, przyjął ofiarę z wybuchem radości. Nie przestając na wyrażeniu «wdzięcznego serca», objął mieszczanka za szyję i jak równego sobie uca-

łował. Zaraz też Krzyś mianowany został rotmistrzem nowego oddziału.

Dzięki czerwieńcom, nieskąpo szafowanym, zaciąg poszedł szybko. Gdy wojewoda Chełmiński obejmował główne dowództwo nad rajtaryą, już w jego pułku jeźdźcy Krzysiowi stali pod bronią, wyróżniając się ochędóstwem i statecznością.

Wojsku królewicza zbliżającemu się ku Chocimowi, dwa rodzaje wrogów drogę zastąpiły. Pierwszym było Tatarstwo, które, przeprawiwszy się przez Dniestr, luźną, rozbestwioną kupą, pospołu z opryszkami wszelkiej narodowości, plądrowało między Brahą a Kamieńcem; drugim... soczyste, podolskie arbuzy.

Od arbuzów więcej padło ofiar, niż od strzał i szabel tatarskich. Piechota niemiecka, z głodomorów przeważnie złożona, rzuciła się na zdradny owoc, jak muchy na lep. W obozie wybuchnęła epidemia krwawej diaryi, a kto nie padł jej ofiarą, był przez czas długi osłabiony, do boju niezdatny. Po swojemu opowiedział to Wacław Potocki: «Każdegobyś z pluder wytrząsł; bo gdy ogroda dopadł głodny bruder, żarł bez względu jarzyny niewarzone póty, aż mu brzuch w twardy bęben, kiszki poszły w druty»...

W oddziale Krzysia nie przytrafił się ani

jeden wypadek choroby, bo nie było tam ani głodu, ani obżarstwa.

Za to pod samą Brahą, Tatarzy nadszarpnęli nieco — koletów łosiowych, które nosiła rajtarya. Krzyś, który po raz pierwszy znalazł się w ogniu, z chłopięcą prawie niecierpliwością rwał się do walki. Pilno mu było odbyć chrzest wojenny — rad byłby szramie krwawej, choćby przez środek oblicza...

Nadzieje zawiodły. Skończyło się na tem, że jednemu jeźdźcowi Tatar urwał połę kaftana, drugiemu rozdarł rękaw, trzeciemu czapkę przedziurawił. Krzyś nawet i takiej nie poniósł szkody.

— Będą igły w robocie! — śmiał się wojewoda, lustrując wieczorem chorągiew Krzysiową.

Opatrzność czuwała nad «krawcami». Po przybyciu do obozu, otrzymywali prawie zawsze stanowisko na wałach, dokąd pociski nieprzyjacielskie nie sięgały. Zdrowi i cali mogli wyśpiewywać psalmy chórem, dotąd ani o jeden głos nie zubożonym.

Drażniło to Dąbka. Wyzywał niebezpieczeństwo, gotów był szukać go rozmyślnie. Odkąd mu u pasa dzwoniła szabla, przy boku błyszczały pistolety, odkąd go budziła i usypiała muzyka trąbek wojennych, odkąd nad głową słyszał furkot chorągwi z syreną i herbem na tarczy — innym stał się człowiekiem. Już to nie

był wnuk Kawków — w żyłach mu grała krew ojca i wszystkich dziadów po mieczu.

Płowowłosy młodzian, dotąd cichy, prawie potulny, snuł marzenia, biegnące tak daleko, że się sam śmiałości ich przerażał. W tych marzeniach, miejsce naczelne zajmowały dwie postacie niewieście, podobne do siebie, jak bliźniąt dwoje: obie z czarnemi, smutnemi oczyma, obie z wiankami róż białych na kruczych włosach. Z początku, łączyła się z niemi postać trzecia: młoda i świeża, rozchichotana, lecz jej zarysy stopniowo bladły, zacierały się. Majowa świeżość i chichot pusty przestały już być ponętnemi dla osmutniałej duszy młodzieńca: harmonii z nią nie tworzyły — raczej rozdźwięk...

Sobotni dzień, czwartego września był dla Krzysia szczególniej przykry. Mąk Tantalowych doświadczał, widząc, że dokoła wre bój zażarty, a on, przez wojewodę unieruchomiony, iść w ogień nie może.

Patrząc na ów dzień z punktu wszechludzkiego, smutnym nazwać go trzeba. Turcy przeklęli ten dzień — Polacy uznali go za pomyślny. Dziś, grzeszną byłaby uciecha, którą w dobrej wierze jeden z uczestników wojny tak w swym dyaryuszu wyraził: «I tak nas przecie tego dnia łaskawie Pan Bóg pobłogosławił, żeśmy się krwi pogańskiej dowoli natoczyli»...

W historyi, po wczorajszemu traktowanej,

zdarzają się ciekawe przestawiania wyrazów. Zamiast: oszust, czytamy tam często — «dyplomata»; zamiast: rzezimieszek — «zdobywca»; zamiast: zbój — «bohater». Na taką przekładnię liczył zapewne i Osman, który będąc tylko zbójem — nadzwyczajnym co prawda — chciał odegrać rolę bohatera.

Dzień ów, miał się stać podwaliną wielkości sułtana, któremu słuszniej, niż innym, dawano tytuł *hunkiar*, co znaczy z perska po turecku: rozlewca krwi. Dziki młokos obiecywał sobie, że jednym wściekłym napadem «niedowiarków» zmiażdży, po ich trupach pójdzie do Krakowa i Warszawy, a tam już wrota całej Europy będzie miał otwarte...

Więc też po wiele razy rzucali się Turcy na naszych z krzykiem piekielnym, jak potępieńcy; więc armaty tureckie nadzwyczajnej wielkości grzmiały tak często i tak głośno, że według Lubomirskiego: «od rannego półdopołudnia aż do półdowieczora chmura z prochu słońce naszym odejmowała», a według Sobieskiego Jakóba: «imć pan Hetman Wielki z podziwieniem zeznał, że jako na nogi swoje powstał, tak dawno wojownikiem będąc, tak wielkiej strzelby nie słyszał»...

W Krzysiu kipiała krew, drżały wszystkie nerwy — a rozkaz Wajera na miejscu go trzymał...

Była chwila, już po południu, gdy hetman zakrzyknął wielkim głosem: «Rajtary!» Dąbkowi serce zabiło, bo myślał, że jego czas nadchodzi — okazało się jednak, że rozkaz dotycze rajtarów pana Klebeka z pod chorągwi Chodkiewiczowskiej. Nieco później, ruszył i wojewoda Chełmiński na posiłek kozactwu, któremu zaczynało być «duszno» — ale nie jazdę ze sobą wziął, lecz piechotę niemiecką.

Pod wieczór, gdy już nieprzyjaciel uciekł w popłochu, nasi, zbytecznie zapędzeni, znaleźli się w opałach. Wówczas Wajer po raz wtóry wyprowadził swe pułki z poza szańców. Tym razem powołano i oddział Krzysia. Młodzieniec z uciechą rozwinął chorągiew, skrzącemi się od zapału oczami powiódł po swych jeźdźcach...

Uciecha trwała niedługo. Wojewoda zabrał z taboru kilka działek — na brzeg Dniestru ciągnąć je kazał. Rajtarzy mieli tylko osłaniać bateryę.

Krzyś stał w miejscu, drżąc i zębami zgrzytając z niecierpliwości. Koń jego, podniecony hukiem wystrzałów, wrzaskiem bitewnym, wyziewami krwi i prochu, również szalał. Nie mogąc ustać spokojnie, kopytami wygrzebał dół po kolana.

O! gdybyż obu im rzucono rozkaz: «W imię Boże! naprzód!»...

Nadjechał w to miejsce hetman. Dostrzegł

niecierpliwość młodego rotmistrza — uśmiechnął się nieznacznie.

— Koń waszmości do wędzidła nienawykły? — spytał, mierząc bystrym wzrokiem rumaka i jeźdźca.

— Jako jego pan, jaśnie wielmożny hetmanie! — odrzekł tamten śmiało.

— Na wojnie reguła pierwsza: posłuszeństwo i cierpliwość.

Krzyś oczy spuścił.

— Czy i powolność?... — zapytał ciszej.

— Nie zbytnia. Zawżdy przecie: powolność rozkazom zwierzchności.

Pogładził brodę — przybrał minę zagadkową.

— Po ojcowsku waszmości radzę: zawściągnij cugle koniowi swemu i sobie. Ja animusz cenię, u innych on nie popłaca. Dziś animusz na uzdę biorą; paragrafami go opisali...

Dokończył szeptem:

— Komisarskimi...

Wyprostował się dumnym ruchem — sokolem spojrzeniem potoczył dokoła. Zatrzymał wzrok na chorągwi Krzysiowej.

— Czyj herb? — zapytał, wskazując buławą syrenę i jej tarczę.

Młodzian poczerwieniał.

— Herb Starej Warszawy... Syrena..

— To wiem. Ale na tarczy co?

— Klejnot...

— Czyj?

— Ojcowy.

— Jeślić ojcowy, to i waszmościn.

— Nie... nie mój...

— Jakże to?... — Chodkiewicz brwi ściągnął. — A! Ociec szlachectwo utracił! Nie przez infamię przecie?

Krzyś rzucił się.

— Nie na miejscu to słowo, jaśnie hetmanie! Nieboszczyk rodzic poślubił kupcównę, handlu się jął... Prawu musiało stać się zadość.

— Waszmość takoż kupiec?

I dobry. Kramy mam swoje w Warszawie i Gdańsku, statki własne na Wiśle, we Fryckiej zatoce...

Hetman uśmiechnął się pobłażliwie.

— Kupiectwo stanowi rycerskiemu nie równe. Wżdy i kupiec Boga może chwalić, ojczyźnie służyć. Waszmość własnym sumptem rotę swą wystawiłeś?

Własnym, jaśnie wielmożny hetmanie.

— Chwali się to. Znać krew nie ze wszystkiem kupiecka. A do tej ofiary nie skłaniałoż cię nic, krom czystej *amor patriae?*

Pytając, bystro spojrzał w oczy młodzieńca.

Nic... — szepnął Krzyś — ale wzroku hetmana nie wytrzymał i oczy spuścił, zaploniwszy się.

Chodkiewicz czytał już w jego myślach...

Wyciągnął rękę — końcem buławy dotknął lekko ramienia Krzysiowego.

— Chociem nie król — dobitnie wyrzekł — powtórzyć mogę waszmości słowa królewskie: «Walcz, zwyciężaj» — *ego faciam te...*

Nie dokończył. W tejże chwili rozdarła powietrze dzika pieśń powracającego do taboru kozactwa. Jeźdźcy na chudych koniach, sami chudzi, obdarci, czarni od prochu, obryzgani krwią, do szatanów podobni, na powitanie hetmana chmurę czapek wyrzucili w powietrze. Każdy miał przytroczone do siodła łupy — niektórzy prowadzili konie zdobyczne, wielkiej piękności.

Wiódł swe pułki Sahajdaczny. Jedną ręką pozdrawiał Chodkiewicza, uchylając bogatej czapki z czaplem piórem; drugą ciągnął na arkanie baszę. Był to podarek dla królewicza.

Pospołu z kozakami, nadciągnęli na spienionych koniach lisowczycy. Byli również obciążeni łupem, również krwawi, również straszni. Nie odróżniało się ich w tej chwili od Zaporożców, choć o to odróżnienie bardzo dbali. W czasie żerowania, niknie różnica pomiędzy lwem a tygrysem.

Wśród lisowczyków Krzyś dojrzał Konrada. Wichura był ponury, osowiały — wydawał się prawie poważny. Koniowi wodze opuścił, zdobyczy nie wiózł żadnej. Jednak znać było, że

wraca z boju, że się męstwem popisywał — że zdobył może wawrzyn, którym kiedyś pysznić się będzie...

Już go kilkakrotnie Krzyś spotykał. Przy każdem spotkaniu odwracał się od niego z niechęcią. Teraz do niechęci przyłączyła się — zawiść.

IV.

W niedzielę, piątego września, chmury obciągnęły niebo, deszcz ciepły padał z przerwami. Co pewien czas, to w tej, to w owej stronie, pomrukiwał grzmot leniwie, niechętnie, jak budzący się i znów zasypiający niedźwiedź. Powietrze było ciężkie.

Tego dnia Turcy zostawili naszych w spokoju. Nasi nie kwapili się również z zaczynaniem, dzień Boży szanując. Kilkakrotnie tureccy harcownicy wyjeżdżali w pole, potrząsając krzywemi szablami, do utarczki wyzywając. Pokazywano tym zuchom plecy.

Niekiedy huknęło w oddaleniu działo tureckie — dreszcz przebiegł po powietrzu, skałach, wodzie To Osman mówił Polakom:

— Nie śpię...

Zresztą Turcy byli zajęci przenoszeniem obozu. Posuwali go bliżej taboru kozackiego. Tu

ich ciągnęła potężniejsza od miłości: nienawiść. Sułtan nie w Chodkiewiczu widział głównego wroga, lecz w Sahajdacznym. Góry złota obiecywał, gdy mu kto tego «psa siwego» żywcem lub trupem dostawi.

W obozie polskim, cały ranek poświęcono modlitwie. Przy rozstawionych pod odkrytem niebem ołtarzach, kapelani odprawiali nabożeństwo. Cisza była tak wielka, że słyszało się wyraźnie: *Dominus vobiscum... Oremus...* — potem dzwonienie dzwonków i gruby bas ministranta, którym był wąsaty husarz lub towarzysz pancerny. Podczas Podniesienia, z brzękiem głośnym wysuwano z pochew szable — już nie do połowy, lecz w całości. Zdawało się wówczas, że nad tłumami zbrojnymi przelatuje srebrna błyskawica.

Chodkiewiczowi lekarze nie pozwolili wstawać. Starzec kazał rozsunąć płótno namiotu, i słuchał mszy świętej, klęcząc na łożu, okryty delią karmazynową, przez dwóch senatorów podtrzymywany.

Po nabożeństwie, kilkutysięczne chóry śpiewały hymny nabożne, litanie do Matki Boskiej, «Królowej Polski» i do Wszystkich Świętych. Gdy spożyto południowy posiłek, przyszła kolej na pieśni świeckie, żołnierskie, często rubaszne, częściej tęskne i smutne.

Potem ozwała się tu i owdzie muzyka, za-

dzwoniły kubki... Ale nie wybuchnęła nigdzie wesołość hałaśliwa. Na ogół więcej wypoczywano, niż bawiono się. Wojsko było znużone pracą dwóch dni ostatnich — przytem w powietrzu pływała dziwna senność, rozleniwiająca i osłabiająca.

Po obiedzie, zebrano się w namiocie hetmańskim na radę. Pod wrażeniem świeżych tryumfów kozackich, wystąpiono z projektem nocnej wyprawy, którąby śpiących Turków znienacka zaskoczyła. Ostatnie wypadki dowiodły, że śmiałkom los sprzyja - kto wie, czy i tego zuchwalstwa nie uwieńczyłaby «wiktorya»?...

Chodkiewicz energicznie ów projekt odrzucił. Wszelkie skrytości, podstępy, pełzania były przeciwne jego jasnej, szczerej naturze. Mroki są dla sów, nie dla orłów.

Choć osłabiony, argumentował z wielką energią. Przedewszystkiem zwracał uwagę na niebezpieczeństwo, jakiem groziła wrodzona kozactwu chciwość łupów. Dorwawszy się do namiotów tureckich, ulgnęliby na zdobyczy, jak kwiczoły na lepie. Potem, któż wiedział dokładnie jak jest strzeżony obóz turecki w porze nocnej? Mówią szpiegi, że pogaństwo śpi, jak zarżnięte, żadnego baczenia na tabor nie dając. Jest to wątpliwe i nawet zgoła do wiary niepodobne. Nuż wojsko wpadłoby w przygotowaną zawczasu zasadzkę?...

Przekonano się później dowodnie jak słuszne były te argumenty. Hetman stał przy nich twardo — «komisarzom» przegłosować się nie dał.

Uchwalono ostatecznie: nikogo «na gas» nie posyłać. I tylko, oprócz dziennych straży, wyprawiono oddział piechoty i kozaków za rzekę, po żywność.

Dzień płynął spokojnie, składnie — zdawało się, że już do końca będzie spokojny a składny.

Tymczasem — dojrzewał posiew, rzucony przez lisowczyka owej nocy, gdy mu to księżyc, przez płótno namiotu przezierający, spać nie dawał...

Lisowczyk nie ruszał się wówczas z miejsca dopóki księżyc świecił. Klął, zębami zgrzytał, ale nie ruszał się. Zaledwie jednak sierp księżyca zniknął za górami i ciemność ogarnęła ziemię — podniósł się i na czworakach wypełznął z namiotu.

Tabor leżał w ciszy prawie martwej; lisowczycy spali z jedną ręką na szabli, z drugą na cynglu pistoleta. On, na nogi powstawszy, przekradał się szybko a cicho wśród śpiących towarzyszów. W ten sposób, nikogo nie zbudziwszy, dostał się do suchego, głębokiego rowu, który przedzielał dwa obozowiska: Rusinowskiego i Konaszewicza, czyli: kozaków utajonych i kozaków jawnych.

Stanąwszy nad rowem, zahukał trzykrotnie głosem puhacza. Z rowu wyszło natychmiast kilku ludzi olbrzymiej postaci. Zawiązała się rozmowa cicha a żwawa. Okazało się z niej, że nieznajomi są «mołojcy».

Ktoby nie spał a podsłuchiwał, mógłby był pochwycić słowa: «Hetman... wola hetmańska... zdrajcy... na pohybel im»... Zakończyło naradę kilka jędrnych przekleństw.

Zmówcy rozpełzli się w różne strony, jak gady. Lisowczyk powrócił do namiotu, tąż samą drogą, którą wyszedł. Legł na posłaniu, ręce pod głowę podłożył, wyciągnął się. Ale choć mu już teraz nic nie przeszkadzało, nie zasnął. Z otwartemi oczami doczekał dnia białego.

Ziarno było rzucone...

Nad wieczorem, w obozie zrobiło się głośno. Odezwały się bębenki, bałabajki, bandurki. Spiewano i tańczono. Gwar był, jak na jarmarku, lub odpuście. W oddaleniu, stłumiony ryk działa tureckiego odzywał się rytmicznie, w równych odstępach czasu, niby basy, przygrywające do taktu wesołej kapeli.

W chwili, gdy zabawa stawała się najgłośniejszą, zadudniała nagle ziemia od galopu końskiego.

Do obozu wpadł kozak — istny upiór, z rozczochranym włosem, z oczyma zesłupionymi,

bez czapki, z wyrazem przerażenia na zsiniałej twarzy.

Rwał prosto do namiotu hetmańskiego, a ludziom, co mu drogę zastępowali, rzucał jedno tylko słowo:

— *Rezut!...*

Hetman był chory — zasnął — nie podobna było puszczać doń gońca takiego.

Któryś z siłaczów chwycił za uzdę i na miejscu osadził szkapę kozacką. Poseł musiał być skierowany do Lubomirskiego. Hetman polny zastępował w takich wypadkach wielkiego.

— *Rezut batiuszki!... rezut!...* — jęczał wystraszony kozak, pokazując nahajką za siebie. Przybywał zaś od strony zamku Chocimskiego.

Czyżby nieprzyjaciel z boku zaszedł i tył wziął naszym?

Przyskoczył jeden z dowódców.

— Kto rżnie? — krzyknął. — Turcy?... Tatarzy?...

— *Naszy rezut!...* — chrypiał Zaporożec.

Lubomirski w trzech słowach rzecz zrozumiał. Kozaka uciszył i zatrzymał w namiocie, żeby się gwałt po obozie nie rozchodził. Rozkazał też, żeby oddział zbrojny co tchu dosiadał koni...

Na kilka chwil przedtem, młody Dąbek, który całe święto nad Biblią przesiedział (między Gdańszczany nauczył się tego), zapragnął

»rozprostować kości». Luzak przywiódł mu konia — on samopas wyjechał za obóz.

Wierzchowiec, prawie z własnej woli, poniósł go ku Chocimowi, w stronę parowu.

Nie śpieszył zbytnio. Minął kłusem pierwsze i drugie czaty, potem szłapią wlókł się między skałami.

Z parowu, jak zawsze przy święcie, dochodził gwar głośny. Tej niedzieli był głośniejszy, niż zwykle. Chwilami przypominał nie tyle zabawę, co walkę.

Ta drobna różnica nie zadziwiła Krzysia. Zabawa żołnierska rzadko się bez walki obywa.

— Wino mołdawskie szumi... — myślał.

Nagle, w niewielkiej odległości, ujrzał przyczajonego za skałą jeźdźca. Jeździec, z wyciągniętą ku parowowi szyją, z wytężonym w stronę tumultu wzrokiem i słuchem, nie zauważył przybysza.

Dąbek zdziwiony, ciekawy — może przeczuciem tknięty — ściągnął cugle koniowi, i cofnął się tak, że mógł widzieć, nie będąc widzianym. W jeźdźcu poznał Wichurę.

Nie wyszło «Ojcze nasz», gdy na drodze zadudniało i w tumanie kurzu przygalopował kozak. Był bardziej jeszcze zdyszany, niż ów, co z wieścią wpadł do obozu. Był przytem podobny do upiora i do zbója. Z twarzy spływał mu

pot, odzież jego była poszarpana, ręce krwią ubroczone.

Szkapa na miejscu osadzona robiła bokami. Przygniatał ją prawie do ziemi ciężar wielkich tobołów, którymi ją objuczono.

Lisowczyk z kozakiem zawiązali rozmowę krótką, urywaną. Słyszał ją dokładnie Krzyś, ale zrozumieć wszystkich słów nie mógł. Były ruskie. Doszedł jednak, że rozmawiano o bójce, o łupach, o Szafranie...

Zaraz też połowa tobołów została przerzucona na konia Wichury. Przy przerzucaniu, zadźwięko w tobołach jakby złoto. Były też i stąd dziwne, że do ich owinięcia użyto nie prostych szmat, lecz złotogłowiów, aksamitów, gobelinów.

Dzika radość rozżarzyła czarne oczy Wichury. Błysnął niemi w prawo i lewo, i konia skierował na drogę. Kozak podążył za nim. Mieli zamiar przemknąć tylko przez szlak otwarty i wpaść w boczne, gęsto zadrzewione ostępy.

W tej chwili koń Krzysiowy zarżał.

Lisowczyk obejrzał się, dostrzegł wroga, i w mgnieniu oka, pistolet dobywszy, wystrzelił. Kula przeleciała górą, nie dotknąwszy młodzieńca.

Krzyś odruchowo wyrwał szablę z pochwy, ostrze wytknął przed siebie...

A tamten leciał już na niego z drugim pi-

stoletem. Huknęło — koń lisowczyka potrącił w galopie Dąbka — młodzian poczuł, że jego szabla na jedną sekundę oparła się o coś twardego.

Jeszcze nie zrozumiał co się stało, gdy ujrzał Wichurę wraz z kozakiem, zawracających i pędzących nań z twarzami wściekłemi. Nie mieli już pistoletów — nad głowami trzymali obnażone szable.

Prawy policzek Wichury był krwią zalany.

Panie!... w ręce twoje!... — jęknął Dąbek, widząc ostatni moment swego życia.

Nie trwoga, lecz wzruszenie świątobliwe obezwładniło go na chwilę. Szepcząc słowa modlitwy, opuścił szablę, oczy przymknął..

Gdy je otworzył — napastników przed nim nie było.

Od strony obozu pędził oddział towarzyszów pancernych z hetmanem polnym na czele.

Sępy pierzchły przed orłem.

V.

Wojna posiada z pozoru dwa oblicza: jedno wzniosłe i piękne, drugie straszne i odrażające. Pierwszem zwraca się do zwycięzców, drugiem do zwyciężonych.

W rzeczywistości, oblicze wojny jest tylko

jedno: szpetne i straszne. Piękność i wzniosłość, w które się niekiedy przystraja, to tylko maska. I szatan maskować się musi, by mógł broić bezkarnie.

Najwięksi chwalcy bohaterstwa orężnego przyznać muszą, że wszelka wojna — nie wyłączając wojen «świętych», krucyat i t. p. — miewa tylko dwie pobudki i dwa cele: brać albo odbierać. Właściwie są to dwie odmiany tej samej akcyi. Zabierający i odbierający dążą w równej mierze do brania.

Za armią wloką się obdzieracze trupów. Ich czynność jest piętnowana, jako największa ohyda ludzkości. Jednak możnaby zapytać: czy istnieje różnica zasadnicza pomiędzy obdzieraniem zabitego żołnierza z odzieży, a pokonanego przeciwnika z ziem, wolności, pieniędzy? I tu i tam śmierć jest wyzyskiwana przez życie.

Pod Chocimem, d. 5 września 1621 r., wojna ukazała swe oblicze bez maski. Za przykładem wielkich, zapragnęli tam brać maluczcy. Jak Osmanowi, jego wezyrom i baszom, tak zapachniała krew ludzka oraz mienie bliźniego — motłochowi. A że motłoch jest sam przez się brzydki i wstrętny, brzydkiemi i wstrętnemi stały się i jego dzieła.

Cała hałastra obozowa, prowadzona przez kupę pijanego kozactwa, rzuciła się z nożami, toporami, drągami żelaznymi na kupczących

w parowie Wołochów. I tu znalazło się hasło piękne, ideą dobra publicznego osłaniające dzikość i zwierzęcość. «Śmierć zdrajcom, donosicielom, przekupnikom!» — wołali zbóje; szło im zaś naprawdę o to tylko, żeby się krwi bliźniego nachłeptać.

I nachleptali się jej do syta...

Na słońcu chocimskiej «wiktoryi», czarną, ohydną plamą wykreśla się ta rzeź niesłychana. Historycy i pamiętnikarze, jakby strachem i wstydem przejęci, zapisują fakt w słowach krótkich, urywanych — pełnych wszakże zgrozy. Jeden Sobieski poświęca mu więcej miejsca, a poetyczną parafrazę opowieści historyka daje Wacław Potocki.

W cieniu ukrył się główny sprawca zbrodni... Przynajmniej doraźni sędziowie odkryć go nie mogli. Ale nicby on był nie zdziałał, gdyby inne czynniki nie przygotowały mu gruntu. Sam lont, bez miny, wybuchu nie sprowadzi.

Bezbronną Wołoszę mordowała czerń, złożona z czeladzi obozowej, luzaków czyli luźnych pachołków, słowem to wszystko, co w wojsku oznacza się mianem: «ciury». Trochę dzikiego, namówionego kozactwa dodawało nikczemnikom animuszu. Resztę skrupułów zwalczyła gorzałka — «gocha», jak ją nazywa Potocki.

Ow główny, zatajony sprawca rzucił wieść, że Mołdawianie zdradzają naszych, że zmówili

się z Turkiem, że obóz mają podpalić... Wieść była bezecnie fałszywa. Cokolwiekbądź, równała się wyrokowi śmierci na obwinionych.

Motłoch nie rozumuje, a do noża, pałki, stryczka dziwnie ręka go świerzbi. Trzymany na uwięzi — pełza; gdy jednak zakosztuje tygrysiej rozkoszy mordowania, zmienia się od razu we wściekłe zwierzę.

Chodkiewicz, choć wódz genialny, zbłądził, rozbudzając w tych pełzaczach instynkty krwiożercze. Kilkakrotnie, dla postrachu Turków, pozwolił ciurom odegrać komedyę rycerską — dopuścił nawet do tego, że uciekających gonili, zabijali, obdzierali...

Mówią myśliwi, że wilki dopóty nie ośmielą się rzucać na ludzi, dopóki wypadek nie ułatwi im pożarcia jednego człowieka. Wówczas ogarnia ich wściekła pożądliwość ludzkiego ciała, której tylko kula lub kordelas kres położyć mogą.

Motłoch z obozu polskiego rzucił się na rzekomych jego nieprzyjaciół; kto wie, czy przy zmienionych warunkach nie zwróciłby się z nożem, pałką, pięścią przeciw Polakom...

Tak zwane męstwo wojenne posiada trzy kolejne stopnie. W pierwszym, służy określonej idei, którą uważa za piękną i szlachetną. Nazywa się wówczas bohaterstwo, zdobywa sobie laury i jest sławione przez poetów. W stopniu

drugim ma za cel jedyny: zabijać pewnych ludzi, wskazanych sobie za wrogów. Wówczas wiedzie do «krzyżów zasługi», orderów, rang i innych dóbr doczesnych. W stopniu trzecim zmienia się w nieokiełznaną namiętność mordowania — mordowania kogokolwiek, bodajby przyjaciół i braci...

Jak się w tej ostatniej przemianie nazywa i czem bywa nagradzane, mówić nie trzeba.

Dla motłochu, dwa pierwsze stopnie są niedostępne. Jego «rycerskość» wybucha od razu krańcowo.

Ciurowie chocimscy wtargnęli do parowu kupą wrzeszczącą, pijaną, kierowaną wyłącznie instynktem drapieżnym i niszczycielskim. Zabijać mężczyzn, gwałcić kobiety, zabierać co pod rękę popadnie — to jedynie w ich mózgach kołowało.

Wołochów napaść zaskoczyła najniespodzianiej. Uważali ją najpierw za żart, potem za pogróżkę, wreszcie za nieporozumienie. Żaden nie pomyślał nawet o obronie. Wynosili oręż, strzelby, pistolety — ciskali wszystko pod stopy napastników.

Motłoch na nic nie zważał. Najpokorniejsi oddali pierwsi nóż pod gardło. W jednej chwili droga pokryła się trupami.

Zbóje wdarli się do wnętrza baraków.

Na chwilę, nad krwiożerczością wzięły górę

inne instynkty. W barakach były baryłki z winem i wódką — były «harne» dziewki służebne.

Przekupnie stanęli w obronie swego mienia; dziewki powciskały się w kąty, grożąc zębami i paznogciami. Stało się to zgubą dla jednych i dla drugich.

W mgnieniu oka każdy z baraków zmienił się w piekło. Zaryczeli zbóje — w powietrzu rozległ się świst pałek i toporów. Buchnęły aż pod powałę fontanny krwi, mózg z rozbitych czerepów obryzgał stoły i ściany. Jęk, płacz, charczenie, modlitwy, przekleństwa, śmiech pijacki zmieszały się w chór jeden — piekielny.

Razem ze krwią i łzami popłynęła gorzałka. Pito wprost z baryłek, wyrywając czopy zębami. Ten i ów trunkiem omroczony padał między trupy sam ledwie żyw, i rzężał do chóru z konającymi.

Jeden Szafran radzić sobie umiał. Nie bronił swego dobra — owszem, sam je ofiarował napastnikom. Stanął przed swą budą, kłaniał się do kolan każdemu zbójowi — na tęgie wino mołdawskie, na miód szlachecki, na krzepką gorzałkę pokornie do siebie zapraszał.

I «córek» swych nie krył. Zofka i Salka, choć zielone od strachu, pośpieszyły żwawo usługiwać opryszkom, starając się nawet wykrzywiać do uśmiechu drżące, zbielałe wargi.

On sam tymczasem, wypchawszy kieszenie

przestronnego sarafana klejnotami i papierami ważnymi, cofał się ku tylnym zabudowaniom, mając się do ucieczki.

Zastąpili mu drogę dwaj semenowie.

Jeden wziął go pod żebra z jednej strony, drugi z drugiej — przed samemi oczyma machnęli mu nahajkami, które miały na końcach kulki ołowiane. Potem jeden powiedział mu coś do ucha głosem bardzo stanowczym.

Szafran skinął głową na znak zupełnej zgody.

Wszyscy trzej zeszli do loszku, wypełnionego fantami. Bawili tam dość długo. Z powrotem ukazali się najpierw kozacy, z których każdy był obciążony wielkimi tobołami. Za gośćmi, wywlókł się gospodarz — wciąż bardzo uniżony i kłaniający się.

Kozacy dosiedli zaraz koni i, z przytroczonymi do siodeł ciężarami, kopnęli się w strony przeciwne.

Szafran postał chwilę, raz jeszcze im się ukłonił, i — dał nurka w kukurydzę, której wielkie pole rozciągało się nieopodal.

Unosił życie, klejnoty i dokumenty. Żeby z tem na dno nie pójść, resztę rzucał w fale. Żal mu było zmarnowanego «towaru», straconych fantów... O «córkach» ani pomyślał.

Tymczasem «zabawa rycerska» szła w najlepsze.

Już nie było ludzi, nie było zwierząt — było piekło ze wszystkimi czartami.

Wymordowano już mężczyzn, zbezczeszczono i również wymordowano kobiety — pozostali tylko starcy i niemowlęta.

Zlani krwią, zataczający się, napół nieprzytomni oprawcy mieli chwilę niepokoju, wahania się....

Miażdżenie głów, płatanie piersi, rozpruwanie brzuchów już się im znudziło. Krew... ciągle krew... tylko krew... — to wkońcu musi spowszednieć. Uczuli wstręt do mordowania nożem, toporem i pałką.

Gdy tłum dojdzie do takiego stanu, przestaje myśleć, traci wolę — jest masą bierną, którą każdy może kierować. Gdyby człowiek silny duchem stanął nagle przed zbójami, i wzniósłszy w górę krzyż, zawołał: «Na kolana!» — pewnieby padli, rycząc z żalu i zmiłowania Boskiego błagając.

Ale, zamiast tego hasła, rzucono im inne zgoła. Ktoś głosem ochrypłym wrzasnął:

— Na most!...

Natychmiast banda, jakby pchnięta niewidzialną pięścią, potoczyła się w stronę mostu.

Potoczyła się — stanęła...

W resztkach czuwających jeszcze mózgów nie uświadomił się dostatecznie cel pchnięcia.

Topić!... — rozległ się wrzask donioślejszy.

Zrozumiano.

Na drodze, w ohydnem błocie z piasku, który

wchłonął kałuże krwi i rozlanej gorzałki, czołgali się starcy schorzali i zgrzybiałe niewiasty, żebrząc o życie dla — wnuków.

Cała dziatwa wołoska zbiła się w kupkę, jak stado jagniąt podczas burzy, i wyczerpawszy się długim lamentem, w niemem odrętwieniu, okropnie wytrzeszczonemi oczyma wpatrywała się w twarze oprawców.

«Na most!»... «Topić!»... — ryczeli zbóje, tocząc się ku rzece. A jak lawina porywa lub miażdży wszystko, co spotka, tak oni miażdżyli lub porywali każdą ludzką istotę, co im na drodze stanęła.

Starcy padli w jednej chwili pod ciosami pałek. Po ich ciałach przeszły ciężkie, podkute skórznie, do krwawego błota je wbijając.

Wszystką dziatwę — nawet niemowlęta wyciągnęte z kolebek — porwano i uniesiono. Półnagich chłopców i dziewczątka zbrodniarze za nogi chwytali, przez ramiona przerzucali sobie jak barany.

Z wyciem, świstem, z wrzaskami pawianów i gorylów, banda wpadła na most, pod którym szumiał i pienił się Dniepr wezbrany.

Fala i płomień są bezlitosne. One zawsze na łup czyhają. Płomień wysuwa z sykiem drgające, czerwone żądła, kaleczy, oszpeca, zwolna, kawałkami, pożera. Fala odrętwia ofiarę szumem usypiającym, połyka mokrą, nigdy nie

sytą gardzielą, ciągnie na dno lejkowatymi wirami, dusi i na żer stworzeniom wodnym oddaje.

Owego dnia fala Dnieprowa aż zaryczała z uciechy, wyszczerzając w potwornym uśmiechu białe kły skał podwodnych. Tyle ciał od razu! takie potoki krwi świeżej, purpurowej!...

Rzucano dzieciątka do wody z wymyślnem okrucieństwem — jedno po drugiem, nie śpiesząc. Gdy białe, cherubinowe ciałko nie chciało iść na dno, ciskano w nie kamieniami. Przy każdej nowej ofierze, zjawiającej się na falach, wybuchał wrzask...

Wielu dzieciom los oszczędzał długiej męki. Trafiwszy na ostrze skalne, od razu ginęły. Inne pływały długo po powierzchni, unikając jakby cudem pocisków i wirów.

Dzieci zbrakło już — Dniepr wciąż jeszcze pożądał żeru, a tłum uciechy. Wrócono do parowu, odszukiwano tych, co jeszcze ostatniego tchnienia nie wydali — wśród krzyków na most wleczono konających.

Wśród ofiar znalazły się: Zofka i Salka. W podartem na strzępy odzieniu, sine, obrzmiałe, huśtać się zdawały na rozkołysanych falach.

Wreszcie przyszła kolej na trupy...

W tej chwili dopiero zabrzmiała trąba wojenna — zbóje zostali otoczeni przez wojsko.

Byli jak zwierzęta dzikie, co się nad miarę

obżarły i krwi ludzkiej opiły — senni, ogłupiali, bezwładni. Nie bronili — nie próbowali nawet uciekać. Zrozumieli jedno: że uciecha skończona, i że teraz trzeba za nią — zapłacić.

Lubomirski złożył «sąd gorący». Na poczekaniu zarządzono dochodzenie, mające wykryć najwinniejszych. Dla tych przygotowano od razu stryczki i upatrzono miejsca na gałęziach.

Czyniło się to tylko dla kształtu. Każdy wiedział, że wszyscy są winni, i że wszystkich należałoby wywieszać. Ale czasu wojny, jeżeli życie ludzkie wogóle bardzo mało się ceni, życie pewnych ludzi posiada wartość nadzwyczajną. Tymi ludźmi wyjątkowymi są mężczyźni, zdolni do noszenia broni. Wartość ich wzrosła jeszcze kilkakrotnie pod Chocimem, gdzie na jednego Polaka przypadało trzech, czterech Turków. Wieszać takich ludzi w dużej ilości znaczyłoby: siebie samych okradać.

Wybrano przeto kilkunastu, pozostawiając wybór bardziej trafowi, niż sprawiedliwości — i ci zaraz zawiśli na gałęzi. Resztę kazano ćwiczyć batogami.

I ci, których wieszano, i ci, których batożono, nie wiedzieli co się z nimi dzieje. Gorzałka pozbawiła wszystkich przytomności i czucia. Za dotknięciem, przewracali się jak kłody.

O martwych nie kłopotano się ani trochę. Hetmani mieli na głowie sprawy ważniejsze.

Trupy ofiar i trupy katów pozostawiono «psom i krukom na opas». Historyk powinien był dodać w tym razie: i rybom.

Pomiędzy trupy zwalili się pokotem i żywi, co batogi otrzymali. Część ich nie wstała już więcej z tego posłania.

Sobieski, a za nim Potocki, mają za złe hetmanowi polnemu zbytnią pobłażliwość. «Kara nie odpowiada zbrodni» — mówi pierwszy. Drugi dodaje: «Sroższym być podczaszemu sędzią należało — żeby po nim dekretu już nie poprawiało w tak jawnej krzywdzie niebo»...

Są to głosy moralisty i poety. Żołnierz i polityk wydadzą sąd inny.

Wojna jest zawsze i pod wszystkimi względami — dziełem szatańskiem.

VI.

Dąbek przepędził tę noc bezsennie. Nawet nie kładł się, bo się lękał strasznych widziadeł, które już na jawie nazbyt go dręczyły.

Chodził po namiocie i dokoła namiotu, wzdychając, ręce załamując — niekiedy czyniąc ruchy takie, jakby kogo odpychał.

Widywał już przedtem rzecz okropną: zabitych, i rzecz okropniejszą: zabijających — ni-

czem to jednak było w porównaniu z piekłem, oglądanem tam, przy moście chocimskim...

Jego spokojna, mieszczańska dusza, mająca za cały ideał: pracę, modlitwę, miłość Boga i ojczyzny, miotała się w konwulsyach na każde wspomnienie widzianych gwałtów.

Dręczył go też, nakształt zmory, obraz Konrada, pędzącego nań z podniesioną szablą.... W oczach swego wroga dojrzał wówczas bezdeń niegodziwości. Domyślał się rzeczy okropnych, do wiary niepodobnych...

Długo walczył z tem widziadłem, daremnie usiłując pozbyć się go. Do białego rana mocował się z niem, jak archanioł ze smokiem. Na samem świtaniu zakończył walkę powzięciem silnego postanowienia, które wyraziło się w słowach:

— Tak dłużej trwać nie może. Dziś liczby swe zamknąć musimy...

Zrozumiał po prostu, że między nim a Wichurą sprawa doszła do tego punktu, w którym należało koniecznie, w taki lub inny sposób, położyć jej kres.

W obozie otrębywano pobudkę. Przywołał pachołka, żeby mu dał inną odzież, pomógł się przebrać, na głowę i ręce wylał konew wody. Przed ryngrafem, do płótna namiotu przytwierdzonym, odmówił dłuższe, niż zwykle modlitwy; potem poprawił na sobie uzbrojenie, pomacał

szablę, czub i wąsy nastroszył, i — ruszył prosto do miejsca, gdzie okopali się byli Lisowczycy.

Miał do przebycia duży kawał drogi. Gdy przybył, już słońce dopijało ostatnich kropel rosy, już tu i owdzie szła dość gęsta strzelba, już ochotniejsi lub niecierpliwsi towarzysze na harc wyjeżdżali...

Przybył zapóźno. Jeszcze o zmroku przedporannym, Konrad Zboiński opuścił namiot swój, obóz i Chocim.

— Uciekł?

— Co zaś! Z pozwoleniem pana hetmańskiem, jawnie i okazale, wyjechał.

— Sam?

— I to nie. Luzaka wziął, pacholików dwóch czy trzech, koni zapaśnych do dziesięciu, objuczonych jak się patrzy. Nie z próżnemi żegnał nas rękami.

— Dokąd drogę wziął?

— Do rodzica swego, który go wezwał *in articulo mortis*.

— I hetman zezwolił?

— Co nie miał zezwolić junakowi takiemu! Alboż Zboiński mało zasłużył się Rzeczypospolitej? nie dość krwi za nią przelał? Wżdyć i teraz stanął przed hetmanem z gębą haniebnie żeleźcem tureckim przejechaną...

Krzyś zamilknął — zbity z tropu, znękany.

Przez głowę mu przebiegło: gonić wroga.... Ale myśl była szalona, niewykonalna.

Potem jeszcze pomyślał: do hetmana iść... oskarżyć...

Z tej myśli otrząsnął się żywiej jeszcze, niż z pierwszej.

Od najbliższego towarzysza konia pożyczył, dosiadł go i szłapią powracał ku swemu namiotowi.

Tego dnia nie było gorętszej przeprawy z wrogiem. Turków zajmowały jeszcze przenosiny obozu. U naszych panował względny spokój.

Omawiano sprawy wewnętrzne, zajmowano się osobą hetmana wielkiego. Upragnione wyzdrowienie Chodkiewicza, lub tęż jego zgon, przewidywany niestety, oraz możliwe następstwa jednego lub drugiego, najbardziej głowy zaprzątały.

Hetman czuł się owego poniedziałku lepiej. Do serca mu przypadła rada lekarza, zalecająca osobistą wyprawę w pole, z orężem w dłoni. Mówił o tem wiele, plany roił, czynił przygotowania.

Krzyś zatrzymywał się tu i owdzie przy rozprawiających gromadkach, łowiąc uchem cudze zdania, swoje słówko wtrącając. Dojechał w ten sposób do małego, usypanego z piasku wzniesienia, skąd rozpatrywano w potrzebie ruchy nieprzyjaciół.

Zdziwiła go wielka kupa ludzi, na zboczach wzgórza stłoczona. Ci ludzie otaczali kogoś, na punkcie najwyższym stojącego, którego Krzyś nie mógł rozpoznać, bo był ciżbą osłoniony.

Dopiero zsiadłszy z konia i przepchawszy się trochę przez tłum, zdołał przyjrzeć się lepiej nieznajomemu. Był to pielgrzym — «pątnik», jak wówczas mawiano. Miał płaszcz długi po kostki, kapelusz bardzo szeroki, tykwę zatkniętą na kiju — wszystko, co pielgrzymom przystoi.

Pielgrzym ostro okutym końcem kija kreślił na piasku jakieś znaki, mówiąc coś przytem — otaczający słuchali go z wielką uwagą.

Krzyś, przed którym rozstępowano się, jako przed takim, co był w stanie cały oddział na własnym żołdzie trzymać — dotarł po kilku chwilach do pierwszego rzędu widzów.

Trafił na chwilę, gdy pątnik, zatarłszy końcem kostura swe rysunki, wyciągał z zanadrza dużą kartę pergaminową.

— Siła tu słyszę o wyglądanych tryumfach - mówił głosem głębokim, spokojnym. — Niemasz tu nikogo, coby z całej duszy wiktoryi nie pożądał, u Pana Boga onej nie żebrał. Otom więc ręką swą napisał: *Arbor Victoriae*, «Drzewo Zwycięstwa», aby każdy z waszmościów dowiedział się co na niem roście...

Tu wysunął przed siebie ów pergamin, ku któremu zwróciły się oczy wszystkich.

Na karcie czerniało wielkie, suche drzewo o rozłożystych gałęziach, na których zamiast liści i kwiatów wyrastały — czaszki trupie. Korzenie drzewa tkwiły w wielkiej kałuży krwi, oznaczonej farbą czerwoną.

Jakiś śmieszek próbował wystąpić z dowcipem, rzecz całą w żart obrócić, ale go surowo zgromiono. Ogólne wrażenie wywołane przez alegoryę, było smutne. Przysuwano się kolejno do karty, czyniono uwagi — kilku przesądnych przeżegnało się przed rysunkiem.

W owej epoce alegorya silnie oddziaływała na umysły. Posługiwano się nią często w sporach religijnych i politycznych, jako doświadczoną, dla przeciwnika złowrogą, niekiedy nawet śmiertelną, bronią.

Krzyś obejrzawszy kartę, stanął na uboczu i pilnie wpatrywał się w pielgrzyma. Poznawszy obraz, ciekaw był artysty.

Twarz nieznajomego znajdowała się w cieniu, do połowy zakryta kapeluszem. W głębi cienia żarzyły się wielkie, czarne oczy; na zewnątrz wystawał duży, orli nos barwy żółtawej.

Wbrew zwyczajowi, ten pątnik nie był starcem. Cała jego postać tchnęła pełnią męskiej siły.

Gdy już się wszyscy napatrzyli na rysunek, nieznajomy jął mówić, jakby ciągnąc wykład przerwany:

— Doświadczaliście waszmości wiedzy mojej, dowiedziawszy się, żem heraldyk. Przedstawiłem wam siła rodowodów królewskich i książęcych. Teraz wam rzeknę: kogo rodzi ta wielka pani, której służycie wszyscy: Wielmożna, Najwielmożniejsza Wojna. Ślubując macierzy, znać trzeba i potomstwo.

Pochylił się — kosturem na piasku nakreślił kółko.

— To ona. *Mater* — choć zgoła nie *alma*.

Z kółka wyprowadził w dół trzy promienie. Koniec każdego promienia naznaczył również kółkiem.

— A to trzy córy.

Odjął kij od piasku — wzrokiem powiódł po słuchających.

— Wiemy kto macierz — mruknął najbliższy. — *Bellum* jej zwisko. A potomstwo?

Pielgrzym, w odpowiedzi, przy jednem kółku nakreślił wielkie — *M*, przy drugiem — *F*, przy trzeciem *P*.

I znów milczał.

Tamci kręcili głowami, siląc się nad odgadnięciem zagadki.

— *M*, to może *Magnitudo?*... — domyślał się jeden.

Drugi rzekł śmielej:

— *F*, to *Fama*. Nic innego, jeno *Fama*.

Znaczenia *P*, nikt nie próbował nawet zgadywać.

Pielgrzym objaśnił:

— Wojna zrodziła trzy córy. Imiona ich te są: *Miseria, Fames, Pestis* — Nędza, Głód, Zaraza...

— Bo i prawda! — rzekło kilku, westchnąwszy.

— Prawda! prawda! — przytakiwało coraz więcej głosów, które nagle stały się poważne, posmutniały.

Nieznajomy tymczasem z kółka znaczącego *Bellum* wyprowadził w górę promień, i u wierzchołka jego napisał wielkie *S*.

— Wiadomo już waszmościom kogo Wojna zrodziła. A oto ten, który zrodził Wojnę.

— Rodzic wojny Mars — ktoś się odezwał.

— Gradivus! — pośpieszył z dopełnieniem drugi.

Pielgrzym pokręcił głową przecząco.

— Ani ten, ani ów. Oto miano, pod którem Kościół go zna...

Końcem kostura wyrył na piasku:

SATHANAS.

I zaraz schodzić jął ze wzgórza, pergamin w zanadrze chowając.

Schodząc, spotkał się oko w oko z Krzysiem.

Bystro spojrzał mu w twarz, i jakby poznając szukanego, przystanął, pozdrowił go...

— Z Warszawy idę... — wyrzekł z naciskiem szczególnym.

Dąbek aż drgnął, tak mu się w tej chwili ten głos wydał znajomym.

Nie namyślając się, posłuszny jedynie uczuciu, które mu serce przepełniało, zapytał:

— Drewnów znacie?...

Pielgrzym odrzekł uroczyście:

— Stary Drewno umarł.

— Umarł?... Wieczne odpocznienie! Mąż był sprawiedliwy, przytem męczennik. Wierę, nie dla innych są miejsca w niebiesiech!

Szczere wzruszenie opanowało młodzieńca. Ręce złożył — odmawiał po cichu modlitwę za zmarłych.

Po chwili, z pewną nieśmiałością, wyjąkał:

— A Ha... a córka Drewny?

— Panienka świątobliwa, czysta i... smutna, jak zawżdy.

— Smiercią ojca srodze strapiona?

— Nikt bez żalu nie żegna przyjaciela...

— O jejmość panią Drewnową nie pytam. Ta w każdej przygodzie radzić sobie potrafi.

Chrząkał, wąsa pociągał — na sercu mu leżało inne jeszcze pytanie, którego nie śmiał wyjawić. Rad był wiedzieć: czy o rękę Hanusiową nie posunął się kto znaczny? czy może jeszcze

liczyć — choćby w przyszłości oddalonej — na... przyjaźń dzieweczki?

Pielgrzym nie przestawał wpatrywać się weń uważnie. I, jakby czytając w jego myślach, odezwał się nagle:

— O Hanusi mam ci rzec słowo...

Odeszli na stronę.

— Panience złość ludzka zagraża — szepnął. — Wielka dolegliwość idzie na nią i wielki ucisk serdeczny. A niema, ktoby z pomocą jej śpieszał...

— Skąd wiecie o tem?

— Wiem wszystko.

— Broń cież niebogę!... — zawołał przelękły Krzyś.

— Nie w mojej to mocy. Trzeba, żeby kto stanął przy niej, piersią swoją i duchem swoim ją osłonił. A mnie przeznaczenie pędzi gdzieindziej: do Jeruzalem, do Egiptu...

Krzyś załamał ręce. I w głosie pielgrzyma czuć było hamowane wzruszenie.

— Są wyroki nieprzełomne — ciągnął. — Bóg zsyła je niewinnym, aby przez nich winni cierpieli. Moje miejsce tam, a przecie stamtąd wyniść musiałem. Iśćby mi trzeba na Zachód, los mię ku Wschodowi żenie... To moja pokuta!

Ujął za rękę Krzysia — jak kleszczami ją ścisnął. Oczy, których nie spuszczał z niego, rozgorzały mu silnie.

— Tobie zlecam Hanusię — wyrzekł głosem cichym, lecz mocnym.

W głosie była prośba i był rozkaz.

— Wiecie, żem słaby i powinnością swą do miejsca przykuty — odrzekł Krzyś żałośnie.

— Będę się modlił o siłę dla ciebie. Znajdziesz ją, byleś był sprawiedliwy i na krzyż Chrystusów zawżdy pomniał. Co się więzów tknie, spadną same przez się, gdy wojna ustanie. A ona wrychle skończyć się musi.

W Krzysiu ocknęła się ciekawość — nie dziwna w żołnierzu i obywatelu.

— Czem się skończy? — zapytał. — Wam wszystko wiadome, powiedzcie kto zwycięży: my czy poganie?

— Zwycięży o n a.

— Kto taki?

Pątnik zamiast odpowiedzi, podsunął pod oczy młodzieńca swój różaniec, przy którym zwieszała się spora, z kości wyrzezana: trupia głowa.

— Módl się — ciągnął — na krzyż wspominaj, walcz z wrogami swymi i Hanusi. Gdy Bóg pozwoli, stanę przy tobie. Stanę, aby prawdzie nieść świadectwo.

Obejrzał się i głos zniżając, dodał:

— Byłem tam... za drugą skałą ukryty.... Byłem, gdy tamten łupy zabierał, gdy strzelał do ciebie, gdy żelazem do serca twego sięgał.... Byłem i widziałem.

Poprawił sakwy na plecach; z pod kapelusza, jak z pod umbry wielkiej na niebo spojrzał:

— Słońce wysoko. Siła-m czasu zmitrężył. W drogę mi pora!

Uścisnął rękę Krzysia; odchodząc rzucił mu jeszcze:

— Pomnij na krzyż Chrystusów. *Crux Christi Corona Christianorum.*

VII.

Po dwóch dniach pokoju, nastąpił dzień wojenny. Szał, przez czterdzieści ośm godzin hamowany, wybuchnął z tem większą gwałtownością.

Zdawało się, że chwilowemu rozejmowi obie strony są rade. Było przeciwnie. Obie wyglądały z niecierpliwością chwili, gdy będą mogły szable napowrót wydobyć, ciosy rozdawać i — odbierać...

Wojna wytwarza w swych uczestnikach szczególną, chorobliwą drażliwość. Ludzie, w zwykłych warunkach cisi i bardzo o całość swą dbali, rwą się wówczas w ogień jak szaleńcy, pohamować się nie dając. Prawie pożądają niebezpieczeństw, bólu, ran, śmierci.

Przypomina to obłęd ascetyczny, w którym znajduje się rozkosz w sypianiu na cegłach,

krwawieniu ciała ostrą włosienicą, smaganiu się rzemieniami twardymi...

Ow wtorek, po cichym poniedziałku idący, już od rana zapowiadał się niezwykle. Wprawdzie Turcy sprawiali się cicho, ale widać było w ich obozie ruch wielki. Oddziały spahów przenosiły się z miejsca na miejsce, czauszowie przebiegali jak strzały w różnych kierunkach, przetaczano działa, przenoszono namioty.

Już się miało na południe, gdy nieprzejrzana chmura pogaństwa, z wrzaskiem i hukiem, rzuciła się na tabór kozacki.

Ale ten tabór był nie do zdobycia. Zaporożcy umieli ze swych wozów czynić tak misterną a zarazem krzepką plątaninę, że siła ludzka przełamać jej nie mogła. Co więcej, niesłychanie biegli w robotach grabarskich, zdążyli już (w ciągu jednej nocy!) zabezpieczyć swój szaniec wałem ziemnym, również nieprzełomnym. Wreszcie, już poza szańcami i wałem, pokopali doły, chróstem nakryte, a dla wroga podwójnie groźne, bo były pułapkami dla koni i — w każdym siedział gotowy do strzału kozak.

Więc też, gdy grad kul i strzał zasypywał obóz, pod niejednym wozem, czyli, według Potockiego «pod piastą gnojem nafasowaną», siedziała przycupnięta (kolei swej czekając) kupka mołojców, grając w «siem-odenastą». A gdy zdarzyło się, że zbłąkana kula położyła trupem

którego z grających, towarzysze odsuwali zabitego na stronę, miejsce jego zastępował kto inny — i gra szła dalej bez przerwy.

Nierówna jest walka, gdy jeden z zapaśników walczy z ukrycia, drugi całkowicie odsłoniony. Pociski tureckie, na oślep gęstą masą wyrzucane, rzadko sięgały Zaporożców — oni, biorąc każdy swego na cel, kładli Turków pokotem.

Była w ostatnich wielka zapamiętałość, powiedzmy uczciwie: męstwo wielkie. Prażeni ogniem siarczystym, od czoła przez kozactwo, z boku przez posiłkującą mu piechotę Denhofa, biegli w bój z niesłabnącym zapałem. Czterokrotnie powtarzali natarcie, nie zważając, że ciała swych braci końmi tratują, że sami na śmierć pewną idą.

A gdy jeszcze w tem miejscu rozprawa nie była skończona, wszczął się gwałt przed szańcami Lubomirskiego. Turcy wymacali tu słabiznę — według planu rozważnie obmyślonego, przełamać ją postanowili.

Nie tajmy prawdy, ani ją fałszujmy. Plan wodzów Osmana był dobry i — powiódł się. Źle strzeżony szaniec hetmana polnego został przerwany; piechotę naszą, która (według jednego z dyaryuszów) «podjadłszy sobie, jako w Polsce, zabawiała się południowym snem a wczasem» — co do nogi wybito; zabrano działa, chorągwie

i pacholików co niemiara; werżnięto się tak głęboko w nasz obóz, że już osoba królewicza Władysława była zagrożona, a nad jego lepianką kule nieprzyjacielskie pogwizdywały...

Źródła tureckie liczą na tysiąc «niedowiarków», co tam wówczas polegli. Nasi kronikarze mówią głośno o jednej setce — napomykają z cicha o drugiej...

Rozum i energia Chodkiewicza zapobiegły nieszczęściu. Dojrzał popłoch, pchnął w to miejsce świeże zastępy, własnem męstwem je zagrzał — Turcy zostali odparci.

Ale już straszne dzieło wojny było spełnione...

Wrześniowe popołudnie, na podziw piękne, roztaczało niewysłowiony czar polskiej, wczesnej jesieni. Z licznych w okolicy ogrodów nadlatywał zapach dojrzałych gruszek, jabłek, melonów. W powietrzu pływały postrzępione nici babiego lata, uskrzydlone nasionka ziół, puchy ptasie i roślinne. Dziwne ukojenie, tej tylko porze roku właściwe, przenikało przyrodę — z przyrody tchnęło w człowieka...

Ale człowiek nie chciał ukojenia — gardził ciszą — odpychał szczęście, przez Boga sobie ofiarowane.

Błękit nieba odbijał się nie w błyszczących oczach ludzi szczęśliwych i spokojnych, lecz w zeszklonych źrenicach trupów. Srebrne paję-

czynki osnuwały pokrwawione żeleźce kopii, czepiały się szabel w gniewnym rozmachu podrzucanych, rąk śmierć bliźniemu niosących. Puchy osiadały na potrzaskanych zbrojach, rozplatanych czerepach, obnażonych, krwawych i sinych ciałach.

Kobierce traw, niedawno jeszcze świeże, aksamitne, kwiatkami jesiennymi wzorzyście umalowane, były zryte kopytami koni, kołami armat, podkutem obuwiem żołdactwa. Drzewa w gajach, przed miesiącem jeszcze pięknych, wonnych, cienistych, wyglądały jak upiory — z postrącanymi liśćmi, połamanemi gałęźmi — z korą nawet, przez kule i szable poodzieraną...

Na tym trupie przyrody, co krok · trupy ludzkie. W jednej stronie ciała Turków, w drugiej — Polaków i Niemców najemnych. Śmierć dwojgiem skrzydeł nakrywa jedno ohydne, słońcu i oczom ludzkim jawne, cmentarzysko.

Dzicz kozacka zdążyła już wypaść z taboru, zabrać się do ostatniego dania uczty wojennej — obdzierania trupów. «Forgi, kity, czuby», nierzadko perłą, rubinem, brylantem nasadzane, trzęsące się przed chwilą tak dumnie i tak malowniczo na głowach tureckich, stają się łupem czarnych od dymu prochowego zbójów. Do sakw przez plecy kozackie przewieszonych, idą pospołu: jedwabne zawoje, złote łańcuszki, zapinki, poszarpany złotogłów, aksamit, czerwone, zbło-

cone baszmagi, głowice szabel, mosiężne i srebrzone kulbaki, rzemienie z uprzęży, oderwane z martwych bachmatów podkowy, ogony końskie, klejnoty, szmaty, łachmany. Na zdejmowanie pierścieni niema czasu: obcinają się palce albo ręce całe z pierścieniami.

Szakale i kormorany nie spełniłyby swej czynności grobowej tak szybko, jak tego dokonywa czerń zaporozka. Pchnięcie noża przy uczcie — rzecz zwykła. Niejeden kozak z piersią przebitą pada między ciała pogańskie — «niedowiarek» kładzie się na sen wieczny obok «niewiernego».

Niebawem tysiące mózgów ludzkich, rojących się myślami, tysiące piersi, pełnych uczuć i namiętności, są już tylko resztką uczty żołdackiej, ogryzkami rzuconymi psom, krukom, muchom polnym i mrówkom...

To wojna!

Przy rozrzuconym szańcu Lubomirskiego — inne widowisko. Właściwie: inna scena tegoż samego widowiska.

Tu niema ciał obdartych. Niema nawet właściwych ludzkich ciał. Są tylko buchające krwią kadłuby. Głowy Turcy poucinali i zawieźli w podarunku sułtanowi.

Jak okropnie wyglądają te szczątki ludzkie! Prawie każdy trup ma ręce podniesione do ra-

mion. Wszyscy, konając, ostatnim, konwulsyjnym skurczem bronili głów ucinanych...

Z jednych kadłubów krew tryska fontanną, z innych cieknie strumykiem, z innych jeszcze sączy się kropla po kropli. Niekiedy krwawy strumień zatrzymuje się, krzepnie, grzybem czarnym zasycha — kadłub leży sztywno, jak kłoda. Nagle trup wzdryga się, rękami i nogami porusza, z uciętej szyi rzuca się nowa krwi fala.

Już tę krew zwietrzyły psy półdzikie, których całe stada włóczą się za obozem. Już zbiegły się, już czerwoną posokę chłepcą na ziemi — już krwawe ozory w otwarte kadłuby wsuwają...

To wojna!

Krew upaja silniej, niż wino, niż gorzałka najtęższa. Kto w bitwie woń jej poczuł, już nie będzie spokojny, póki posoki nie przeleje do syta, póki się nią po łokcie i po kolana nie ubroczy. Szał krwawego pijaństwa jest tak wielki, że po wielu latach, po stuleciach całych, jeszcze odurza, zaczadza, zwierzę drzemiące w człowieku budzi i rozjusza.

Potocki, poeta, a więc człowiek z duszą na piękno i dobro wrażliwą, rzecznik najszczytniejszych ideałów chrześcijaństwa, przewodnik narodu, mający go wieść do cnoty, do słońca, do Boga, opiewając wojnę chocimską, wysławia

w dobrej wierze to wszystko, co jest najokropniejszem tamtych ideałów urągowiskiem i zaprzeczeniem.

Woń krwi, przed kilkudziesięciu laty rozlanej, w szał go wprawia. Z dumą i uciechą opowiada, jak poganom «ciepłe wątroby krwią kipią», jak w ich trupach «po same pałki kruszą się kopje nasze na kawałki». Zachwyca go widok «koni więznących w ludzkiem mięsie», «krwi zsiadłej, co się na ziemi galaretą trzęsie». Śpiewa na nutę bohaterską, «gwoli pokrzepienia serc»: jak «ludzie się niedobici w swoich kiszkach plącą, drudzy chlipią z paszczeki posokę gorącą»...

Taki szał, takie moralne zaczadzenie, takie cofnięcie się duchem do epoki niedźwiedzia jaskiniowego — to wojna! wojna! wojna!

VIII.

Długo stał w miejscu Chodkiewicz, śledząc ze wzgórza przebieg walki, wydając rozkazy, śląc gońców, poprawiając cudze błędy, duchem swym zdala pomagając sprawie.

Długo nozdrza jego wielkiego nosa wciągały kurz bitewny, policzki drgały, broda jeżyła się, dłoń to chwytała, to puszczała głowicę potężnego miecza — starzec czerwienił się i bladł,

puszczał cugle koniowi i ściągał je z wysiłkiem; chciał lecieć i postanawiał zostać...

Nie wytrzymał.

Właśnie przed chwilą husarze Sieniawskiego uderzyli z jego rozkazu na lecącą ku szańcom jazdę turecką. Uderzenie było piorunowe — jednak kopie husarskie skruszyły się o szeregi jańczarów, jak o mur kamienny. Pogaństwo leciało jak wicher na ten sam przerwany szaniec, przy którym o południu święciło tak wielki tryumf.

Hetman stanął w strzemionach, błyskawiczne spojrzenie rzucił w prawo i lewo. Prócz jego własnej chorągwi, która trzysta koni liczyła, stały tam jeszcze cztery inne pułki: Opalińskiego, Zienowicza, Sapiehy, Rudominy.

Głosem prędkim, drżącym z niecierpliwości, rzucił rozkazy — każdemu miejsce wyznaczył.

...Sam stanął na przedzie;
Lewe skrzydło Zienowicz z Opalińskim wiedzie;
Prawe Sapieha trzyma z mężnym Rudominą,
Czekając rychło ku nim poganie się chyną.

Runął Chodkiewicz, jak orzeł, gdy z pod chmur rzuca się na stado baranów — inni, porwani jego rozpędem, z niemniejszą furyą w ogień poskoczyli.

Krok był szalony; każdego z czcigodnych «komisarzów« zgrozaby przejął. Naszych nie

było więcej nad siedmiusiet — Turków (jak twierdzi Naruszewicz) do szesnastu tysięcy...

Ale Chodkiewicz lubił szaleństwa. Jego geniusz wojenny najochotniej kusił się o zwycięstwa nad niezwyciężonem.

Garstka naszych wpadła w zastępy tureckie «jak w otchłań». Wpadła — lecz nie zniknęła. Husarze rychło kopie skruszyli, do szabel się wzięli; spahowie już je od początku mieli wydobyte. Starła się stal ze stalą; lśniące ostrza, w których odbijała się purpura zachodzącego słońca, rzucać jęły dokoła miliony krwawych błyskawic.

W zbałwanionem morzu różnobarwnych kaftanów, turbanów, burnusów, wśród falujących błękitności, żółtości, czerwieni, zieleni, dwie rzeczy wciąż były widne: wyniosła postać hetmana, w zbroi, z olbrzymią szablicą oraz jego wielka, szeroko rozpostarta chorągiew.

Chorągiew była biała, adamaszkowa, tu i owdzie podziurawiona przez kule. Na chorągwi — herb Chodkiewiczów: czarne skrzydło orle z jedną nogą.

Chwilami pstra fala pogaństwa wzbierała tak silnie, że i wódz i jego chorąży całkowicie w niej tonęli. Wówczas widać było tylko potężną szablę górującą nad wszystkiemi innemi, oraz marszczący się na wietrze płat białego adamaszku.

Trwało to długo — zbyt długo...

Ci, co stali na wałach, patrząc zdala na śmiertelne igrzysko, uczuli trwogę o ostateczny wynik zapasów. Prawda, że nasi kopijnicy to lwy — ale i z lwami źle być może, gdy każdemu przyjdzie się porać z trzydziestoma psami.

Szmer obawy, niezadowolenia i gniewnej krytyki stawał się coraz głośniejszy. Jedni ręce łamali w niemej rozpaczy; inni biadali głośno; partya «komisarska» rozwodziła lamenty nad «cholerą» hetmańską, która naszym niezawodną zgubę gotuje...

Dotąd bój, podobny do wrzątka kotłującego się w olbrzymim kotle, kipiał na jednem miejscu. Wrzątek rozpryskiwał się na wszystkie strony, często w dalekich nawet promieniach, ale kocioł stał twardo, niczem nieporuszony.

To znaczyło, że nasi «plac trzymają», że jeszcze siły po obu stronach równe.

Z pod pstrocizny strojów wschodnich, wyłaniały się co chwila błyszczące pancerze husarzów, niby kłęby węża o łusce stalowej, przewijającego się wśród kwiatów. Ta łuska najpewniejszą była wężowi obroną. Szable i dzidy tureckie dzwoniły po kirysach polskich — przebić ich nie mogły. Inaczej było z Turkami, których jedwabie stroiły, ale nie ochraniały. «Nasz gdzie tnie, tam rana; gdzie pchnie — dziura w ciele; w łeb, w pierś, w brzuch, gdzie się nada, rąbią, kolą śmiele»...

To była rzeź... — okropna rzeź wyznawców islamu.

Zdobyliśmy się wyżej na słowo uznania dla męstwa Turków — zdobądźmy się jeszcze na westchnienie, jeśli nie żalu, to politowania nad ich nieszczęściem.

Ono będzie wyglądało obco, gdyż wybiegnie po raz pierwszy z piersi Polaka. Nic to! Byle raz uczuciu szlachetnemu dać ujście, już za niem cały potok zbudzonej szlachetności popłynie.

Biedni Turcy! biedne ofiary zaborczego obłędu i mocy despotycznej Osmana! Nie nazywajmy ich fanatykami z urąganiem. Fanatykiem jest każdy, kto służy niepodzielnie ukochanej przez się idei. A oni tę ideę mieli — narzuconą sobie, fałszywą, ale w ich oczach piękną, w ich przekonaniu: aż do boskości wzniosłą.

Prawda, że i między nimi — zwłaszcza po stronie tatarskiej — nie brakło chciwców i drapieżników, o zdobycz tylko walczących. Prawda, że nagrody, szczodrą ręką przez sułtana rozdawane, były jedną z pobudek, które ich męstwo podniecały. Ale większość ogromna mienie swe, przyjemności doczesne, życie wreszcie, niosła w ofierze wyłącznie — zielonej chorągwi Proroka.

Bądźmy sprawiedliwi, jeśli żądamy sprawiedliwości. Miejmy serce, gdy o jego prawa walczymy. Oddajmy nawet wrogowi, co mu się na-

leży. Nie upijajmy się ani własnem powodzeniem, ani krwią cudzą. Nie depczmy zwyciężonych. Pamiętajmy wreszcie o złotych słowach Skargi: «Chrześcijański żołnierz nie ma się z tego weselić, iż się ludzka krew rozlała — i owszem nad oną nędzą pobitych płakać mu przystoi»....

Porażka Turków w owym dniu była okropna. Nieprzygotowani do walki z ciężką jazdą pancerną, zewsząd ciosom odsłonieni, ginęli jak zwierzęta wzięte obławą. Im z większym zapałem rzucali się na naszych, tem gęściej trupy ich zaścielały ziemię.

Naszych było tylko do ośmiuset — ale to była potworna machina o ośmiuset nożach, które bez wytchnienia ludzkie mięso krajały.

Chodkiewicz w boju nie żartował. Serce miał czułe, ale tylko dla swoich. Gdy szło o całość Rzeczypospolitej, gotów był całą resztę świata wymordować bez miłosierdzia.

Mimo wszystko, niepewność ostatecznego wyniku walki przeciągała się nad miarę...

Nagle, wśród rycerstwa i czeladzi, przyglądających się walce z okopów, podniósł się krzyk. Krzyk był potężny — można było sądzić, że obwieszcza porażkę naszego rycerstwa.

Ale powodem było co innego: widzowie dostrzegli, że kotłownia wojenna przesunęła się cokolwiek w stronę obozu tureckiego. Przesunięcie się było nieznaczne — jednak doświad-

czone oko patrzących od razu je zauważyło — od razu oceniło jego doniosłość.

Za tem pierwszem, szybkiem drgnięciem, nastąpiło niebawem, drugie — dłuższe i silniejsze. Przy poprzedniem można było obawiać się, że fala wróci napowrót do swej kotliny — że może nawet kolebnie się w stronę przeciwną, jak człowiek, co się tacza raz w prawo, raz w lewo. Przy następnem, już ta obawa znikła.

Teraz już ta cała plątanina błyszczących pancerzy i barwnych kaftanów posuwała się w jedną stronę. A posuwanie się szło ze wzrastającym co minuta pośpiechem.

Wir kręcił się z piekielną zawrotnością. Ale teraz nie kotłowało się w nim już bez braku wszystko. Potężna, odśrodkowa siła wyrzucała zeń teraz wschodnią pstrociznę, coraz bardziej oczyszczając środek, który stawał się jednolitą masą polskiej, opancerzonej husaryi.

Wielka szablica hetmana błyszczała nieustannie — biały płat chorągwi naprzemian: zniżał się i podnosił, niknął i znów na wierzch wypływał. Tak dzieje się z białą ćmą, topolówką, gdy wpadłszy w mrowisko, walczy z nawałą czarnego robactwa.

Znikanie tej jasnej plamy były to krótsze, to dłuższe. Jedno przeciągnęło się bardzo długo.

Na wałach już nie rozlegały się dwuznaczne

okrzyki. Grzmiał tam teraz jeden ogromny krzyk tryumfu.

Chodkiewicz przeparł i rozerwał łańcuch tureckiego mrowia. Pędził je teraz przed sobą, bijąc a bijąc...

Już też na ten widok nie mogły wytrzymać chorągwie zapaśne. Wszystko, co stało na wałach i po bokach, pospołu z kozactwem i pacholikami, rzuciło się, nie czekając rozkazu, za pierzchającym nieprzyjacielem.

Było to mniej rycerskie znęcanie się nad pokonanym — ale okrutnego rozjuszenia nikt już nie był w stanie pohamować.

«Okryły się pola i dąbrowy gęstym pogańskim trupem»...

Hufcom naszym dopiero las z ukrytymi w nim janczarami oraz ciemność zapadającej szybko nocy zaporą się stały.

Powrót Chodkiewicza do obozu był pochodem tryumfalnym.

Gdy noc zupełna zapadła, pobojowisko zaroiło się tysiącami świateł ruchomych — niby chmurą świętojańskich robaczków.

To Turcy, z pochodniami i świecami, szukali ciał wodzów swych, braci, przyjaciół...

Około północy, w obozie tureckim stała się cisza, jak na cmentarzu. Osman odprawił wszystkich — nawet najzaufańszemu powiernikowi i doradcy czarnemu rzezańcowi Sulejmanowi,

który był *kizlar-agą* czyli «strażnikiem wrót szczęśliwości» wyjść z namiotu swego rozkazał.

Wielki Padyszach, słońce słońc, niemający równego sobie na ziemi i we wszystkich okręgach raju, zażądał być sam.

Gdy za ostatnim jego sługą zasłona jedwabna zapadła, krwiożerczy młokos rzucił się na stos kobierców, twarz wtulił w drogocenne tkaniny. Leżał tak przez chwilę bez ruchu, bez głosu — nagle, dusząc się od stłumionych jęków, zaczął rwać na sobie odzież, kąsać do krwi ręce i ryczeć głucho, jak zwierzę dobijane.

Trwało to długo — wreszcie wściekły a bezsilny ból znalazł dla siebie ujście: Padyszach rozbeczał się w głos, jak dzieciuch osmagany...

O tymże czasie w namiocie Chodkiewicza była również cisza; na posłaniu z futer, przy bladem świetle lampki, spoczywał starzec również samotny.

Już blaski, które przed kilku godzinami odmłodziły i w nimbus wielkości ubrały jego oblicze — pogasły. Hetman leżał wsparty na ręce, złamany, bezsilny — twarz jego była wykrzywiona bólem i smutkiem — oczy miały taki wyraz jakby patrzyły w grób otwarty...

— Nic mi po wszystkiem — jęczał — kiedy chorągiew moja w rękach pogańskich. Odleciało odemnie czarne skrzydło moje, i mnie za niem w ciemność iść trzeba...

Rozpacz gościła w namiocie zwyciężonego; rozpacz siedziała u wezgłowia zwycięzcy.

...To również wojna!

IX.

Do namiotu, gdzie siedział zafrasowany Dąbek, wszedł rotmistrz «jazdy brukowej» imćpan Kacper Gomulicki.

Wszedł śmiało, zamaszyście, bez zwiastowań się i szumnych powitań, jak przyjaciel do przyjaciela.

Był nieduży wzrostem, czupurny, z twarzą śmiejącą się z niewielkiemi, przebiegłemi oczyma.

— Mości dowódco — rzekł wesoło — jeśli masz uszy do słuchania, a miód grzeczny do picia, tedy nadstaw jedno i drugie, otom bowiem przyszedł z gębą, nagotowioną do picia i gadania. Pożyczyłem jej na urząd od stryjca swego, który, wiesz jako jest *dicendi et bibendi peritus.*

Pan rotmistrz pił tu do swego krewniaka, który w palestrze chełmińskiej cieszył się dużym rozgłosem, zarówno w zakresie jurysprudencyi, jak osuszania szkieł wszelakich. Wszyscy Gomuliccy wiedli się z Chełmna. Tak zaś się już od wielu pokoleń składało, że zawsze jedna ich linia poświęcała się palestrze, druga szła

w służbę Kościoła, trzecia próbowała szczęścia w handlu, a przy dobrej okazyi i w wojence.

Imćpan Kasper należał do trzeciej.

W kupiectwie wadziło mu usposobienie marsowe; na wojnie mało pomagała żyłka i zdolność kupiecka. Jednak zdarzały się okazye, gdy można było pofolgować jednej i drugiej namiętności.

Krzyś w milczeniu przyjął swego rotmistrza. Był srodze zgnębiony ostatniemi przejściami. Chciał szukać oszołomienia w bitwie, w starciu orężnem — tymczasem to wszystko stale go omijało.

Może tak wypadło z planów wojennych, może to był wynik ukrytej niechęci lub braku zaufania Wejera, dość, że «jazda brukowa» dotąd służyła wyłącznie do «osłaniania» innych, sama w boju otwartym nie stawając.

W ostatniej rozprawie dużo dokazywała Wejerowska piechota, ukryta w fosach i prażąca nieprzyjaciela ogniem siarczystym prawie na długość lufy muszkietowej — jeźdźcom pozwolono tylko z daleka pukać do uchodzących z pola Turków.

Wszystko to drażniło Krzysia — który widział przytem wymykającą mu się nieustannie z rąk, a upragnioną sposobność odznaczenia się.

— Źle nam się wiedzie, mości Kacprze!... — westchnął w odpowiedzi na przywitanie.

— Właśnie tak uczynić zamierzam, iżby wiodło się lepiej!

— Chybabyś fortelem jakowym dopomógł fortunie...

— Zgadłeś, mości Dąbku.

— Fortel byłby najtrefniejszy, gdyby wiódł do łaski hetmańskiej.

Gomulicki mrugnął znacząco. Mrugnięcie mówiło:

— Toć myślę nie o innym!...

Głośno powiedział:

— Mam ci rzec, mości dowódco, to i owo. Ale ta sprawa osobności i cichości wymaga.

Luzakowi, który ustawiał miód i kubki, kazano wyjść z namiotu. Przyjaciele przysunęli się do siebie — zawiązali szeptaną, ożywioną rozmowę. Z twarzy Dąbka schodziło stopniowo zafrasowanie — pozostała jednak zaduma i niepokoju sporo.

— Na wielkie dzieło ważymy się... — westchnął po skończonej rozmowie.

— Bośmy duchem nie pigmeje! — dokończył raźno tamten.

— I na wielkie niebezpieczeństwo...

— Ono nam nie nowina.

— Tak czy owak: niech się stanie!

— Amen.

Podali sobie ręce.

Wynik rozmowy był ten, że Dąbek udał się

do Wejera z prośbą o zastępstwo na dwa, trzy dni. Ważne sprawy wojenno-polityczne zmuszały go wydalić się na ten czas z obozu. W drodze miał mu towarzyszyć rotmistrz.

Tegoż dnia nad wieczorem straże nasze wypuściły z obozu, za kartą wojewody Chełmińskiego, dwóch obdartusów. Byli to widocznie Mołdawianie, którzy cudem unieśli życie z rzezi niedzielnej. Odzież ich była w strzępach; twarze mieli krwią i błotem obryzgane.

Jeden obdartus ukrywał pod łachmanami gruby trzos pełen czerwieńców; drugi — sznury bursztynów nadzwyczajnej ceny. Za bursztynami bogacze wschodni przepadali, płacąc za nie często sumy bajeczne.

Żaden z idących nie miał ani śladu broni. Podpierali się obaj podkutymi łokciami.

Mołdawianie, po opuszczeniu ostatnich polskich pozycyi, jęli przemykać się chyłkiem, zaroślami i przesmykami skalnymi, wprost ku obozowi tureckiemu. Gdy już dostrzegli pierwsze straże nieprzyjacielskie, zaczęli dawać im znaki, mówiące wyraźnie:

— Uciekliśmy od psów Polaków. Do was przystać pragniemy, wierni słudzy Proroka!...

Niebawem znaleźli się wśród Turków. Wodzono ich tam od Anasza do Kaifasza. Byli u wielkiego i u średniego wezyra, oraz u «defterdara» czyli podskarbiego. Ostatni przyjął od

nich z kocim uśmiechem garść złota, ofiarowaną sobie na stronie, potem na prośbę pana Kacpra, który umiał coś nie coś po turecku, kazał zaprowadzić ich do jednego z baszów tatarskich.

Tego baszę znał rotmistrz, miewając z nim kiedyś sprawy kupieckie. Wiedział też o nim, że gorąco miłuje swego hana oraz padyszacha, ale goręcej jeszcze: złoto i klejnoty.

We dwa dni później, również przed wieczorem, straże nasze pochwyciły trzech Turków, wałęsających się w blizkości okopów.

Hetman przykazał był raz na zawsze, żeby wszystkich tego rodzaju brańców przyprowadzano wprost do niego. I z tymi tak uczyniono.

Wiedzeni przez obóz, z pętami na rękach, byli przedmiotem urągań i naigrawań żołdactwa. Wyśmiewano ich, obrzucano obelgami, poszturkiwano nawet — oni to wszystko znosili obojętnie, z głębokim, prawdziwie wschodnim spokojem.

Jakby gęste, czarne brody oraz turbany na sam nos zwieszone niedość jeszcze twarze im osłaniały, trzymali głowy tak nizko, że ledwie końce ich nosów dostrzedz było można.

W namiocie hetmana wielkiego przed chwilą właśnie skończyła się narada. Sprawy wojenne przybierały obrót coraz pomyślniejszy — na nieszczęście, wojsko goniło ostatkiem amunicyi. Z żywnością dawano sobie radę jako tako, sil-

nie co prawda pasków ściągając — gorzej było z paszą dla koni — największy wszakże niedostatek pokarmu cierpiały rusznice, muszkiety, samopały oraz działa i działka. Ostatnim groziła po prostu: śmierć głodowa.

Więc zaczęto przebąkiwać o rozejmie...

Chodkiewicza to wszystko przytłaczało. Siedział na stołku polowym schorzały, przygarbiony, chmurny.

Wprowadzonych jeńców przeszył spojrzeniem ostrem, złem.

— Szpiegi?... — mruknął gniewnie.

Słudze swemu kazał przywołać tłómacza.

Na chwilę pozostał sam na sam z jeńcami. Wówczas jeden z nich szybkim ruchem podniósł zwieszoną dotąd głowę, i rzekł czystą polszczyzną:

— Nic tu po tłómaczu, jaśnie wielmożny hetmanie.

Chodkiewicz poruszył się żywo na stołku.

— Polak? — zapytał. — Poturczeniec może? renegat?...

— Dobry Polak, dobry sługa Rzeczypospolitej, a nie gorszy i pana hetmana.

— Któż waść taki?

Jeniec pokazał oczyma, ze znaczącym wyrazem twarzy, swe ręce związane.

Hetman zrozumiał. Podniósł się, z ciężkością

niejaką ze stołka, dobył noża ostrego — jednem pociągnięciem pęta przeciął.

W mgnieniu oka turban jeńca i jego przyprawiona broda, silnie uwolnioną ręką szarpnięte, znalazły się na ziemi.

Przed Chodkiewiczem stanął Krzysztof Dąbek.

Hetman nie mógł powstrzymać się od śmiechu, który jednak po smutnej jego twarzy jak błyskawica przemknął i zaraz zagasł.

— A ówże? — spytał Chodkiewicz, wskazując drugiego jeńca.

— Przedstawi się sam, byle go rozpętano.

Drugi turban i druga broda na ziemię spadły — ukazał się w swej własnej personie: pan Kacper Gomulicki.

Rozbawiony hetman przystąpił już teraz bez pytań do trzeciego jeńca — za czarną brodę silnie go szarpnął.

Ale broda nie odpadła — jeniec zaś zabełkotał coś gniewnie po turecku.

Hetman odskoczył.

— Ho, ho! — zawołał — to widzę, brodofijasz prawdziwy! i prawdziwa pogańska gadzina!... Cóż on czyni przy waszmościach i skąd te wszystkie maszkary?

Dąbek chciał odpowiedzieć — ale w tej chwili wszedł przywołany tłómacz. Zamilkł przeto i oczyma dał poznać hetmanowi, że tu świadkowie niepotrzebni.

Chodkiewicz gestem odprawił przybysza — sługom też swym kazał wyjść z namiotu.

Dąbek wówczas zaczął:

— Wiadomo waszej miłości, że i ja i jegomość pan Kacper, jestechmy obaj ludzie kupieccy. Rybę ciągnie zawżdy do wody, wilka do lasu, a kupca do handlu. Więceśmy oto umyślili do Turków się wyprawić po bławaty...

— No, no... — dziwił się hetman, nie zgadując jeszcze sprawy, ale domyślając się, że posiada głębsze znaczenie.

— Bóg nam poszczęścił — ciągnął Krzyś. — Kupiliśmy adamaszku przedniego...

— Białego... — wtrącił pan Kacper.

— Który siła nas kosztował, a przecie wart stokroć więcej... Wytrzącheliśmy trzosy swoje do cna, jeszcześmy dłużni zostali.

Chodkiewicz wzruszał ramionami, jakby chciał powiedzieć: — Cóż za firki prawicie mi waszmoście!...

W tej chwili Dąbek porozumiał się oczami ze swym rotmistrzem, wysunął na środek — hetmanowi do kolan się skłonił.

— Wszystko się to *pro bono* waszej miłości czyniło...

Chodkiewicz oczy rozszerzył pytająco.

— Myśleliśmy sobie, że się ów adamaszek jaśnie wielmożnemu hetmanowi przygodzi...

— Na co?

— Na chorągiew.

Czoło Chodkiewicza zmarszczyło się w setne fałdy. Urażono go w miejsce najbardziej bolące.

W pierwszej chwili nic nie odrzekł — machnął tylko ręką. Potem wyjąkał z przykrością wyraźną.

— Nowe znaki dla nowych ludzi. Jam już stary!

— I nasz adamaszek nie młodziutki — wtrącił nieśmiało pan Kacper.

Już to nudziło Chodkiewicza. Wstał — chodzić zaczął — chodząc, rzucił prędko:

— Co za adamaszek? Gdzież on?

Krzyś czekał tylko na to pytanie. Szybkim ruchem rozpiął swój kaftan turecki...

— A ot, tutaj jaśnie wielmożny hetmanie! — zawołał z powstrzymywanym wybuchem radości, na pierś pokazując.

Był cały opasany białą materyą.

Niecierpliwość go paliła — nie mógł już dłużej wytrzymać. Nie prosząc o pozwolenie, ani na nie czekając, kaftan zrzucił, materyę odwinął — obiema rękami ujął ją i przed Chodkiewiczem rozpostarł.

Hetman spojrzał — dłońmi oczy zakrył...

Przed nim, na białem tle, tu i owdzie kulami podziurawionem, ulatywało czarne skrzydło orle z rozczapierzoną łapą.

Jego herb! — jego chorągiew!

Starzec odjął dłonie; raz jeszcze rzucił na adamaszek długie, bystre spojrzenie, jakby dla upewnienia się, że nie marzy — potem wyrwał chorągiew z rąk Krzysia, i jak ze zdobyczą uciekł z nią w przeciwny kąt namiotu.

Tam, do piersi i do twarzy ją przycisnął, gorącymi pocałunkami okrywać zaczął. Przemawiał do niej czule, pieszczotliwie, jak do żony, do dziecka. Czynił jej wymówki, to znów przepraszał, uciszał, błogosławił. Chwilami tłumione łkania piersią jego wstrząsały.

Obecni wyszli mu zupełnie z głowy. Długa chwila upłynęła, zanim ich sobie przypomniał.

Obrócił się żwawo do stojących.

— Mówcie: skąd? jakim cudem? — niecierpliwie spytał, chorągiew za siebie chowając, jakby w obawie, by mu jej nie odebrano.

— Cudu w tem nijakiego — odrzekł Krzyś spokojnie. — Jako ludzie kupieccy, dostaliśmy onej materyi za pieniądze.

— Nie bez fortelu wszelako... — wtrącił pan Kacper.

— Han tatarski nam pomógł — ciągnął tamten.

Rotmistrz dorzucił:

— A wżdy i przy nim łbówbyśmy pozbyli, gdyby nie łaska Pana Boga...

Hetman słuchał pilnie. Nagle wskazał oczami Turka.

— A ówże poganin?

— Przyszedł po resztę okupu. Gardziele tatarskie, a paszczęki tureckie nienasycone. Wszystko, cośmy im zanieśli, pożarły i jeszcze głodne.

— Tatar wziął od nas przysięgę, poufnika swego dał za towarzysza i egzekutora.

— Siła jeszcze żąda? — spytał Chodkiewicz.

— Siła...

Chmura przeszła po obliczu hetmańskiem.

— Skarb tak jak pusty... — szepnął z zakłopotaniem. — W moim sepecie mało wiele na podzwonne ledwie starczy...

Krzyś ujął go za kolana — nie jak kmieć szlachcica, lecz jak syn ojca.

— Nasz to frasunek, jaśnie wielmożny hetmanie. Poganinowi skrypt się da do Warszawy lub Gdańska. Będzie zapłacony. Uładzi się wszystko i niczego nie poskąpi, byle to było z ukontentowaniem pana hetmańskiem.

Chodkiewicz, nic nie mówiąc, ramiona rozłożył, przygarnął do siebie Dąbka — serdecznie uściskał go i ucałował.

Potem uczynił toż samo z Gomulickim.

— A! — wyrzekł nagle, przypominając sobie. — Mam ja w dobrej pamięci naszą rozmowę tam, przy szańcu Wejerowym. Rzekłem natenczas waszmości, panie Dąbku, słowa wielkiego króla: *ego te faciam* «mościpanie». Słowa

lecą, a wżdy moment przyszedł, żeby zatrzymane były i dotrzymane.

Krzysiowi oczy gorzały, jak pochodnie, gdy przemowy tej słuchał.

— *Ergo* — dokończył hetman — dziś jeszcze napiszę i pieczęcią swą utwierdzę przedstawienie do sejmu, żeby waszmości klejnot rodzinny powrócił, do ksiąg naszej sławnej, polskiej szlachty, z którą żadna inna w paragon iść nie może, nazwisko twoje wpisał.

Krzyś runął jak długi do stóp Chodkiewicza. Bełkotał niewyraźnie słowa oderwane, które miały być podziękowaniem, a wśród których, w sposób niepojęty, powtórzyło się kilkakrotnie imię: «Hanusia»...

Podniósł go hetman i oprzytomnił — zalecając większą moc nad sercem i myślami tajemnymi.

Potem zwrócił się do pana Kacpra.

— A waszmości jakże mam wynagrodzić?

— Jużem nagrodzon — odrzekł, prostując się, rotmistrz.

— Czem?

— Hetmana wielkiego uściskiem.

Zajęto się wreszcie Turkiem, który stał na uboczu, zapomniany chwilowo przez wszystkich. Rozwiązano mu pęta, pozwolono usiąść na rozpostartym kobiercu — poczem Dąbek wręczył

mu skrypt na znaczną sumę do swego gdańskiego legiera.

Skrypt, dla większej wagi, podpisał i pieczęcią hetmańską opatrzył sam Chodkiewicz. Należało to do warunków umowy.

Turkowi przygotowano nocleg w obozie, nazajutrz zaś, przebrany po polsku, zaopatrzony w konia, pachołka jezdnego i list przepustny, miał wyruszyć na Warszawę do Gdańska.

Krzyś raczej wyfrunął, niż wyszedł z namiotu hetmańskiego. Z serca ustąpił mu od razu wszelki ucisk. Czuł się lekkim, podrygiwał, podśpiewywał, uśmiechał się do wszystkich. Gdyby spotkał Osmana we własnej, krwawej osobie, kto wie czy nie rzuciłby się mu w objęcia.

— Mości Dąbku! — upomniał go pan Kacper — nie szafuj nazbyt wesołością, bo ci jej na wesele nie starczy.

— Na wesele?... a z kimżeby? — zapytał Krzyś, nadzwyczajnie zdziwiony.

Myśl wydała mu się tak nową i niesłychaną, że aż przystanął, żeby się nad nią zastanowić.

Wynik zastanowienia był dziwny. Młodzieniec, któremu już od wielu miesięcy i lat posępna troska nie schodziła z oblicza, roześmiał się nagle głośno, szeroko, «od ucha do ucha», i chwyciwszy rotmistrza swego wpół, okręcił się z nim, jak w tańcu...

Tymczasem Chodkiewicz, sam na sam z cho-

rągwią, wpatrzony w herb swój, jak w tęczę, śmiejący się i płaczący jednocześnie, mówił z wzniesionemi w górę ramionami:

— Patronowie moi niebiescy: Zosieńko najmilsza! i ty ukochany Hieronimku! Wyście to, razem ze znakiem mym, zdrowie mi powrócili. Za waszem przyczynieniem, żyw jestem i żyw będę, póki sprawa szczęśliwego końca nie weźmie. A gdy już wiktoryę chocimską własnemi, choć gasnącemi zobaczę oczami, do was, Zosieńko i Hieronimku, spokojnie odejdę. I nic już nas wówczas nie rozłączy *in secula, seculorum, amen!*

X.

Dwoista krew płynęła w żyłach Krzysia Dąbka; dwoista natura budziła w nim naprzemian to mieszczanina, to szlachcica. Z matki wziął wiele, może najwięcej, ale i po ojcu sporo odziedziczył.

Gdy już pierwsze upojenie radości minęło, gdy młodzian wszedł w siebie i czyn swój krytycznie osądził, uczuł coś nakształt zawstydzenia.

— To było dzieło kupieckie, najzupełniej kupieckie... — mówił do siebie w zamyśleniu. — Dostać tryumfu za czerwieńce lada kramarz

potrafi. Nie tym szlakiem chadzali ongi Dąbkowie....

Potem przyszła uwaga:

— Prawda, że się i głowy nadstawiało. Był moment, że szyja tylko co nie spotkała się z pętlicą lub jataganem...

Krzyś jedno z drugiem zestawił, ważył — wreszcie osądził ostatecznie:

— Zawżdy nie było to całkiem po rycersku i po szlachecku. Naprawić to trzeba. Co Dąbek-mieszczanin zaczął, Dąbek-szlachcic niech kończy...

Zaraz potem oświadczył panu Kacprowi, że postanowił *more antiquo* szlachectwo swe «oblać».

— Petercymentem czy małmazyą? — spytał ów.

— Juchą pogańską.

Skrzywił się rotmistrz na taki specyał — ramiona ścisnął.

— Niech ją sobie psi chłepcą!... — mruknął niechętnie, i odszedł, o więcej nie dopytując.

Ale Dąbek stał mocno przy swojem i niecierpliwiej jeszcze, niż dotąd, «okazyi» wyglądał.

Długo ona czekać na siebie kazała.

W ostatnich dniach obie strony ogarnęła dziwna ciężkość. Porywali się jedni i drudzy do boju, z wielkim na pozór rozmachem, do sprawy jednak nader rzadko przychodziło.

Zdarzyło się raz, że obie armie w pełnym

szyku do zachodu słońca stały naprzeciw siebie, mierząc się wzajem oczyma. Wyzywające miny jednej strony mówiły:

— Zacznij, dostaniesz!...

Strona druga odpowiadała:

— Spróbuj, popamiętasz!...

Poczem ci i tamci wrócili do swych obozów, żeby spać się układać spokojnie.

Kiedyindziej, uchwalono w obozie naszym wielką, nocną wyprawę. Dwadzieścia tysięcy Zaporożców, hetman wielki i polny ze swemi rotami, oddziały Wejerowskie, najemna piechota Lermunta (Szkota, protoplasty poety Lermontowa), Węgry i co tylko było u naszych dobrańszego — mieli runąć niespodzianie na śpiących Turków i albo ostatecznie ich zgnębić albo zadać nieprzygotowanym ciężką porażkę. O północy zatrąbiono przez mundsztuk pobudkę. Zaczęli piesi chwytać za broń, jeźdźcy dosiadać koni, wysłańcy rozbiegli się z rozkazami, wojsko stanęło gotowe do wyruszenia... Nagle puścił się deszcz ulewny i wszystkiemu przeszkodził.

Kiedyindziej jeszcze, był dzień taki, że Jan hrabia z Ostroroga w dyaryuszu swym to tylko umiał o nim napisać: «Po tak ciężkich razach wydychali sobie Turcy».

Aż wreszcie przyszedł piętnasty września. Tego dnia potęga Rzeczypospolitej miała być

ostatecznie złamana, Chodkiewicz pohańbiony, wojsko polskie wycięte w pień albo w jasyr zabrane. Upewnił o tem sułtana nowy jego wódz Karakasz-basza, posiadający u Turków sławę pierwszego w sztuce wojennej mistrza.

Stało się pod wszystkimi względami inaczej — pomimo, że ten Karakasz był naprawdę wódz dzielny i lepszego losu godzien. Fatalnemi okazały się dlań dwie okoliczności: geniusz Chodkiewicza i podstęp jednego ze współzawodników. Nie przyniosła mu też szczęścia biała maść jego koni: przywiózł go na plac boju jeden biały koń — sześć koni białych wywozić go musiało z powrotem...

O wczesnym ranku rozlegały się tu i owdzie, od strony Turków, wystrzały. Ponieważ to było zwykłe «dzień dobry» przesyłane sobie nawzajem przez obozy, niewiele na tę pukaninę zważano.

Zwłaszcza wśród pułków Wejera, który się był mocno okopał (głównie od czoła), poczynano sobie ze swobodą i wygodą, zgoła nie wojenną. Węgrzy grali w karty i kłócili się, nasi wyrzucali kości, mieniali się na oręż, pisali na bębnach listy; piechota niemiecka, na wznak wyciągnąwszy się, przegryzała «szpek» i wygrzewała brzuchy przy resztkach słońca jesiennego.

Jeden Dąbek nie dzielił ogólnej ufności. Nocą miał sny niespokojne; obudził się z przeczuciem

ważnych wydarzeń. Odśpiewawszy z oddziałkiem swym pieśni nabożne, przykazał «krawcom», żeby mniej o igłach i niciach a więcej pamiętali o koniach i rynsztunku.

Nie omylił się...

Kucharze obozowi zabierali się właśnie do warzenia południowej strawy, którą wszyscy spodziewali się spożyć w zupełnym spokoju, gdy nagle — zagrały armaty tureckie.

Zagrały hucznym, pełnym akordem, osypując kulami bramę Lubomirskiego.

Krzyś z namiotu wyskoczył — nadstawił uszu, jak koń wojskowy na głos trąbki. Żadna muzyka nie wydałaby mu się tak piękną, jak ten huk ogłuszający. Krzyknął na swoich, żeby byli gotowi; sam opatrzył starannie szablę i pistolety.

Huk nie ustawał do samego południa; pociski wszakże mało szkody zrządzały. Myślano powszechnie, że na tem się skończy.

Naprzeciw lewego skrzydła polskiego obozu czerniły się ciemnym, dość gęstym jeszcze liściem, laski dębowe. Do tych lasków wjechały liczne oddziały jazdy tureckiej. Wśród naszych zbudziło to wesołość powszechną. Jeźdźcy w leśnej gęstwinie — czy może być coś śmieszniejszego!

— Chyba te wieprze na żołędzie!... — zaśmiał się ktoś.

Inni również się śmieli.

Nagle śmiech ucichł.

Z wnętrza lasu, napełnionego turecką jazdą, wyskoczyło nieprzejrzane mnóstwo — tureckiej piechoty. Spahowie i janczarowie, cudownym niemal sposobem, zmienili się tam w pieszego żołnierza.

Z ogromnym krzykiem, cała ta masa — którą niektórzy na kilkadziesiąt tysięcy obliczają — rzuciła się na szańce Wejerowskie. Rzuciła się nie wprost, gdzie szańce były mocne, lecz z ukosa — na punkt, który stanowił największą ich słabiznę, ogołoconą w tej chwili całkowicie z wojska.

Tę słabiznę odkrył Karakàszowi zdrajca Węgier — i on też teraz Turków na nią powiódł.

Niebezpieczeństwo było nagłe i wielkie.

Zatrąbiono szalone «larmo».

Piechota niemiecka odskoczyła od kotłów z jedzeniem — bo właśnie obiadowano — i z powtykanemi za pas łyżkami pośpieszyła do szeregu.

Taką kupę niesforną nietrudno było przemódz. Dokazali tego Turcy, i krew obficie się polała. Nasi w zamieszaniu nie mogli ani szyku bojowego sformować, ani przyjąć pozycyi obronnej. Najemny żołnierz zaczął już tył podawać...

Trwoga na obóz cały padła.

Chodkiewicz z rotami swemi stał przy bra-

mie hetmana polnego, która pierwszy impet wroga szczęśliwie wytrzymała. Nieopodal sformowały się chorągwie konne królewicza Władysława «dla ostatniego, strzeż Boże, posiłku». Tymczasem Lubomirski tam i sam biegając, głosem prawie rozpaczliwym krzyczał:

— Prze Boga żywego! Kto z waszmościów na ochotnika?

Wówczas Dąbek zrozumiał, że jego chwila nadeszła.

Spojrzał na swych «krawców» i «kantyczników» — wszystkim oczy świeciły się drapieżnie. Skinął — wszyscy wrzasnęli: «Jezus, Marya!» i skoczyli, jak rysie, na Turka.

Pomknęły też z wałów chorągwie zapaśne. Pancerni i rajtarya z wielkim hukiem zwalili się na dokazujące pogaństwo.

Jazda brukowa wyprzedzała wszystkich. Krzysia i jego towarzystwo coś niosło, jak na skrzydłach. Żołnierz wypoczęty, konie dobrze odkarmione, wreszcie dokuczający całemu oddziałowi głód sławy i wzruszeń bitewnych — cuda sprawiały.

Krzyś miał tego dnia poczucie wielkiej, wewnętrznej mocy. Była to moc ducha, która tworzy bohaterów. Ta moc czyniła go niezwyciężonym. Gdzie konia zwrócił, drogę miał otwartą; gdzie szablę wzniósł — wszystko pierzchało.

Nie odbierał ciosów, ani postrzałów. Czuł się

nietykalnym. Czy sam zabijał lub ranił — zgoła nie wiedział. Poruszał wargami, odmawiając modlitwę, którą umiał na pamięć i która mu nieświadomie przychodziła na usta. Niewidzialne skrzydła wciąż niosły go naprzód — przed nim wciąż się cofano.

Wyparowani z szańców Turcy rzucili się do ucieczki. Uciekali w stronę dąbrowy, gdzie stały ich konie. Krzyś jechał na ich karkach dopóki mu drzewa drogi nie zagrodziły.

W gąszcze rzucili się tylko piesi Niemcy i Węgrzy. Jeźdźnym kazano las okrążyć, z przeciwnej strony na wroga czekać.

I tu Krzyś z jazdą swą znalazł się pierwszy.

Niebawem wróg wynurzył się z gęstwiny. Janczarowie, dosiadłszy koni, stali się o wiele śmielsi. Nie uciekali już — rozwinąwszy się w półksiężyc, odważnie czekali natarcia.

Natarcie nastąpiło nie tyle gwałtowne, co zawzięte i wytrwałe — prawdziwie mieszczańskie. Już tu nie pierzchano przed samym błyskiem szabel, przed parskaniem nozdrzy końskich. Pierś o pierś uderzyła; miecz o miecz zadzwonił.

Krzyś dojrzał, że niektórzy z jego rajtarów chwieją się na siodłach — ba, wysadzeni z nich na ziemię spadają. Poczuł mdlące wyziewy krwi i dymu prochowego. W zamęcie walki uderzono go kilkakrotnie: raz z tyłu w plecy, drugi raz

z boku w ramię. Uderzenia wydały mu się lekkie i wcale nie boleśne.

Wkrótce otoczył go chaos. Walczył z wirem potężnym, który chciał go unieść i zatopić. Przed oczyma migały mu złociste kaftany janczarów i «misiurki» towarzyszów; szable proste, wygięte i do sierpów podobne; wybuchy ognia, wytryski dymu i mgła, to niebieska, to czerwona...

Myślał o jednem tylko: osłaniać piersi i głowę — i przeć naprzód. Udawało mu się i to i tamto. Szabli używał głównie do odpierania ciosów. Całą siłę skupiał we wzroku. Walczył duchem — jak Joanna z Arc, której historyę czytał po wielekroć z zachwytem.

«Taniec wojenny» szedł tak żwawo, że uwaga Krzysia nie mogła za jego obrotami wydążyć. Ogół niknął mu z oczu; natomiast z nadzwyczajną wyrazistością występowały szczegóły. Nie wiedział dokładnie na czyją stronę przeważa się zwycięstwo, ani czyje roty i skąd pomagają mu w utarczce — dostrzegał jednak otworek każdej lufy, choćby zdala nań wymierzonej, każde ostrze jatagana, grożące mu żądłowem ukłóciem, każde drgnięcie ręki nieprzyjacielskiej, zamierzającej dopiero cios mu zadać....

Cokolwiekbądź, sunął wciąż naprzód, i to go czyniło spokojnym.

Nagle napotkał zaporę.

Czyjeś ramię, szablą krzywą wymachujące, zagrodziło mu drogę jakby belką stalową; czyjś koń tak mocno wbił się kopytami w ziemię, że zepchnąć go nie było sposobu — czyjeś oczy rzuciły nań urok ubezwładniający.

Uroku zląkł się najbardziej.

Chciał go zmódz siłą własnego wzroku — wzrok wypowiedział mu posłuszeństwo. Chciał go odżegnać modlitwą — modlitwa uleciała z pamięci.

— Jezus, Marya! — krzyknął i po raz pierwszy od początku bitwy powierzył losy swe sile ręki i miecza.

Zbudził się w nim instynkt zachowawczy. Zrozumiał, że jeśli nie chce być zabitym, musi sam bić i zabijać.

Puścił zatem szablę w ruch — a siłę i zręczność miał nadzwyczajne.

I tamten wszakże okazał się graczem nielada.

Przeciwnik, walcząc, krzyczał coś po turecku. Może przeklinał — może modlił się. Więc i Krzyś gadać jął w głos: «Kto się w opiekę poda Panu swemu»...

Modlitwa pokrzepiła go. Z każdem jej słowem stawał się mocniejszy, śmielszy. Już mógł zmierzyć swe oczy z oczami wroga; już mógł nacierać nań nie tylko szablą, lecz i duchem.

Turek miał czarne, podłużne oczy na białej pięknej, prawie niewieściej twarzy. W tych oczach więcej było wschodniego rozmarzenia, niż wojennej wściekłości. Bogaty, złotem błyszczący ubiór wskazywał, że jest dostojnik. Twarz wyrażała gniewną dumę; usta były skrzywione pogardliwie, ze spokojną zaciętością.

Walczyli, jak wrośli w ziemię — na krok nie posuwając się, na krok nie ustępując. Główny war bitwy przeniósł się nieco dalej, z niejaką dla naszych korzyścią — oni zostali na uboczu. Nie bitwa to już była, lecz pojedynek.

Krzyś rozgrzewał się coraz bardziej. Już mu czad bitewny w mózgu kołował — już widział wszystko czerwono.

A Turkowi usta wykrzywiały się coraz pogardliwiej, coraz nieznośniej...

— Stąd wedla ciebie tysiąc głów polęże... — darł się Krzyś na cały głos, odbijając i zadając ciosy, które jednak dotąd zbytniej szkody nikomu nie zrządzały.

Nagle tamten zaśpiewał coś o swym Allahu — i pchnął ramię z taką siłą, że szabla przecięła kolet Krzysiowy i w ciało weszła głęboko.

Zaraz w tem miejscu wystąpiła plama krwawa.

Widok krwi rozjuszył Dąbka.

— Ciebie nie dosięże miecz nieuchronny!.. — ryknął wściekle, i potężnym ciosem wytrącił oręż przeciwnikowi.

Krzywa szabla ze świstem wyleciała w powietrze, gdzieś daleko upadła.

Turek sięgał po pistolet — Krzyś go uprzedził. Przechyliwszy się na siodle, chwycił go lewą garścią za pierś — roziskrzonym, pełnym ducha wzrokiem przeszył i obezwładnił.

Turek już nie próbował się bronić — nawet nie wydzierał się przeciwnikowi. Bladość przedśmiertna powlekła mu piękną twarz, ręce zwolniły cugli koniowi.

— *Kismet!*... — jęknął, przymykając czarne, gasnące oczy.

Pozostawało już tylko dokonać sprawy: przebić mu gardło lub serce, trupa rzucić żołdactwu do obdarcia.

Krzyś ścisnął krzepko głowicę miecza, zamachnął się...

W tej chwili we wnętrzu jego ducha coś wielkim głosem krzyknęło:

— Nie zabijaj!

Drgnął — ramię mu opadło — palce lewej ręki rozkurczyły się, puszczając kaftan janczara.

W milczeniu zrobił ruch, mówiący:

— Zmykaj!...

Turek nie czekał na wyjaśnienia. Przycupnął na siodle, położył się prawie na szyi swego bachmata — galopem kopnął się do swoich.

W tejże chwili Krzyś uczuł w piersiach i bokach ból nadzwyczajny i ucisk, który go pra-

wie tchu pozbawiał. Podciął wierzchowca, żeby się z kleszczów wyrwać — koń szarpnął się — on upadł na ziemię, tłukąc się boleśnie.

Pętlica grubego sznura ściskała mu żebra...

Brodaty Turek czy Tatar chwycił go na arkan i ciągnął po ziemi, jako zdobycz wojenną.

ZAKOŃCZENIE.

I.

Skąd to ożywienie i nastrój świąteczny Starej Warszawy? Dlaczego kamienica Baryczków, od trzech lat posępnie milcząca, przystroiła się nagle z wierzchu kwiatami i zielenią, a wewnątrz napełniła gwarem wesołym, jak ul na wiosnę? Co znaczy, że tłum mieszczan i szlachty do jej furty się ciśnie, do okien otwartych zagląda — całą ulicę przed domem zapchał falą hałaśliwą, pstrą, pełną najrozmaitszych, nigdy tu przedtem nie widywanych postaci?

Dwa są tego wszystkiego powody.

Najpierw, jest to rok 1624, w którym, według dokumentów współczesnych, «nadzwyczajny natłok ludów w rezydencyi Jego Królewskiej Mości przebywał, oraz przez nią tam i z powrotem przechodził».

Powtóre, Hanusia Drewnówna, córka nieboszczyka «Bogacza», za mąż wychodzi.

Już samo zamężcie najbogatszej z córek Starej i Nowej Warszawy zdolne było wprawić

w ruch mieszczańskie umysły, języki i nogi. Alboż wszyscy rodzice synów dojrzałych nie czuli od dawna oskomy na tę fortunę panieńską, niemającą równej sobie «w murach» i «za murami». Chodziła zaś przez pewien czas pogłoska niepokojąca, że panna mniszką chce zostać...

Z faktem małżeństwa świątobliwej panienki, łączy się inny, również niezwykły: mieszczka wychodzi za szlachcica. Od wielu lat zdarza się to po raz pierwszy.

Jest koniec września. Upływa okrągłe trzylecie od potrzeby chocimskiej. Pora wczesna - niema jeszcze dwóch godzin, jak surmacz na wieży zamkowej otrąbił poranek. Dzień chłodny, ale cichy i jasny.

Jeszcze właściwi goście weselni zjeżdżać się nie zaczęli. Przed sędziwą kamienicą Drewnów cisną się przeważnie ci, co «widowisko» oglądać będą z daleka. Wszyscy wstali dziś bardzo rano, bojąc się cośkolwiek z programu uronić, czegokolwiek niedopatrzeć lub niedosłuchać.

Podzielili się na grupy — rozmawiają na cały głos ze swobodą prawdziwie mazurską.

— Zawżdy to splendor!... — dowodzi stateczny mieszczanin w delii, siwym barankiem bramowanej.

— Wołu ani barana za niego nie kupi! — podrwiwa łyk w kusym giermaku.

— Mieszczaństwo urośnie...

— Ale schudnie!

Nieco dalej — kontusze wytarte, przy kontuszach szable.

— Nie dla szlachty rzecz takowa!

— Są szlachta i szlachta.

— Prawda. Tych Zboińskich takoż różne linie...

— «Burkownicy»... wiadomo!

— Klejnot dziś w pomietlech. Lada smerda weń się stroi.

— Bo i tak! Teraz osieł zowie się lampart, a koczkodon z małpą chcą równać lwowi...

I niewieście języczki pracują. Głównym przedmiotem ich zajęcia — oblubienica.

— Gołębiątko takie!... Anim myślała, że się to kiedyś obabi...

— Ba! cztery roki za nią chodzili a namawiali.

— Gadają co nieboszczyk pan ociec był jemu krzyw.

— I ociec, i stryjec.

— Który stryjec?

— Ano, pan Łukasz, wójt naszej kochanej Starej Warszawy.

Z koła wyrywa się na środek niewiastka nieduża, szczupła, z oczkami mrugającemi, z zagadkowym na wązkich wargach uśmiechem...

— Ja wiem cości jeszcze!... — cienkim gło-

sem wykrzykuje, i zaraz usta ściska, jakby postanowiła nic więcej nie mówić.

— Co wiecie, pani Raczkowa?... Nie tajcie, prze Boga żywego!

Mała kobietka udaje zawziętą, nie chce nic mówić — dopiero gdy tamte ciasnem kołem ją otoczyły, wybucha:

— Tam było wpierw miłowanie insze... Tam był jeden taki, co go niema...

Podnoszą się krzyki, nalegania, prośby.

— Kto taki? kto?... Zwierzcie mnie na ucho... nie powtórzę!... Nie jej, jeno mnie... pary z ust nie puszczę. Mnie! mnie! tocieście kuma moja...

Pani Raczkowa zbliża się do każdej z osobna i szepcze jej do ucha nazwisko.

Wszystkie mieszczki wykrzykują na cały głos: — Dąbek?!...

Podchodzi wysoki, pleczysty wąsacz, w łosiowym kaftanie, na którym znać rdzawe odciski koszulki żelaznej.

— Krzysztof Dąbek? Byłem z nim pod Chocimem. Zabit.

— O mój Boże!... I na śmierć?

— Jak mnie tu jejmoście widzicie żywego, takem ja widział jego głowę, uciętą i na turecką dzidę zatkniona.

— Jezus, Marya!

— Oczy były na wierzchu, wielkie jak pięście i wybałuszone... o, tak... (pokazuje). Gęba

jak u wilkołaka czarna i wykrzywiona... o, tak... (pokazuje). A krew chlustała z onej, jak woda z rynny.

Mieszczki rozbiegają się, krzycząc — pędzone zarówno przerażeniem, jak potrzebą wygadania się.

Jedna wpada na dwóch ludzi srodze wychudłych, owiniętych w czarne, fałdujące się opończe. Nie mieszają się ci ludzie z tłumem — coś jakby maskowana pokorą duma wyziera z ich twarzy, na uboczu ich trzyma. Są to *viri litterati*, męże nie tylko umiejący czytać i pisać, lecz nawet czytujący i pisujący.

— Słyszeliście waszmoście? Dąbek zabit.

— Pieter?

— Krzysztof. Hanusia Drewnówna onego miłowała!

— Od dawnam miarkował, że tak się stało. Na wojnę poszedł, z wojny nie wrócił, *ergo*: *mortuus est.*

— *Occisus...* — wtrącił drugi.

— Różne są umierania rodzaje, śmierć zawżdy jedna.

— Bogacz był. Któż po nim dziedziczy?

— Nie miał małżonki, *eo ipso* i dziatek. O siostrach nie słyszałem, rodzonego jednego ostawił. Więc nikt, jeno brat.

— Petrus Quercus?

— Ano tak. Jeno, że onego w kraju niema. Wywołaniec jest, banita.

Mieszczka poszła dalej roznosić nowinę — oni jeszcze o braciach Dąbkach gawędzą. Przyłączył się do nich trzeci — takiż sam chuderlawy *litteratus*.

Ten przynosi kilka nowych wieści.

Nobilitacya Krzysia Dąbka już do konstytucyi wpisana — z uwagą, że on sam przepadł. Z Pietra, jego brata, banicya zdjęta.

— Kto zdjął?

— Sam królewicz miłościwy, Władysław.

— Ten zawżdy Jezuitom w poprzek stawa.

— To i lepiej.

— Tsss... Oni tu węszą. Przecie małżeństwo Drewnówny ze Zboińszczakiem takoż ich sprawa.

— Mogą dziś wiela, a wżdy nie wszystko. Za cóż królewicz jegomość na poetę łaskaw?

— Za grzeczny *Panegiricus* na wiktoryę chocimską i na jego dostojną personę.

Do rozmowy wtrąca się przechodzący mimo bakalarz.

— O Dąbku waszmoście mówicie? Już on w dworku swoim, zdrów i cale bezpieczny. Wczora w oknie otwartem skandował Horatiusa Flaccusa *Ad Chloëm*, aż się po całej uliczce rozlegało. Broda urosła mu tęga i brzuch prawie senatorski...

Z kamienicy Drewnów wychodzi kilku lu-

dzi — zmierzają ku kościołowi ojców Jezuitów. Wszyscy się do nich cisną.

— Na którą ślub? — słychać zewsząd natarczywe pytania.

— Na jedenastą! — odpowiadają wyniośle, odsuwając tłoczących się, dumni ze znajomości tak ważnego faktu.

Do widowiska jeszcze kilka godzin. Ci i owi rozchodzą się do domów, do pracy — wytrwalsi nie ruszają się z miejsca.

II.

W tym samym czasie, gdy w domu Drewnów czyniono przygotowania do ślubu i wesela, a biedniejsi mieszczankowie pożądliwem śledzili je okiem — drogą do Warszawy wlókł się srodze strudzony podróżny.

Znać było, że z dalekich stron idzie; znać było, że sił ostatnich dobywa, żeby do celu podróży się dowlec.

Odzież jego była tak nędzna, wyraz twarzy tak smutny, że można go było wziąć za żebraka. Owszem, zbyt nędzny był i zbyt smutny na żebraka ówczesnego. Dziady obchodzili naówczas swój wiek złoty.

Brodę podróżnego długą, płową, rozjaśniała po bokach wczesna siwizna. Policzki były blade,

zapadłe; oczy błękitne, pełne niewymownej słodyczy.

Na plecach miał sakwy; na stopach łapcie podarte. Podpierał się kosturem.

Słońce, nienaturalnie jaskrawe, świeciło mu w same oczy. On je często dłonią przysłaniał, pilnie upatrując czegoś na horyzoncie — zapewne celu, do którego dążył.

Podróżny zbliżał się do małej, ubogiej wioski. Różnego rodzaju biedacy chodzili wówczas po kraju. Aby od razu okazać kim jest, zaczął śpiewać głosem świeżym, choć cokolwiek drżącym:

Chociaż żołnierz nieubrany,
Przecie wejdzie między pany;
Suknia na nim nie blakuje,
Dziurami wiatr wylatuje...

Żołnierz nie był wówczas pożądanym gościem dla wieśniaka. Przed nadchodzącym wieśniak chował się sam i ukrywał swój dobytek; odchodzącemu rzucał na pożegnanie przekleństwo.

Ale to nie stosowało się do żołnierzy, nucących tę poczciwą, prastarą piosenkę. Ci byli: albo wysłużonymi wojakami, wracającymi do rodzinnej zagrody, albo rozbitkami zwyciężonych i rozpierzchłych oddziałów, albo wreszcie — kalekami. Przed takimi mieszkaniec wsi otwie-

rał chatę i serce. Bieda wspomaga biedę, bo ją rozumie.

I teraz skrzypnęły drzwi w jednej i drugiej lepiance — wysunęła się głowa w czerwonej chuście — oczy okrągłe, dobre, wyjrzały ze współczuciem na drogę...

Podróżny ciągnął głośniej:

Chustka jest czarna za pasem,
Ale i w tej pusto czasem —
Zapłaćże mu, Jezu z Nieba,
Bo go jest pilna potrzeba...

Wieśniaczka drzwi zostawiła otworem — skoczyła do komina — na półkę sięgnęła.

Przed samym progiem rozległo się donośnie:

Trzeba żołnierza szanować,
Chleba, soli nie żałować...

— Prosiema, panie żołmirz... Co Bóg dał...

Na ławie, do okna przysuniętej, prócz chleba i soli, stała miska żuru gorącego.

Podróżny, zanim zasiadł do posiłku, zwrócił się do kobiety z zapytaniem, które już od wielu dni i tygodni z ust mu nie schodziło:

— Rychło-li Warszawa?

— Oj, nie rychło!... Jesce bańdzie takich wsiów tsy, ctyry, albo i piańć... i jeden gród wielgi... Nie wiada cy na podwiecez dojdzieta!...

Zafrasował się wojak — z westchnieniem wziął za łyżkę. Choć to był pierwszy jego posiłek od wczoraj, jadł bez wielkiego smaku. Żałość ściskała mu gardło.

Nie dojadłszy żuru ani chleba, wstał z ławy, usta otarł. Trzeba było teraz zapłacić za gościnność. Zapłata bywała w tych wypadkach zawsze jednakowa. Stanowiło ją: opowiadanie doznanych przygód.

Już to opowiadanie powtarzał podróżny setki razy — zawsze w tem samem, krótkiem streszczeniu. Aby je uczynić zajmującem, nie potrzebował dodawać własnych wymysłów. Owszem niejedno przemilczywał, żeby nie wydawało się, iż na litość poluje.

Powracał z jasyru. Trzy lata przemęczył w ciężkiej niewoli. Gdy go pojmano, próbował uciec, i tem los swój pogorszył. Byłby zaprowadzony do Stambułu, potem przedstawiony do wykupu posłowi Rzeczypospolitej — i niezawodnie wykupiony. Zostawił w kraju dużą majętność — na okupby wystarczyła. Ucieczką wszystko popsuł, ściągnąwszy na się wściekły gniew sułtana.

Skazano go na śmierć. Sam Osman strzelać miał doń z łuku. Czynił to wiele razy: przed wojną dla postrachu wrogów, po wojnie dla nasycenia zemsty. Nigdy jedną strzałą jeńca nie uśmiercał — pomimo, że strzelec był celny.

Z wyszukanem okrucieństwem dziurawił wpierw ciało ofiary; dopiero rękę zmęczywszy, grot w serce jej wymierzał.

Bóg zrządził inaczej. Poganin, zanim uśmiercił chrześcijanina, wprzód sam zdechł — przez własnych janczarów uduszony.

Na jeńca wszakże zawzięto się. Uznany za niebezpiecznego, został wywieziony w głąb Azyi, oddany jednemu z satrapów w wieczystą niewolę. Pracował tam ciężko, pełnił najniższe posługi, nigdy pana swego nie widując.

Dobiegał do końca trzeci rok jego niewoli. Jednego poranku użyto go do naprawiania fontanny we wspaniałych ogrodach satrapy. On sam przechadzał się w pobliżu — znudzonemi oczyma wodził po niewolnikach. Dojrzał Polaka — wzrok na nim zatrzymał — kazał go do siebie przywołać.

— Gdzieś wzięty? — spytał, bystro się weń wpatrując.

Rozmawiali po turecku, bo jeniec już dobrze tym językiem władał.

— Pod Chocimem?

— Którego dnia?

— Piętnastego września.

Tamten policzył na palcach...

— Dwudziestego siódmego szewala!... — wykrzyknął z nadzwyczajnem wzruszeniem.

Wstał — postąpił kilka kroków ku niewolnikowi.

— Powiedz mi jedno jeszcze: pieszy byłeś czy jeździec?

— Jeździec. Dowodziłem własnym oddziałem rajtaryi.

Wzruszenie Turka powiększyło się. Drżał, dłonią serce przyciskając.

— Przystąp bliżej — rzekł głosem stłumionym. — Dobrze mi się przypatrz.

Jeniec podniósł oczy. Ujrzał przed sobą twarz piękną, bladawą, prawie niewieścią: oczy czarne, podłużne, marzące.

Drgnął.

— Poznajesz mnie?

— Poznaję.

Obaj głęboko westchnęli.

— Allah jest wielki!... — szepnął Turek.

Polak rzekł:

— Niezbadane są wyroki Boże. Chwała Panu na wysokości!

— Nie jesteś już niewolnikiem — oświadczył tamten. — Jesteś mój przyjaciel. Połowa mych skarbów do ciebie należy. Każę odziać cię natychmiast w jedwab i złotogłów. Jeśli chcesz, możesz dozorcy swemu głowę uciąć.

Po tych słowach, ucałował go, jak brata.

Jeniec zapłacił uściskiem za uścisk — ze łzami w oczach podziękował za wolność. Potem

wymówił się od darów wspaniałych, prosząc tylko, żeby mu wolno było wrócić do ojczyzny.

W kilka dni później był już w drodze do kraju. Bogaty azyata zaopatrzył go we wszystko, czego trzeba do odbycia długiej a wygodnej podróży.

Dał mu trzos złota, dał rumaka niezrównanej piękności i siły, dał namiot jedwabny, dał zbrojny orszak, który odprowadzić go miał do granic Rzeczypospolitej...

To wszystko otrzymał jeniec z wyroków Opatrzności, za to, że w danej chwili pamiętał o piątem przykazaniu boskiem!

Droga przez prowincye tureckie odbyła się spokojnie, prawie przyjemnie. Ale zaraz po przebyciu granicy, jeniec został napadnięty przez walęsające się kupy żołdactwa i do szczętu ograbiony. Zabrano mu konia, trzos z pieniędzmi, namiot, kosztowne upominki — zdarto zeń nawet odzież nieco wykwintniejszą i pozbawiono prowiantów.

I oto resztę drogi odbywać musi o kiju żebraczym...

W chwili, gdy podróżny kończył opowiadanie, do chaty wszedł mąż z bardzo poważną miną, z bardzo czerwonym nosem, w bardzo długiej, czarnej, kostek sięgającej, opończy. Opończa miała po bokach kieszenie głębokie; z je-

dnej wychylał się gruby zwój pieśni kościelnych, z drugiej — butelka.

Był to klecha miejscowy, wieś bowiem była kościelna.

Wysłuchawszy końca opowieści, przybysz nosem pociągnął, głową pokiwał, ręką machnął dwuznacznie. Potem wydobył z kieszeni butelkę, napił się — w milczeniu podał ją wojakowi.

— Złe są *omina* — wyrzekł przez nos, rozsiadając się na ławie. — Pies zdechł.

— Cyj pies? Moze proboscowy, Boze ratuj?

— Obal, jegomościnego rataja. Pani kleszyna, moja małżonka — iż tak rzekę: *uxor mea* — dała onemu napić się rosy, na łące zebranej przed wschodem. *Experimentum* wypadło niefortunnie. Pies zdechł, jako się wyżej rzekło.

Podróżnemu pilno było w drogę. Wstał; nakładając sakwy rzucił obojętnie:

— Psów na świecie siła. Rataj znajdzie sobie drugiego.

Klecha zwrócił nań pełne politowania spojrzenie.

— Pan żołnierz — nosowo zaśpiewał — *non intelliget*. Iż tak rzekę: nie wie gdzie dzwonią. Nie o rataja idzie, ani o ratajową sobakę. *Omina* są złe. Wczora byłem na łące, gdziem grabił nieco siano dla wołków swych — iż tak rzekę: *pro domo mea*. — Wracam na «Anioł Pański»,

aliści, wedle kierkuta żydowskiego widzę, co? ognie latające. *Dico:* o-gnie la-ta-ją-ce.

Zamilkł — spojrzenie świdrujące obrócił najpierw na podróżnego, potem na wieśniaczkę.

Ostatnia ręce załamała:

— Ratujze nas, Najświantsa Panianko! i ty, świanty Benonie, patronie od wselakiej zarazy! Od powietsa, głodu, ognia... Powiedztaz, mój złoty jegomość, co z tego bandzie?

Toż samo pytanie miał na ustach i żołnierz. Gotowy do wyjścia, zatrzymał się w progu, czekając co powie klecha.

Sługa kościelny nie spieszył z odpowiedzią. Wytarł z hałasem nos, napił się wódki, odsapnął, splunął. Potem dopiero, na nikogo nie patrząc, mruknąć raczył:

— Co będzie? Będzie siła dzwonienia, śpiewania, kadzenia. Księże pole chwastem nie zarośnie: grabarz je skopie jak się patrzy — iż tak rzekę: *de profundis*...

Podróżnego dreszcz przebiegł, choć w izbie było ciepło. Przeżegnał się i wyszedł na drogę. Idąc piaszczystym gościńcem, długo jeszcze słyszał lamentującą wieśniaczkę:

— Świanta Panienko!.... Świanty Benonie!....

Siły wytężał, żeby iść jak najżwawiej. Pilno mu było do rodzinnej Warszawy, do ludzi swoich, o których od lat trzech wieści żadnej nie miał. Popędzała go tęsknota; popędzał niepo-

kój, mieszający się to z obawą — to z nadzieją...

Nic to nie pomagało. Znużone nogi z trudem go niosły. Ledwie o południu dowlókł się do miasta, które na połowie drogi leżało. Nie było sposobu dostać się do stolicy przed nocą.

W drodze, coraz gęściej obsiadały mu duszę czarne, posępne myśli. Roiło mu się Bóg wie nie co. Pewnej chwili, gdy szedł wprost na słońce, wydało mu się, że je coś białego zakryło. Podniósł oczy i ujrzał lecące powietrzem, tuż nad ziemią, widmo niewieście w długiej, białej, faldującej się koszuli. Widmo leciało bez szmeru, śnieżnemu obłokowi podobne, potrząsając chustą skrwawioną...

Pewnie to był majak, olśnieniem słonecznem wywołany.

Podróżny wzdrygnął się, przeżegnał...

Przez całą resztę drogi odmawiał półgłosem pacierze.

III.

Dochodziła godzina dziewiąta. Tłum nie przestawał cisnąć się u wejścia do kamienicy Drewnowskiej. Był taki tłok, że nawet służba, wychodząca z domu i powracająca, z trudem przejście sobie torowała.

Nagle zaczęto rozsuwać się, ustępować.

— Zróbcie miejsce! — wołali jedni na drugich. — Osoba godna! Człek święty! Szczęście przyniesie młodym! I domowi! I miastu!...

Od strony Bramy Krakowskiej nadchodził mąż wyniosły, w powłóczystym, zakurzonym płaszczu, w kapeluszu olbrzymim, owieszonym muszlami, z różańcem u pasa, z kosturem wysokim, który miał u wierzchu wydrążoną tykwę.

Od razu poznawało się pątnika, powracającego ze stron bardzo dalekich — zapewne od grobu Chrystusa.

Przeszedł ze spuszczoną głową przez tłum rozstępujący się. Po drodze rozdawał medaliki, szkaplerze. Tych, co chcieli kraj jego płaszcza całować, przygarniał do siebie i błogosławił.

Gdy wstąpił w dom Drewnów, natychmiast przypuszczono go przed oblicze pani Melchiorowej. Prosił o to — możnaby rzec: żądał tego.

Wdowa ukazała się przybrana okazale — w stroju, w którym poprowadzić miała córkę do ołtarza. Przywitała pielgrzyma uprzejmie, prawie serdecznie. Uważała za szczęśliwy *omen* jego zjawienie się w chwili tak uroczystej.

— Witajcie, gościu świątobliwy! — rzekła, wskazując mu miejsce przy stole. — W samą porę pod nasz dach przybyliście. Wina wam podać czy miodu? Mój Boże! widzieliście Betleem

i Jeruzalem, żłobek i grób Chrystusowy. Jakże wasz los fortunny!

Pielgrzym milczał. Na środku komnaty stał nieruchomo, z głową spuszczoną, z ustami zaciętemi.

— Możeście głodni? Czemu nie siadacie? Każę służebnej przynieść mięsiwa i ciasta. Gdy pokrzepicie się, przywiodę wam swą córkę. Anielska dzieweczka. Wżdyć nie odmówicie jej błogosławieństwa?

Pielgrzym milczał.

— Pewnie trzos wasz pusty? Napełnię go złotem. Czy powiedzieli wam, że dziś w domu moim gody? Jedynaczka moja poślubia kawalera znacznego — szlachcica. Za dwie godziny powiodą ją do ołtarza. Za dwie godziny będzie już wielmożną panią Zboińską.

Pielgrzym podniósł głowę.

— Nie stanie się to za dwie godziny. Nie stanie się to nigdy — głosem głębokim wyrzekł.

Kobieta zmieszana, z tropu zbita, rozszerzyła oczy, w tył się cofnęła — pełna zdumienia, prawie trwogi...

— Co mówicie, gościu? Snać nie pojęliście słów moich. Rzekłam, iż córkę swą oddaję w zamężcie. Zanim południe wybije, pojmie ją szlachetnie urodzony.

Tamten powtórzył z większym naciskiem:

— Powiedziałem: nie stanie się to.

W dumnej mieszczance gniew się obudził.

— Dlaczego? — ostro zapytała.

— Ja na to nie zezwolę.

Drewnowa postąpiła naprzód z zaiskrzonemi oczyma. Jeszcze była piękna, majestatyczna. Tusza, której w ostatnich czasach nabrała, przysporzyła jej powagi. Owiewał ją szum i chrzęst ciężkich materyi jedwabnych, w które była odziana. Perły wielkiej ceny, które opasywały kilkakrotnie jej szyję, dzwoniły z cicha na poruszającej się szybko piersi.

— Coście wyrzekli? — syknęła. — Jakto, wy nie zezwolicie?... Wżdyć ja ciebie o to nie pytam!... Nikogo pytać mi nie trzeba. Gdyby nie święte prawo gościnności, nie estyma pielgrzymom należna, to... Nareszcie: nie znam was. Różny naród wałęsa się teraz po świecie... Powiedz: kto jesteś?

Pielgrzym odrzucił płaszcz. Przed Drewnową stanął mąż dorodny, wyniosłej postawy, z twarzą myślącą, surową. Miał czarne, zapadnięte oczy, wielki nos orli, cerę żółtą, rysy wyraziste, jak z bursztynu wyrzezane. Strój jego był napół mieszczański, napół zakonny. Na piersiach wisiał łańcuch złoty, zakończony medalem.

— Jestem ten — odrzekł — który dzieweczkę do tego domu przywiódł. I ten zarazem, który dzieweczkę z tego domu wywiedzie.

Melchiorowa lekko zbladła. Jednak z tąż samą, co wpierw energią cios odparowała.

— Znajomości nie żądam; pogróżek, wolno mi się nie lękać. Bogu dzięki, żywiemy pod bokiem Jego Królewskiej Mości, Pana naszego miłościwego. A co się tknie Hanusi mojej, o jej losie jeno matka stanowić może.

Przybysz wyrzekł spokojnie:

— Waszmość pani nie jesteś matką Hanusi.

To był grom.

Drewnowa stała się szkarłatną. Można było obawiać się, że padnie zabita apopleksyą. Postąpiła kilka kroków w tył, drżącą ręką szukając poza sobą krzesła. Znalazła je — usiadła.

Przez kilka chwil oddychała szybko, chrypliwie, jakby dusząc się. Zwolna oddech stawał się wolniejszy i cichszy; z twarzy ustępowała straszna czerwoność.

Podniosła do nosa flakonik wenecki, który wisiał u jej pasa na złotym łańcuszku. Potem przesunęła ręką po czole, skupiając myśli.

Uspokoiła się. Zasłaniając usta pachnącą rękawiczką, zaczęła z cicha... śmiać się.

— Dziwy waszmość mi prawisz — rzekła wreszcie, głosu nie podnosząc. — Iście wschodnie bajki. Z onych krajów dalekich przywieźć je musiałeś. Wedle waszmości, ja nie jestem córki swojej matką. I gdzież jest macierz prawdziwa?

— W grobie — odrzekł pielgrzym smutno.

— A ociec?

Odpowiedzi nie było.

Za dużą, złotem przetykaną, koronkami oszytą rękawiczką, znów dał się słyszeć śmieszek stłumiony.

— Niezawodnie waszmość znasz i postawisz ludzie wiarogodne, co one macierzyństwo zaświadczą?

— Znam i postawię.

— Radabych je poznać...

— Przywiodę nasamprzód starą Kosową, balwierkę ze Śpichlernej.

— Na te Gody będą dwa roki, jak u Panny Maryi pogrzebiona!

— Pogrzebiona?... — zadziwił się przybysz i spochmurniał.

Po raz pierwszy od początku rozmowy trzeba mu było namyślać się co powiedzieć.

Mniej pełnym głosem ciągnął:

— Postawię męża nieboszczki, balwierza Kosa.

— Przed trzema niedzielami pijacki żywot w Wiśle zakończył!

Czoło pielgrzyma pofałdowało się, na oblicze wystąpił wyraz głębokiego bólu. Ten mąż, przed chwilą jeszcze posągowi z bronzu podobny, zachwiał się, głowę na piersi zwiesił — cały przygarbił się, postarzał...

— Mógłbym — wyrzekł głucho, nie patrząc

na przeciwniczkę — mógłbym i bez nich... Ale nie mogę, nie mogę!

Znać było, że w duszy tego człowieka, tak dotąd spokojnego, wre ciężka walka, mocują się wrogie siły.

Drewnowa mierzyła go wzrokiem wyniosłym, zupełnie już spokojnym. Po ustach jej przebiegał uśmiech drwiący.

Otworzyły się szeroko drzwi — stanęła w nich oblubienica. Podobna była do białej chmury, przez którą przeświecały dwie gwiazdy... czarne.

— Pani matko! teszno nam bez was... — srebrnym głosem zadzwoniła.

Pielgrzym rzucił się ku białemu zjawisku z wyciągnionemi rękami.

— Hanusiu! Hanusiu moja!... — rozdzierającym głosem zakrzyknął.

Dzieweczka obróciła się ku niemu — zadrżała. Czarne oczy napełniły się łzami, drobne rączyny wyciągnęły do wołającego. Zdawało się, że chce mu upaść w objęcia.

Rzuciła się pomiędzy nich Drewnowa — córkę wepchnęła do drugiej izby — drzwi zatrzasnęła i sobą zasłoniła.

— Żegnam waszmości — rzekła do pielgrzyma, lekko głowę skłaniając. — Dziś moim gościom weselić się przystoi. Dla kruków złowróżbnych miejsca tu niema...

IV.

— Niech żyją! *Vivaaant!...*

Okrzyk tłumu, stłoczonego w wązkiej uliczce, zahuczał jak grzmot w wąwozie.

Z czarnego otworu sieni wybuchnął jakby huragan kwiatów. Na ulicę wysypał się orszak weselny, barwnymi strojami błyszczący. Nie czekały nań karoce ani kolebki. Wszyscy weselnicy w obrębie Starej Warszawy pieszo do kościoła chadzali.

Orszak miał do przebycia drogę niewielką: dwie uliczki, jedną przecznicę. Tę drogę starannie umieciono, żółtym piaskiem wysypano — teraz właśnie pachołkowie i dziewki służebne potrząsały ją kwiatami.

Pannę młodą prowadził krewniak Zboińskiego, pokojowiec królewski, gładysz w stroju hiszpańskim. Panu młodemu podała ramię stryjeczna Hanusi, córka Łukasza Drewny.

Drewnowa — istna dogaressa, w aksamitnej, powłóczystej, złotem przetykanej szacie, z perłami we włosach i na szyi — szła pod rękę z burmistrzem Starej Warszawy, Hendrichem Plumhoffem. Za niemi stary Zboiński w kontuszu szkarłatnym z guzami dyamentowymi kroczył dostojnie obok Łukaszowej Drewnowej.

Dalej sunęło mieszczaństwo Starej Warsza-

wy, przemieszane malowniczo ze szlachtą i dworzanami królewskimi. Mieniły się jedwabie, migotały klejnoty, puszyły się pióra kosztowne, złociście połyskiwały w słońcu sobolowe obrzeżenia sukien mieszczańskich. *Lex sumptuaria* poszła już była w zapomnienie...

Orszak zatrzymał się na ulicy przed domem, czekając aż służba wszystkie kwiaty z koszów wytrząśnie. Tłum mógł do syta napaść oczy widokiem przepychu, bogactwa wytworności — na który zawsze bywa łakomy.

Rozumie się, że główną ciekawość budzili oblubieńcy.

Hanusia była blada, jak opłatek — śliczna, ale tą ślicznością eteryczną, księżycową, której mieszczankowie nie rozumieli i nie uznawali. Szeptano sobie o niej zdania niepochlebne. Zażywna rybaczka z Dunaja, wdowa po trzech mężach, trąciwszy w bok tłustego rzeźnika, mruknęła wzgardliwie:

— W trumnę jej, nie do łożnicy!...

Wichura lepiej przypadł do smaku — choć strój włoski, opięty, przy jego twarzy hajdamackiej raził niemiłą sprzecznością.

Chwalono jego minę pewną siebie, wyniosłą, która naprawdę była tylko: zuchwale bezczelna. Wśród tłumu nie brakło takich, co go znali ze strony złej i brzydkiej — ale olśniewała ich glorya bogactwa — milczeli...

— Jak go zdobi ta blizna na lewej jagodzie!... — mówili starzy patryoci, pokazując sobie jego policzek, przecięty szablą Krzysia Dąbka.

— Dobry syn Rzeczypospolitej — cieszyli się inni — będzie miała zeń honor i nasza Stara Warszawa!

Gdy tak jedni pysznią się sobą, a drudzy opatrują ich i sądzą, nagle, w ostatnich szeregach tłumu, wszczął się hałas.

Ktoś krzyknął tam głosem przeraźliwym:

— Puszczajcie!... puszczajcie!...

Krzyk był podobny do niewieściego, ale brzmiał prawie nieludzko. Zdawało się, że wybiega z piersi pękniętej, rozbitej.

Poruszyła się fala ludu. Ruch, wszczęty na jednym jej krańcu przeszedł szybko do drugiego.

Ozwały się głosy zmieszane, które urosły niebawem w gwar powszechny. W gwarze można było wyróżnić alarmujące wołanie:

— Szalona!... Szalona z Kępy!...

Szaleni strach wówczas budzili. Lękano się ich, posądzając o stosunki z czartem, o moc nadprzyrodzoną.

I teraz zaczęto rozstępować się, usuwać. Krzyk stawał się coraz głośniejszy, coraz bliższy... Po chwili, w zbitej dotąd masie utworzyła się jakby bruzda, a przez tę bruzdę, krzycząc

i przepychając tłum, rwała się naprzód kobieta obłąkana.

Była straszna — bardziej do widma, niż do istoty żyjącej podobna. Całą jej odzież stanowiła długa do kostek koszula, sznurem w pasie związana. We włosach rozplecionych, czarnymi wężami na twarz i na plecy spadających, tkwiły źdźbła mchu i suchej trawy. Twarz była żółtozielona, wyschnięta jak u mumii. Oczy zapadły tak głęboko, że się zdały dwiema dziurami. Ale najohydniej wyglądały uszy, poszarpane, bezkształtne — raczej strzępy uszów, jakby z paszczęki dzikiego zwierza cudem wyrwane...

Na ramionach kobiety, na jej biodrach, kolanach, łokciach, koszula łamała się w fałdy rażąco ostre, ujawniające nadzwyczajną, kościotrupową chudość. Cała ona zresztą wydawała się żyjącym szkieletem.

— Puszczajcie! — krzyczało widmo. — Do miłego puszczajcie! Miły czeka, o! wola na mnie. Słyszycie? dzwony dzwonią, organy huczą... To mój ślub! moje wesele!... Hu! ha!... A stryjek w ogniu skwierczy... Waszmościów proszę i waszmościanki proszę. Będą gody!... A wy dyabły precz! teraz nie pora... Później! później! Miły czeka. Jaki cudny mój miły! Katom nic do mnie!... Puszczajcie! Do miłego puszczajcie! Mój miły szlachcianką mnie zrobi!... Hu! ha!...

Wyrwała się z ciżby — pobiegła do miejsca,

gdzie stał orszak weselny. Choć widziano, że leci straszna jak upiór, złowroga, nikt się nie ruszył. Konrad stał w miejscu jak urzeczony — innych okamieniła trwoga zabobonna.

W tłumie gadano tylko: — Nieszczęście!.... nieszczęście!...

Ona skoczyła nagle, jak pantera, na pana młodego. Zanim zrozumiano co się dzieje, już kościotrupowe ramiona opasały Wichurę, już upiorzyca u jego szyi zawisła.

Z piersi jej wyrwał się krzyk okropny, który był zarazem: jękiem, wyciem, mrukiem, skowyczeniem.

Twarz szalonej kobiety stała się szkarłatna, usta jej przypiły się do ust Konrada. Ze wściekłą zawziętością zaczęła całować go i kąsać.

Napróżno Wichura szamotał się, wyrywał, objęcia widma były mocne jak żelazo. Inni patrzyli na te zapasy w osłupieniu.

Dopiero gdy z ust pana młodego krew pociekła i kroplami purpurowemi spływać zaczęła na biały atłas stroju weselnego — ten i ów oprzytomniał.

Stary Zboiński, dobywszy karabeli, rzucił się na pomoc synowi — uprzedzili go pachołkowie magistraccy, którzy szaloną porwali i unieśli.

Już nie miotała się, nie wyła — z ust jej wybiegały tylko boleśne, jękliwe skargi. Buchał

od niej ogień — rękami chwytała się to za pierś, to za głowę.

Pomiędzy weselnikami wszczął się popłoch. Kobiety mdlały, mężczyźni biegali od jednej do drugiej, trzeźwiąc, o pomoc lekarską wołając, czyniąc sobie wzajem wymówki, że do nieszczęścia dopuszczono.

Jeden Konrad stał w miejscu nieporuszony, osłaniając chustką pokąsane usta, i domagając się z dziką zaciętością, żeby obrządku ślubnego nie przerywano. Pomagał mu w tem ojciec. Stary szlachcic niecierpliwie szarpał wąsa, pobrzękiwał karabelą, z towarzyszką swą na czoło orszaku rwał się...

— Do kościoła! do kościoła! — wołał prawie rozkazująco. — Dość niepotrzebnej mitręgi! Wielebni czekają, gościom dostojnym śpieszno. Z czarownicą kat się załatwi, my przed ołtarz!

Przemogła rozwaga — postanowiono ślub na kilka godzin odłożyć. Weselnicy cofnęli się do komnat. Przywołany doktór opatrzył poranione usta pana młodego — pannom i niewiastom leki dał na uspokojenie.

Dziw to był dla wszystkich, że Hanusia, choć ciałem najwątlejsza, najmężniej wypadek zniosła. Tylko oczy jej dziwnie się pogłębiły, a czoło przecięła fałda, wyrażająca zarazem smutek i rezygnacyę...

V.

Ślub odbyć się miał o piątej popołudniu — ale się nie odbył.

Już po raz wtóry zapalono światła w ołtarzu; po raz wtóry muzycy i śpiewacy z kapeli królewskiej zgromadzili się na chórze gwoli wykonania wspaniałego *Veni creator;* już ojciec prowincyał przywdział ornat bogaty i do wyjścia się gotował; już nawet orszak weselny wkroczył do świątyni i szumem, chrzęstem, blaskiem, zapachami mocnymi nawę główną napełnił — jednak ślub się nie odbył.

Stała się rzecz nadzwyczajna: na połowie drogi do ołtarza, pan młody zachwiał się nagle i padł na posadzkę kamienną bez przytomności. Prawda, że od kilku godzin czuł się słabym, narzekał na ból głowy i stawów — nie przypisywano wszakże temu wielkiego znaczenia. On sam z niemocy swej głośno podrwiwał.

Pomiędzy uczestnikami nie brakło doktorów. Przy ich pomocy Wichura odzyskał przytomność. Ale już gorączkę miał gwałtowną, w malignie był — bredził...

O ślubie nie mogło być mowy.

Przyniesiono z zakrystyi nosze, okryto kobiercami — chorego na nich złożono. Panna

młoda, łzami zalana, prosiła, by jej pozwolono iść za narzeczonym, pielęgnować go.

Doktór stanowczo się temu oparł.

Konrad został przeniesiony do dworu na Węgrzynowie... Poszedł tam za nim tylko ojciec i doktorów kilku. Przyjaciele, nie wyłączając drużby-krewniaka, przed chorobą pierzchnęli.

Reszta godowników, pełna przerażenia, rozbiegła się do domów i gospód, roznosząc wieść o uroku, rzuconym na pana młodego przez czarownicę...

Czterej najsławniejsi warszawscy lekarze stanęli przy łożu chorego Konrada. Pierwszy był stary, drugi młody, trzeci bardziej młody, niż stary, czwarty bardziej stary, niż młody. Przez dwie godziny kłócili się po łacinie, wygrażając sobie najpierw pięściami, wkońcu kijami.

Stary Zboiński powtarzał nieustannie: Czyńcie waszmoście, co chcecie, mój syn musi jutro ślub wziąć... — Oni w odpowiedzi mruczeli coś niewyraźnie. Wreszcie zapisali cztery długie recepty i mieli się ku odejściu. Wówczas szlachcic drogę im zakroczył, żądając, aby kategorycznie powiedzieli: — Weźmie ślub, czy nie wemie?... — Na to jeden doktór rzekł: — Weźmie najniezawodniej... — Drugi: — Najniezawodniej nie weźmie... — Trzeci: — Być może, iż nie weźmie... — Czwarty: — Być może, iż weźmie.

I odeszli.

Tymczasem Wichura coraz gwałtowniej rzucał się, coraz nieprzytomniej bredził. Stary klął, psy kopał, stołki o podłogę i o ściany rozbijał. Wielki ból serdeczny takie u niego miewał zawsze objawy.

Noc nie przyniosła choremu polepszenia. Leki nie pomagały, cisza wiejska ukoić go nie zdołała. Miał straszne widzenia, gadał rzeczy potworne, od których staremu skóra cierpła, włosy się jeżyły...

Lampę postawił na stole, blizko łóżka; przy lampie księgę wielką rozłożył. Naprzemiany: podawał synowi cuchnącą miksturę i czytał «Herby Rycerstwa Polskiego». Czytał w głos, chcąc zagłuszyć bredzenia chorego.

Przed samą północą, klamka u drzwi szczęknęła — ktoś wszedł do izby, wymawiając łacińskie pozdrowienie. Szlachcic podniósł oczy od księgi — przed nim stał mąż poważny, we włoskim stroju, z twarzą żółtą, nosem orlim, czarnemi, głęboko osadzonemi, oczami.

— Kto waść? Czego tu po nocy? — szorstko zapytał.

Doktór jestem. I znajomy waszmości.

Zboiński zakrył oczy dłonią od strony światła — wpatrywał się w przybysza — milczał. Widocznie poznać go nie mógł.

— Spotykaliśmy się na Zamku, u nieboszczyka pana Boboli — pomagał tamten jego pamięci.

— To już chyba dawno?...

— Dawno. Jest temu roków dwadzieścia i dwa. Tyle właśnie ile ich liczy Hanusia...

Stary podniósł głowę.

— O kim waść mówisz? O jejmościance pannie Drewnównie?

Przybysz ciągnął, nie odpowiadając na pytanie.

— To były dobre czasy. Byliśmy wówczas młodzi, mości Zboiński! A fraucymer nieboszczki królowej wirydarzowi równał: panienki nadobne rosły w nim, jak kwiaty. Jedna osobliwie Dorotka, hafciarka...

— Lada co waść prawisz!... — obruszył się szlachcic.

— Rozmiłowałeś się w onej Dorotce, mości Zboiński.

— Iiiii...

— A ona cię zdyfamowała.

— Przestałbyś waść...

— Inny cię ubiegł. Za to, gdy przyszła okazya, zemstę nasyciłeś. Przez ciebie ono niebożątko w lochu u strażnika zmarniało.

Porwał się na nogi Zboiński.

— Na co mi to wszystko waść gadasz? — gniewnie rzucił.

— Aby pamięć waszmościną odmłodzić.

— Poznaję cię teraz. Jesteś Antonio Novi, Czarny Doktór. Byłeś lekarz i alchymista. Pono

także i czarodziej. Ścigano cię... Skąd się teraz tu wziąłeś?

— Staram się zawsze być tam, gdziem potrzebny. Słyszałem, że jedynak waszmości zachorzał?

Szlachcic jęknął tylko — ręką wskazał łoże w cieniu pogrążone.

Doktór przystąpił do Konrada. Przyłożył mu rękę do czoła, obejrzał twarz i piersi, dotknął stawów, pomacał pod pachami — spokojnie od łoża odszedł.

Ten spokój dodał staremu otuchy.

— Cóż, doktorze? — spytał. — Mój Konrad stanie jutro na kobiercu? Tamci powiedzieli, że stanie.

— Mości Zboiński — rzekł tamten — mam do waszmości słów kilkoro...

Obejrzał się po izbie — dostrzegłszy drzwi od ubocznej komnaty, do nich się skierował. Ruchem ręki wezwał ze sobą szlachcica.

Zboiński wziął ze stołu lampę — wszedł za doktorem do ciemnicy.

Zaraz za progiem rzekł przybysz:

— Od tamtej niewiasty wracam.

— Od której?

— Od szalonej.

— Przeklęta czarownica! Bodaj zczezła!

— Już się jej klątwy nie imą. U Boga jest.

— U czarta, powiedz waść!

— U Boga.

Ciszej, jakby do siebie tylko, dodał:

— Miała ciężką śmierć. Za to, lekkie będzie jej przebudzenie.

— O jakiej śmierci waść mruczysz?

— O czarnej.

— Śmierć zawżdy biało malują...

— Ta przecie czarna. *Mors nigra.*

Zboiński wzdrygnął się.

— Waść kraczesz żałobnie, jak kruk. I łżesz w dodatku. O onej okropności słychać u nas nie było.

— Do wczora. Dziś ona jest w Starej i Nowej Warszawie. Jest *intra muros* i *extra muros.* Jest na przedmieściach i na kępach wiślanych. Wczora syna waszmościnego ucałowała, dziś masz z niej waść synową...

Szkło trzymanej lampy głośno dzwonić zaczęło.

— Aniołowie i Archaniołowie! Oszalałeś, czarowniku! Więc mój syn?...

— Hanusi nie poślubi.

Lampa upadła z brzękiem na podłogę. Zboiński zwalił się z nóg, apopleksyą zabity.

Zrobiło się czarno, okropnie...

Z obocznej izby dobiegało rzężenie konającego...

VI.

Na Węgrzynowie księżyc świecił pełny, zimny, błyszczący, jak wygładzona czaszka kościotrupa. Świecił w same okna milczącego, jakby głęboko uśpionego, dworu. Okna były otwarte i niczem niezakryte — pomimo, że wewnątrz pełniły się rzeczy, ani światła księżycowego, ani oczu ludzkich nieznoszące.

Śmierć tam gospodarowała samowładnie.

Na środku pierwszej izby, w trumnie otwartej, na katafalku, spoczywał trup starego Zboińskiego — w czerwonym kontuszu, czerwonych butach, z twarzą siną, która w promieniach księżyca czarną się wydawała.

Nie paliło się przy tej trumnie światło. Na stopniach katafalka żółciły się powywracane lichtarze, połamane gromnice...

W drugiej izbie — drugi trup. Ten leżał wprost na podłodze — potwornie pokurczony, prawie nagi, plamami sinemi pokryty. Wytrzeszczonemi, po raz pierwszy może nieruchomo stojącemi oczyma, patrzył wprost w księżyc. Twarz miał wykrzywioną. Skonał widać w wielkich mękach, rzeczy straszne widząc przed sobą.

Syn umarł, gdy ojciec leżał już na marach. Służba, przerażona dwoma zgonami, a najbardziej złowieszczem słowem: «zaraza», pouciekała

do miasta. We dworze nie było nikogo. Nawet psy powciskały się w poblizkie zarośla i wyły tam ponuro.

Nagle, na drodze jasności księżycowej, stanął cień. Ktoś podczołgał się między chwastami pod dwór, zajrzał do środka, przez okno przelazł. Gdy barki wyprostował, okazał się olbrzymem.

Olbrzym miał nogi krzywe. Przetoczył się koślawo przez pierwszą izbę, zatrzymał przy katafalku, przeżegnał się, popatrzył uważnie na — kontusz nieboszczyka.

Potem przeszedł do drugiej izby.

Tam od progu zaraz zawołał:

— Jasny panie! Kołtun przylazł po swoje...

Nie słysząc odpowiedzi, powtórzył głośniej:

— Niechno się wasza wielmożność dźwignie. Siła czasu nie zmitrężyma. Wielmożne ręce odmierzą kwartę czerwieńców, dziad zara won pójdzie. Sprawiedliwie mi się należą... spra-wiedliwie. Tyla roków dzierżeć pysk zaryglowany, nie fracha! Brodzisko mi bez ten czas pobielało!

Milczenie podrażniło go. Mrucząc, potoczył się w głąb izby i teraz dopiero zobaczył trupa.

— Święty Jacku! — krzyknął. — Co to jaśnie szlacheic wyrabia?!...

Pomacał go kijem, potem nogą. Potem jeszcze schylił się, za ramię go ujął, na drugi bok przewrócił. Zrozumiał nareszcie prawdę.

— Olaboga! — wrzasnął. — Toś ty zdechł?!...

Wściekły gniew i żal dusiły go. Nogami zaczął kopać trupa, którego głowa z głuchym łoskotem odskakiwała od podłogi. Ryknął wreszcie wielkim płaczem.

— Okradł me!... Jasny szlachcic me okradł! Siroty nie pożałował, okradł! U-hu-hu-hu-hu!...

Długo taczał się po izbie, jak pijany, klnąc i lamentując. Nagle stanął w miejscu: dojrzał na ścianie szablę Konrada, której głowica iskrzyła się rubinami.

W mgnieniu oka zerwał ją z gwoździa — głowicę odłamał i schował w zanadrze — klingę odrzucił.

Zbudziło to w nim nowe myśli. Wziął się do przepatrywania kątów, do poszukiwania zdobyczy.

Zawiódł się. Prócz sprzętów ladajakich i szmat błyszczących a bezużytecznych, nic tam nie było do wzięcia.

Przepatrzył pierwszą izbę — też same pustki. Fortuna Zboińskich była nędzą błyszczącą, którą dopiero ożenek Konrada miał naprawić.

Mrucząc przekleństwa, przystąpił do trumny Zboińskiego — trzęsącą się ręką pozrywał guzy brylantowe z kontusza.

Z łupem wyszedł przez okno — w zaroślach przepadł.

Tejże nocy przepił wszystko pod wiechą...

Nazajutrz rano, znaleziono go wiszącego na drzewie przydrożnem.

VII.

Anioł śmierci objął rządy nad Warszawą.

Jęki dzwonów nie milkły na chwilę; pogrzeby szły za pogrzebami, a wszystkie ciągnęły traktem Zakroczyńskim, ku «Górze Szubienicznej», gdzie urządzono cmentarz dla zapowietrzonych.

Nie pomogły suplikacye — Bóg nie osłonił Warszawy przed zarazą. Odwiecznym prawom musiało stać się zadość; na drzewie wojny musiał wyrosnąć i dojrzeć straszny owoc zniszczenia.

Mór zrodził się na pobojowiskach Cecory i Chocima. Setki tysięcy trupów ludzkich i zwierzęcych leżały tam bez pogrzebu. Koń i wielbłąd, wierny i niewierny, bohater i tchórz, wszystko to, pod odkrytem niebem, tak samo rozkładało się, gniło, cuchnęło — sprowadzone przez śmierć do jednego miana: padliny.

Legendowa niewiasta, krwawą chustą powiewająca, przybyła do stolicy «Czarnym szlakiem» — tą fatalną, ciałami ofiar umorzoną drogą, którą szli zawsze najwięksi wrogowie nasi: Turcy i Tatarzy. Choć pustoszyła w pochodzie wsie i miasta, umiała tak się zataić, że

już pod murami samymi stała, a jeszcze o niej nie wiedziano.

Wybuch zarazy był nagły, piorunowy. W chwili, gdy zbudzona czujność zdobyła się na rozkaz okopania miasta przed wrogiem, już on w samem jego sercu gospodarował samowładnie.

Najpierw marli ludzie pojedyńczo. To tu, to owdzie, ktoś, najzdrowszy do tego, padał nagle jak mucha. Choroba trwała dwa, trzy dni; czasem w jednej dobie zabijała. Potem wymierały rodziny: albo samo potomstwo, albo sami rodzice, albo ci i tamci równocześnie. Później jeszcze śmierć wstępowała do upatrzonych przez się domów, i nie wychodziła z nich, dopóki wszyscy mieszkańcy na marach się nie pokładli. Wreszcie mór wybijał — całe ulice.

Słyszałeś tylko: płacz dzwonów, pienia żałobne, dzwonki księży, roznoszących Oleje Święte, furkot czarnych chorągwi, litanie do świętego Benona, stłumione łkania, powstrzymywane jęki. Wystrzegano się głośnego płaczu, głośnych narzekań — nawet głośnej rozmowy. Wszyscy chodzili ze spuszczonemi głowami, szepcząc. Cała Warszawa była jak dom, w którym leży śmiertelnie chory.

Król był już stary, żądza życia w nim przygasła. Chciał po raz pierwszy okazać się ojcem ludu, z ludem pozostać i wytrwać. Sądził też

pewnie, że zaraza uszanuje majestat, progów Zamku nie przestąpi. Ale gdy mu zachorowało i umarło dwóch muzyków z nadwornej kapeli, gdy śmierć sprzątnęła złotnika, pomagającego w jubilerstwie, a gdy doktór Katerla, leczący go doskonałemi pigułkami, niemal w chwili, gdy te pigułki podawał, padł powietrzem zabity — Zygmunt uciekł z rodziną, najpierw do Jazdowa, potem do Osiecka, wkońcu aż do Czemiernik na Podlasiu.

I znów — jak zawsze — *Antiqua Varsovia* ujrzała się sam na sam z nieszczęściem.

Nie poddała mu się jednak.

Z powietrzem wystąpił *magistratus* do walki, jak ze zwykłym najeźdźcą. Rajcowie uznali za najpilniejsze: miasto otoczyć wałem, po basztach zapasy kul i prochu powiększyć, bramy miejskie szczelnie pozamykać, na głównych drogach przy wjeździe do miasta urządzić «szlagi», to jest rogatki.

Później dopiero pomyślano o czystości: o paleniu śmieci, uprzątaniu nawozu, którego kupy tuż pod murami, a nawet w śródmieściu spokojnie leżały — o zamykaniu domów nierządnych i szynków.

Lud walczył z nieszczęściem na własną rękę i — na swój sposób. Odśpiewawszy głosem wielkim suplikacye, oraz pieśni do świętych: Benona i Rocha, szedł chwytać stare niewiasty

i łowić obławą żydów. Wiadomo, że to ich «czarnoksięstwa» są główną przyczyną moru. Stosy i haki szubieniczne nie próżnowały...

Smierć miewa swoje kaprysy, upodobania, wstręty. Zaraz przy pierwszym wybuchu zarazy, ze szczególną zawziętością zwróciła się przeciw Łukaszowi Drewnie, bratu nieboszczyka Melchiora. Człek sędziwy, wdowiec, miał za jedyny cel: dobro miasta, za jedyne szczęście: widok córek swych i wnucząt. Najstarsza córka, dotąd nieopłakana, od lat kilku spoczywała w grobie; najmłodsza była panną. Ona to drużbowała przy niefortunnym i niedoszłym ślubie Hanusi i Konrada Zboińskiego. Średnia córka miała męża i troje dziatek. Po najstarszej zostało również dzieciątko jedno: śliczna, jak cherubinek dzieweczka — dziadka swego najczulsza pieszczota i największe umiłowanie.

W ciągu pierwszego tygodnia umarła córka zamężna, jej mąż i troje ich dziatek. Dom, według obowiązujących przepisów «zamknięto na szkubel», na drzwiach wymalowano farbą olejną wielki krzyż czarny, na znak, że od tego miejsca wszystkim stronić należy.

W drugim tygodniu umarł mąż najstarszej, nieżyjącej córki, najmłodsza zaś, z żalu i przerażenia, dostała obłędu. Starcowi pozostała już tylko jedna, ostatnia pociecha: sześcioletnia wnuczka.

W trzecim tygodniu grabarze zabrali wnuczkę...

Łukasz Drewno, powróciwszy z ostatniego pogrzebu, rozłożył przed sobą wielki, w pergamin oprawiony zeszyt, i drżącem nieco pismem nakreślił na pierwszej karcie:

Virtus ad ardua tendit.

Sive vivimus, sive morimus, Domini sumus.

Potem, pomyślawszy trochę, ułożył i do tejże księgi wpisał następujące rymowane *credo:*

W Imię Twe, Chryste zostawiam,
Śmierci się nic nie obawiam.
W Tobie me wszystkie pokładam ufanie,
Racz błogosławić, Jezu Chryste Panie.
Amen.

Lucas Drewno
Vicegerens Antique Varsoviae m. p.

Noc całą przepędził na modlitwie. Nazajutrz poszedł na Ratusz, wprost do izby «Sądowej», gdzie, pod bronzowym posągiem Sprawiedliwości, siedział burmistrz w otoczeniu rajców.

Powstali na jego widok; każdy miał na ustach wyrazy współczucia i pociechy.

Drewno nikomu nie dał przyjść do słowa.

— «Powietrznego» macie? — krótko, twardo zapytał.

Jan Korb, który był podówczas burmistrzem Starej Warszawy, odrzekł żałośnie:

— Bogać tam! Nikt się do urzędu onego nie kwapi. I nie dziw: nie urząd to, jeno męka a niewola. Któżby chciał własnowolnie kłaść na się okowy?

— Jeśli się wam godzę, mnie weźcie.

Wymawiali się od przyjęcia ofiary, nalegali na starca, żeby pomyślał raczej o odpoczynku, o zabliźnieniu ran własnego krwią opływającego serca. Nie ustąpił.

Tegoż dnia Łukasz Drewno został ogłoszony «burmistrzem powietrznym».

Burmistrz powietrzny, tylko na czas zarazy ustanawiany, był opiekunem i sługą całego miasta. Chorych leczył, umarłych grzebał, żywych pocieszał, biednych wspomagał — utrzymywał ład i karność w rozprzęgającem się, skutkiem nieszczęść, społeczeństwie. Idąc pierwszy w ogień, narażał co minuta zdrowie i życie.

Starzec, któremu zaraza zabrała całą rodzinę, to znaczy: wszystek blask i wszystką siłę gasnącego już żywota, nie uciekł przed groźnem widmem na puszczę, do celi klasztornej lub do grobu samobójczego. Wyciągnionemi ramionami przygarnął do piersi całe miasto ukochane; wszystkich współobywateli ojcem się uczynił.

— Wy odtąd — rzekł — stajecie się rodziną moją; was osłaniać i bronić jest jedynym życia mego celem...

Takich mężów rodziła *Antiqua Varsovia.*

Spodziewano się, że morowi, który narodził się w jesieni, kres położy zima. Nie spełniły się te nadzieje. Zima z roku 1624 na 25 nie była ani trochę polską zimą. Ciepła, ślimacza, zgniła, pełna mgieł brudnych i niezdrowych wyziewów, zdawała się przeniesioną z innych krajów, z pod obcego nieba.

Styczniowe i lutowe przymrozki przytłumiły chwilowo zarazę — ale już w marcu wypełzła z zasadzki z poprzednią zajadłością, a w kwietniu, z całej Warszawy uczyniła w połowie szpital, w połowie cmentarz.

Wyjątkowo krwawa musi być walka, w której główni wodzowie padają. A wówczas tak właśnie się stało. Jakby od jednego zamachu kosy położyli się równocześnie burmistrze Starej i Nowej Warszawy: Jan Korb i Jan Bucefał. Opróżnione stanowiska zaraz zapełniono — lęk wszakże padł na wszystkich, nie wyłączając najwyższych, z pozoru najsilniejszych.

Już nie tylko na padole, lecz i na szczytach śmierć czyniła szczerby. Szeregi patrycyatu warszawskiego przerzedzały się. Dygnitarze świeccy i duchowni, pospolu z biednym, wyrobniczym tłumem, zaludniali smutne pustkowie pod «Górą Szubieniczną». Nikt jednak stanowiska nie porzucił, nikt nie shańbił się dezercyą.

Coraz więcej czarnych krzyżów zjawiało się

na bramach i murach kamienicznych. Już były całe ulice zagrodzone palisadami, zabite na «głucho». Aby odłączyć chorych od zdrowych, zaczęto ich wynosić na Kępę Polkowską.

Przy pierwszej wyprawie w głębię kępy, wysłańcy natknęli na spróchniałą ruderę, a w niej na szczątki ludzkie. Pod walącą się ścianą, w gąszczy chwastów, które go do połowy zakrywały, siedział w długiej do kostek koszuli trup szlachcica, wybawiciela Jagi, z duchami swych dziatek niegdyś obcującego. Zwłok, na kość wyschniętych, nie tknęły zwierzęta ani owady. Trup wydawał się żywym człowiekiem, a raczej ożywionem widmem, które za chwilę wstanie i natrętników z samotni swej wypędzi...

Wysłańcy uciekli, a Horlemes, który miał tę sprawę powierzoną sobie przez magistrat, kazał szałasy dla chorych zbudować na samem pobrzeżu Kępy.

Wystąpiło niebawem zwykłe potomstwo zarazy: głód, nędza, rozboje.

Sprawy publiczne szły zwykłem trybem, bo one u nas zawsze i nad wszystkiem górowały, ale w handlu i rzemiosłach panował zastój zupełny. Bogatsi przetrzymali go dzięki zapasom, w lepszych czasach zgromadzonym; bieda chleba powszedniego dotknęła.

Namnożyło się żebraków. Tłumy ludzi wybladłych, półnagich snuły się po mieście, wycią-

gając ręce, mrucząc głosem ponurym prośby, często groźbom podobne. Ludziom dostatniej wyglądającym niebezpiecznie było zapuszczać się w boczne uliczki. Otaczała ich tam zaraz kupa obdartusów, ściskając, szarpiąc, do kieszeni i do gardła sięgając. Jeśli milicya miejska nie przyszła napadniętemu z pomocą, zabierano mu mieszek z pieniędzmi, ściągano z palców sygnety, niekiedy i odzież kosztowniejszą z pleców.

Atmosfera grozy wisiała nad miastem, nakształt ciężkiego, duszącego oparu. W tej atmosferze lęgły się widma i potwory. Nie tylko ludzie gorączkujący, lecz i zdrowi miewali widzenia. Często w mgle przedporannej albo w ognistych łunach zachodu ukazywała się ludowi «dziewica morowa». Niekiedy idąca pustym placem niewiasta padała nagle na kolana, i drżąc całem ciałem, z oczyma konwulsyjnie przewróconemi, krzyczała: «Homen!... homen!...» Tłum się zbiegał — jedni drugim pokazywali unoszące się w powietrzu straszne, krew mrożące zjawisko. Na wozie, zaprzężonym w końskie skielety, jechał kościotrup w czarnej płachcie — dokoła wozu tańczył, rzucał się, podrygiwał korowód trupów ludzkich i zwierzęcych.

Ulegały rozkładowi nie tylko ciała, lecz i dusze. Pojawili się obdzieracze trupów; pojawili się naśmiewcy, urągający powadze i świętości śmierci. W dyaryuszu współczesnym zapisano

o nich: «Nieprzystojnie chowali ciała ludzkie, szaty ściągnięte z nich przedawali, w domach brali zapowietrzonych nieprzystojnie i pośmiechy rozmaite z umarłych czynili»...

Z tem wszystkiem mocować się musiał Łukasz Drewno.

Walczył mężnie, jak bohater i jak święty — bywały jednak chwile, że mu sił brakło, że pod ciężkiem brzemieniem ugięty, czuł się blizkim upadku.

Wówczas Bóg wejrzał na sługę swego i zesłał mu dwoje młodych silnych sprzymierzeńców: Hanusię i Krzysia.

VIII.

Krzyś i Hanusia tworzyli teraz jedno. Widywano ich zawsze razem, zawsze przy sobie. Byli zaś ciągle na oczach ludzkich, bo się sługami ludzi uczynili.

Stara Drewnowa pobłażliwie na to patrzyła. Zmieniły się okoliczności, i zmienił się pogląd ambitnej mieszczanki na wiele spraw i ludzi. Czego nie dopuszczonoby «sławetnemu» Dąbkowi, to musiał mieć sobie dozwolone Dąbek «szlachetnie urodzony».

Krzyś był już szlachcic prawy; nobilitacyę jego publicznie ogłoszono. Nikt zaś nie mógł go

przezywać «skartabellą», miał bowiem szlachectwo nie świeżo nadane, lecz przywrócone. Był szlachcic z ojca i dziada.

Powrócił z jasyru biedny, zwątpiały, nie wiedząc czem będzie, ani nawet czem jest właściwie w chwili obecnej. Przywlókł się do miasta o samej północy; nieśmiało do Dworku Bocianiego zakołatał. Kołatanie powtarzać musiał kilka i kilkanaście razy, zanim nareszcie drzwi mu otwarto.

Brat przywitał go uściskiem gorącym ale krótkim, i zaraz wystąpił z przestrogą:

— Uważ, miły Krzychu, że spanie to sprawa niemałej wagi. Mnie, gdy śpię, wolno budzić jeno: Grecie mojej i — pachołkom marszałkowskim. Gdy przeto znajdziesz się jeszcze kiedy w podobnej, jak dziś, okazyi, przybycie swe do dnia białego odłóż.

Wskazał Krzysiowi posłanie, i sam natychmiast do pościeli wrócił.

Krzyś położył się spać jako nędzny, bezdomny pielgrzym, pełny smutku i zniechęcenia — zbudził się szlachcicem, bogaczem, otoczonym czcią i miłością.

Petrus Quercus opiekował się mieniem brata, jak swem własnem. Choć upewniano go, że brat w jasyrze zginął, że jest szaleństwem w powrót jego wierzyć — działu jego nie tknął i do śmierci za nietykalny uważać go postanowił. Nie po-

mnożył mienia Krzysiowego, bo nie miał po temu zdolności, lecz go i nie uszczuplił. Wielka fortuna Krzysia powróciła doń w całości.

Więcej jednak, niż fortuną i szlachectwem, ucieszył się młody Dąbek wiadomością o swym wrogu i współzawodniku.

— Hanusia wolna... wolna... wolna... — powtarzał sobie po sto razy na godzinę, nie mogąc się nacieszyć dowoli melodyą tych słów, słodyczą tej myśli.

Pierwsze jego wyjście z domu było do Fary, do cudownego Pana Jezusa. Poszedł, nie przebierając się, w łachmanach pielgrzymich, z brodą po pas, z napoły bosemi, okaleczonemi stopami. Krzyżem leżał długo, w piersi się bił i płakał. W łzach roztapiała się, ze łzami spływała wielka gorycz jego serca, wielka tęskność jego sierocej duszy.

Dopiero w kilka dni później odważył się pójść do Drewnów. Poszedł z sercem zamierającem, czując, że dąży po wyrok życia lub śmierci.

Przyjęto go nadspodziewanie dobrze. Znalazł w domu smutek, żałobę — ale znalazł także spojrzenia życzliwe, ośmielające, słowa przyjazne, budzące otuchę. Obejście się Drewnowej wskazywało, że już z jej serca dawna niechęć ustąpiła. Wobec śmierci Zboińskiego a nobilitacyi Dąbka inaczej być nie mogło.

W Hanusi zauważył zmianę. Była piękniej-

sza jeszcze, ale jakby wyanielona. Czoło miała do nimbusa, barki do skrzydeł, ręce do palmy męczeńskiej. Twarz jej, wpierw jednostajnie alabastrową, ożywiał teraz prześliczny, różany rumieniec; oczy silnie błyszczały, nie opuszczając się, jak dawniej, ku ziemi, lecz patrząc prosto przed siebie, a często ku niebu się podnosząc.

Wielka, duchowa piękność ukochanej czyniła Krzysia nieśmiałym — przygnębiała go prawie.

Ale Hanusia, razem z wyanieleniem wewnętrznem, nabrała wielkiej prostoty w obejściu się, w słowach. Tą prostotą podniosła i zmężniła młodzieńca.

Niewiele słów poświęcono osobistym smutkom i osobistym nadziejom. Już w stolicy panował mór; już groza wisiała nad wszystkimi. Rozmowa rychło na ten przedmiot przeszła.

Hanusia przeprosiła gościa — z przywołaną służebną zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Kładły obie do woreczków: flaszeczki, słoiki, bieliznę, odzież, pożywienie.

Nagle panienka do Krzysia się zwróciła:

— Pomnisz waszmość one słowa święte: «Potrzeba abyśmy się społem znosili»...

— «Społem cieszyli, społem ratowali, ćwiczyli i napominali» — dokończył młodzieniec tchem jednym.

— Chodź przeto, dokąd idę. Społem pełnić będziemy dzieło boże.

Poszedł i odtąd już codziennie razem chadzali.

Hanusia stała się aniołem opiekuńczym cierpiących. Żadna postać nędzy i bólu nie była dla niej straszna ani wstrętna. Nie czyniła wyboru pomiędzy nędzarzami; nie cofała się przed niczem; na nic oczu nie zamykała. Razem z nią wchodziło wszędzie światło, wchodziła anielskość. Najciemniejszą norę rozjaśniał blask, bijący od jej oblicza; barłog Hiobowy przy niej i od niej nabierał świętości ołtarza.

Chorzy dostawali od niej lekarstwa, umierający modlitwę, głodni pożywienie, nadzy odzież. Sieroty od trumien rodzicielskich zabierała do siebie, potem, pieniędzmi opatrzywszy, dawała dobrym ludziom na wychowanie. Wdowców i wdowy oraz osieroconych przez śmierć dziatek rodziców krzepiła słowami mądremi, które budziły w nich moc do dalszego, samotnego żywota. Gdzie były ręce zwieszone bezradnie, zajęła je robotą; gdzie warsztat bezczynnie stanął, w ruch go wprawiła; gdzie zagasło ognisko, rozniecila je na nowo.

Cichej ongi dzieweczce Bóg udzielił daru wymowy. Gorącemi, natchnionemi słowy tyleż działała, co jałmużną i czynnem miłosierdziem. Wiedziała wszakże, gdzie kończy się moc słowa, gdzie zaczyna potęga czynu. Codziennie wycho-

dziła z domu z pełnym mieszkiem; wracała bez jednego denara.

Bogactwem, odziedziczonem po ojcu mogła była zarządzać dowolnie — oddawała je bez liczby biednym. W miłosierdziu, ręka jej była szczodra i rozrzutna.

Pracowała w znoju ciężkim od świtu do nocy. Pożywiała się naprędce, byle czem i byle jak. Sen mało mógł ją pokrzepić — większą część nocy zabierała jej modlitwa. Gardziła wszelką wygodą cielesną. Sypiała na twardej desce — pewnie nawet we włosienicy.

A przecie kwitła. Kwitła jak lilia i jak róża. Twarz miała zawsze rumianą, oczy błyszczące. Stałym wyrazem jej oblicza była błogość. Błogość płynęła z przeświadczenia, że odnalazła swą drogę właściwą, swe przeznaczenie — siebie samą...

Krzyś czynił wszystko, co czyniła Hanusia. Przestał zupełnie żyć dla siebie. Bliźni był dlań wszystkim, zwłaszcza bliźni cierpiący. Ile tylko zysku przynosiła mu fortuna, obracał to na jałmużny. Oswoił się z widokiem chorych, konających i umarłych. Do najnędzniejszej posługi był każdej chwili gotowy, gdy tylko wiedział, że ona przyniesie ulgę cierpiącemu.

Mieszczanie, widując ich zawsze razem, nazywali: bratem i siostrą. Doszło to do ich uszu i zadowolenie im sprawiło. — «Czemużbyśmy

sami tak się zwać nie mieli?» — rzekli sobie. Byli już zresztą wpisani do «Bractwa Miłosierdzia», które ksiądz Skarga przy kościele Ś. Jana założył.

Odtąd Hanusia mówiła do Krzysia: «bracie». Jemu za każdym razem chóry anielskie śpiewały w duszy: «Hosanna!»...

Rozmawiali mało — nigdy zaś o sprawach osobistych, powszednich.

Jednego dnia Hanusia nad siły się uznoiła. Pot ją oblał, nogi jej drżały; zbliżał się wieczór, a ona od rana nic w ustach nie miała. Mimo to postanowiła iść jeszcze na «Rybitwę», gdzie w opuszczonym domku leżeli zapowietrzeni, nikt zaś nie mógł im dać ratunku, gdyż magistrat uliczkę palisadą zagrodził. Krzyś zaczął energicznie upominać dzieweczkę, żeby wracała do domu posilić się, odpocząć. Zatrwożony o ukochaną, starał się ją przekonać, że przeciw woli bożej postępuje, narażając zdrowie i życie...

— Co mówisz, bracie! — wykrzyknęła. — Aza nie wiesz, jako święta Małgorzata, królowa szkocka, wpierw dwudziestu czterech ubogich, własną ręką, obsłużyć i nakarmić musiała, zanim do obiadu siadła? A rannego posiłku nie tknęła, póki dziewięciorga sierotek nie odziała, nie dopilnowała w pacierzach i nie posiliła. Jakiż zaś był sen tej świętej pani? Przed północą, z pierwszego snu zrywała się na jutrznię — od-

mawiała godzinki o Świętej Trójcy, o Swiętym Krzyżu, o Matce Bożej, potem wigilie za umarłych i Psałterz calusieńki. Ledwie dniało, szła ubogim niewiastom nogi umywać i jałmużnę dawać. Do nocy nie ustawała w pracy, w znoju, w posługach. A ty chcesz, bracie, żebym ja czyniła sobie odpoczynki, gdy bliźni bez pomocy umierają ?!...

Takich przykładów miała zawsze pełno w myśli i na ustach.

Niekiedy, mając chwilę wytchnienia, spowiadała się towarzyszowi z pragnień swych i rojeń.

— O! jakżebym chciała posiadać moc świętej Maryi z Egni, która nie jeno krzyżem świętym, lecz samem dotykaniem ręką leczyła! Jakże byłabym szczęśliwa, gdybym mogła, jak ona, z objawienia bożego widzieć niebezpieczeństwo grożące duszom od czarta, i pomagać onym modlitwą, postem i upomnieniem!

Ubolewano raz przed Hanusią, że kapłanów kilku i kilku członków Bractwa Miłosierdzia, posługując chorym, zaraziło się i zmarło. Krzyś wyraził obawę, że i w Warszawie zbraknąć może posługi — zwłaszcza gdy ludzie miłosierni bez uwagi i pamięci narażać się będą na niebezpieczeństwo.

— Zaniechajcie swych obaw, ludzie ducha małego! — rzekła panienka. — Nie słyszeliście że o wielkiej zarazie w Siennie, gdzie posługę przy

zapowietrzonych bractwo Panny Maryi czyniło? Na tej posłudze umarło braci dwudziestu i dwóch, sióstr ośmnaście; kapłanów dziewięciu; kleryków pięciu, aptekarzów, co leki chorym przyrządzali, siedmiu; czeladzi do grubszej posługi sześćdziesięciu. Przełożony zatrwożył się, że mu członków zabraknie, do Pana Boga o pomoc wołał. I tejże chwili ofiarował mu się do posługi święty Bernardyn, młodzianek dwudziestoletni, za nim przyszło siła innych, i bractwo pozyskało tylu członków, że mu na każdą potrzebę wystarczali.

Jakby na potwierdzenie tych słów, Hanusi przybył wkrótce świeży, niezmiernie użyteczny współpracownik.

Był nim doktór Novi.

IX.

«Czarny Doktór» nie chadzał razem z Krzysiem i Hanusią. Ale, ile razy był potrzebny, zawsze zjawiał się przy nich — z pod ziemi, rzec można, wyrastał.

Był to mąż średnich lat; ubierał się z włoska, poważnie i wykwintnie; sam też poważny był i wykwintny. Nadzwyczaj oszczędny w słowach, zamknięty w sobie, chmurny, zdawał się wyższy nad ludzi powszednich, obojętny dla

nich — obcy zarówno ich radościom jak troskom.

Niewielu już było tych, co go pamiętali z lat dawnych. O tem, że z Zamku, od króla uciekł, że był pilnie poszukiwany i przez umyślnych «kursorów» goniony, doszczętnie już zapomniano. A jednak łatwy był do poznania. Dwadzieścia trzy lat, które ubiegły od owych czasów, ani trochę go nie zmieniły.

Nikt nie wiedział skąd przybywa, gdzie mieszka, dokąd po dniu pracowitym odchodzi. Na jego czarnej odzieży nie widziano nigdy pyłu, na obliczu zmęczenia — z jego ust nie wybiegała nigdy głośna skarga, ani ciche westchnienie.

Bano się go — i czczono. Czynił ludziom wiele dobrego, z pobudek, które trudno było odgadnąć. Nie wzruszał się, nie rozrzewniał; marmurową twarzą przyjmował dziękczynienia i przekleństwa.

Hanusia, która w żadnym wypadku nie traciła anielskiej pogody ducha, przy nim jednym czuła się zakłopotaną.

— Męczy mnie ten człowiek... — zwierzyła się raz Krzysiowi.

Zaraz jednak dodała:

— Ale i pociąga ku sobie.

Dla Krzysia, doktór Novi był od początku drażniącą zagadką. Pamiętał go dobrze z lat chłopięcych, ze spotkania nocnego w zamko-

wych korytarzach. Ale pojąć nie mógł, jakim sposobem lata ubiegłe śladu na nim nie zostawiły — nie wypisały jednej zmarszczki na obliczu, nie pobieliły jednego włoska na głowie i brodzie?

Ze wspomnieniem chłopięcem mieszały się inne, późniejsze. Grand hiszpański z Rynku warszawskiego, rudy korsarz z Gdańska, pielgrzym z pod Chocima, wszystkie zagadkowe postacie, co mu w życiu drogę zachodziły, miały ten sam wyraz oblicza, toż samo znamię wyniosłej obojętności, które «Czarnego Doktora» czyniły tak bardzo podobnym do posągu...

Z wątpliwościami swemi zwierzył się Hanusi.

— Bracie! — rzekła panienka — co ciebie dręczy jako wątpliwość, dla mnie jest prawie pewnością. Nasz doktór i ów, co mię z klasztoru zabrał i pod dach rodzicielski przywiódł, zdają mi się tąż samą personą. Ciągnie mię drugdy na szyję mu się rzucić, ręce ucałować i łzami oblać... A wżdy milczę i zdala się trzymam, tak mię mrozi chłód, co odeń wieje.

Krzyś zamyślił się. Po chwili spytał:

— Jestżeś pewna, siostro, że to mąż święty?

— Pewnam, że świętobliwy — z przekonaniem odrzekła.

— Mnie się zda wielce uczony.

— Nie jeno uczony. Sama uczoność nie zrodzi dzieł, jakie on mocen czynić.

Rozmowa urwała się. Znać było, że jedna i druga strona wiele w niej nie dopowiedziały.

Lud warszawski nazywał Włocha w oczy: cudotworcą, za oczy: czarodziejem. Mówił o nim, że nawet umarłych wskrzeszać potrafi, żaden zaś chory, przez niego leczony, nie umrze.

Byłoż to prawdą? Ależ w takim razie skądżeby się brały procesye pogrzebów, ciągnące od świtu do zmierzchu ku Górze Szubienicznej?

Jedno było pewne: że Czarny Doktór zawsze wyleczał tego, kogo chciał wyleczyć. Na nieszczęście, nie zawsze chciał. Pod tym zaś względem, woli jego zmienić nie mogły żadne prośby, dary, zaklęcia. Nawet przed prośbami Hanusi nie ustąpił.

Wogóle jego stosunek do chorych był bardzo niezwykły. Zanim przystąpił do leczenia, poddawał pilnemu egzaminowi otoczenie chorego. Dopytywał o jego stosunki rodzinne i zawodowe, o charakter, o obyczaje, o opinię, jaką ma u bliźnich. Dopiero na podstawie zebranych wiadomości osądzał: czy podjąć się leczenia, czy je komu innemu pozostawić?

Gdy zgodził się leczyć, wówczas odchodził na stronę i modlił się gorąco. Skończywszy modlitwę, mówił:

— Siła moja jest ze mną. Uzdrowię tego człowieka.

Kazał wszystkim odstępować od łoża — sam

na sam z chorym pozostawał. W krótkim czasie chory uczuwał znaczne polepszenie; po kilku dniach wstawał zupełnie zdrowy.

Czem i jak Czarny Doktór leczył, pozostawało dla wszystkich tajemnicą. To wszakże pewne, że nie używał żadnych zgoła lekarstw. Co dziwniejsze, i co prostaczków w najwyższe podziwienie wprawiało, nie posługiwał się też żadnymi znakami kabalistycznymi. Pewien krzyż kształtu niezwykłego, który nosił zawsze przy sobie, był w jego ręku raczej symbolem, niż talizmanem.

Pewnego razu rozżalona Hanusia wymawiała mu — niemal strofowała go — że zamiast wszystkich leczyć, wybiera tylko niektórych. Odpowiedział:

— Ani ja czynię wybór, ani ja uzdrawiam. Bóg spełnia przeze mnie jedno i drugie. Bóg też wie najlepiej: kto na ziemi pozostać ma, a kto zbyteczny.

Zbytecznych było snać wielu, bo Warszawa wyludniała się w sposób przerażający.

Brakło już lekarzów do niesienia pomocy; brakło księży do jednania z Bogiem; brakło nawet «kopaczów» do trupów grzebania.

Największe wysiłki Hanusi i Krzysia szły na marne, jakby im Bóg przestał błogosławić.

I przyszła na świątobliwą panienkę chwila duchowego omdlenia. Nie trwała w niem wszakże

długo, a ocknąwszy się, i ducha nabrawszy, rzekła do towarzysza:

— Modliłam się do Boga i jeszcze modlić się będę, aby obdarował mnie łaską, której dostąpił był święty Makary.

— Jakaż ona, siostro? — zapytał Krzyś z niepokojem.

— Gdy w mieście Gandawie panowało powietrze, święty Makary prosił Pana Boga, aby mu pozwolił cierpienia innych przyjąć na siebie. Dla zadośćuczynienia gniewowi Pańskiemu, życie swoje ofiarowywał. Ofiara została przyjęta. Święty, temże powietrzem zarażony, po trzydniowych ciężkich mękach życie zakończył. Z Gandawy zasie powietrze ustąpiło.

Krzysiowi łzy wielkie w oczach stanęły — milczał jednak...

X.

W samo południe jednego dnia skwarnego, Hanusia, ciężko spracowana, szła ku domowi, aby posilić się nieco i spocząć. Słaniającą się ze znużenia podtrzymywał Krzyś — inaczej, pewnieby upadła. Mimo to, była zadowolona, prawie wesoła. Udało się jej wyrwać ze szpon śmierci dziatek kilkoro, dla niemowlątek zaś najwięcej miała zawsze miłości i współczucia.

Co kilka kroków panienka zatrzymywała się. Odwróciwszy głowę, posyłała spojrzenie pełne wdzięczności postępującemu w pewnem oddaleniu Czarnemu Doktorowi. Doktór był dziś łaskawszy, niż zwykle: żadnej prośbie nie odmówił, szedł wszędzie, dokąd go wezwano.

Już byli blizko kamienicy Drewnowskiej, gdy im drogę zabiegła kobieta stara, w łachmanach. Starucha z lamentem głośnym opowiadała, że komornica u strażnika wieżowego, oraz jej wnuczął dwoje ciężko zachorzeli, że od wczoraj leżą w gorączce, przez wszystkich opuszczeni, bez lekarstwa, bez posiłku, bez kropli wody...

Hanusia bez namysłu rzekła:

— Prowadźcie, dobra niewiasto.

I nie zważając na uwagi Krzysia, ramię nawet jego odsunąwszy, udała się za przewodniczką, w stronę przeciwną domowi.

Dąbek i Doktór, radzi nie radzi, poszli jej śladem.

Kobieta przeszła kilka ulic, minęła Zamek, i wzdłuż muru miejskiego, ścieżką wyboistą, pełną śmieci, chwastów i kamieni, wiodła ich ku Wiśle.

Po dość długiej przeprawie, podczas której trzeba było ciągle patrzeć sobie na stopy, aby nogi nie wykręcić, lub w fosę nie wpaść, przewodniczka zatrzymała się.

— To tu, proszę łaski wielmożnego państwa — jęczącym głosem obwieściła.

Podnieśli głowy.

Nad nimi wielką, pękatą, brudno-czerwoną masą sterczała — Baszta Narożna.

Krzyś zadrżał. Po dwudziestu trzech latach, wracał tam, skąd wyniósł pamięć najuroczystszej i najsmutniejszej chwili żywota.

Nie było czasu na rozpamiętywanie. Starucha wązkim, nizkim otworem wprowadziła ich do wnętrza Baszty. Po stromych, ceglanych stopniach, wśród mdlącego zaduchu zgnilizny, iść musieli pod górę.

Po kilku chwilach, znaleźli się w dużej, ponurej izbie, która, mimo pory południowej, była prawie ciemna. Krzyś ze wzruszeniem rozejrzał się dokoła.

Ściany izby były jakby krwią skrzepłą powleczone; skośne jej okienka zdawały się zezem na świat patrzeć. Wysokiego pułapu prawie wcale widać nie było. Zwieszały się stamtąd sploty grubych sznurów, jak z szubienicy.

Tak, to była ta sama izba.

Brakło w niej tylko Dorotki i jej dziecięcia...

Na barłogu, w kącie, leżała staruszka woskowo-żółta, trupowi żyjącemu podobna. W pobliżu niej, na gołej, ceglanej podłodze, tarzało się dziatek dwoje. Babka jęczała głucho; wnuczęta na cały głos krzyczały.

Hanusia pozdrowiła chorych imieniem bożem, i zaraz przy pomocy Krzysia i przewodniczki, do roboty przystąpiła.

Barłóg został nakryty prześcieradłem czystem; w drugim kącie izby urządzona pościółka dla dzieci. Opuchnięte, rozpalone twarze obmyto chorym chłodną wodą; napojono ich i nakarmiono. Krzyś po drabince, która się w kącie znalazła, dostał się do wysokiego okna, otworzył je, świeżego powietrza od Wisły wpuścił.

Teraz dopiero obejrzano się za doktorem.

Nie było go w izbie...

Zafrasowała się Hanusia.

— O innym lekarzu pomyśleć nam trzeba... — rzekła półgłosem do Krzysia. — U naszego jużeśmy w niełasce.

— Coś do niego przystąpiło — zauważył Krzyś. — Rzucił nas, nie pożegnawszy.

— Bóg z nim! My przecie rąk nie opuszczajmy.

Sięgnęła do woreczka, gdzie miała leki najpotrzebniejsze. Dała chorym mikstury uśmierzającej gorączkę, dała maści do smarowania nabrzmiałych pod pachami gruczołów. Zawiesiła im na szyjach medaliki z wyobrażeniem świętych: Rocha i Benona, patronów od morowej zarazy.

Na ścianie, w miejscu najświatlejszem, gdzie

smuga słonecznego blasku z okienka wpadała, przybiła mały krucyfiks.

Czyściej, jaśniej zrobiło się w izbie. Powiało na nią tchnienie powagi, ładu, świętości. Jęki i krzyki ucichły. Przez kilka chwil było słychać szept modlitwy; potem i on rozpłynął się w powietrzu.

Chorzy zasnęli.

Hanusia nie odchodziła. Krzątała się po izbie, wydając polecenia starej posługaczce. Zostawiła jej zapas leków i żywności, dała pieniędzy — potem ją wyprawiła na miasto po lekarza.

Uczyniwszy wkońcu znak krzyża nad choremi, do Krzysia się zwróciła:

— Chodźmy, bracie...

Ale Krzyś, który siedział na nizkiej ławce pod oknem, tak był w myślach zatopiony, że wezwania nie słyszał.

Powtórzono je raz drugi — również bezskutecznie.

Panienka podeszła do towarzysza, ręką ramienia jego dotknęła.

On tę rękę ujął ostrożnie, ze czcią, jak się ujmuje klejnot niesłychanej wartości — usta swe do niej przybliżył — pocałował. Przy pocałunku, płaczem wybuchnął. Na żywy, ciepły alabaster, żyłkami błękitnemi poznaczony, upadły jego łzy gorące.

Głosem kornym, uroczystym i tak cichym,

jakby z głębokości niezmiernej wypływał, poprosił panienkę, aby usiadła i wysłuchała co jej powie.

Hanusia instynktem dziewiczym odgadła, że chwila jest ważna i święta. Zajęła miejsce obok towarzysza, główkę ku niemu pochyliła.

On wówczas otworzył przed nią serce — w długiem, przerywanem opowiadaniu wyjawił jej tajemnicę Dorotki, jej dziecięcia — przysięgi, którą złożył, poszukiwań, które czynił, wątpliwości, które mu duszę szarpały...

Skończył namiętnem zaklęciem:

— Prze Boga i wszystkich świętych! dla pamięci tej, której dusza męczeńska z tego miejsca do nieba uleciała! powiedz, siostro najmilsza: jestżeś tą, której szukam i pragnę?

Ona milczała, z twarzą ukrytą w dłoniach, z piersią łkaniem wstrząsaną.

— Hanuś moja! — wykrzyknął głosem prawie rozpaczliwym.

Odjęła ręce od twarzy i obie na szerokiej jego dłoni złożyła.

— Twoja!... — odrzekła, płaczem się zanosząc.

Nic więcej ze sobą nie mówili.

Wstali i za ręce się trzymając, z izby wyszli. Wychodzili jak najciszej, żeby chorych nie zbudzić.

Gdy z ciemności na światło się wydostali, i stanęli przed Basztą, rąk nie puszczając, wy-

dawali się cudownie przemienieni. Twarze ich płonęły, oczy błyszczały — blask bił od obojga.

Stali tak przez chwilę, dziwiąc się słońcu, że tak jasne, niebu, że tak lazurowe, drzewom, że się tak cudnie zielenią, ptactwu, że tak rozkosznie świergocze.

Nagle dobiegł ich płacz ludzki.

Rozejrzeli się dokoła — nie dostrzegli nikogo.

Płacz wszakże nie ustał.

Zawsze skłonni do współczucia, w tej chwili godowej stokroć silniej mu ulegali. Porozumieli się uściskiem i poszli szukać nieszczęśliwego.

Nie znaleźli go ani w sadzie warzywowym, co zielenił się w pobliżu, ani wśród cegieł i kamieni, których dwie sterty leżały niedaleko. Dopiero, gdy okrążyli Basztę, po przeciwnej stronie ukazał się im człowiek płaczący.

Na jego widok skamienieli z podziwu.

Pod starym, powyszczerbianym murem, z głową odkrytą, z rękoma załamanemi, z czołem o kamień opartem, z wyrazem bezgranicznej rozpaczy w obliczu i w całej postaci, stał i płakał — Czarny Doktór.

Zrozumieli, że byłoby okrucieństwem zdradzać swą obecność. Cofnęli się po cichu, i w milczącej zadumie powrócili do miasta.

Krzyś odprowadził Hanusię do Drewnowej; sam udał się do swego dworku na przedmieściu, gdzie mieszkał od wiosny.

Przed wieczorem pójść mieli do Fary, na sesyę Bractwa Miłosierdzia. Nie poszli jednak U obojga wystąpiły w jednym czasie złowrogie objawy zarazy morowej.

Fatalna moc, z którą przez tyle miesięcy walczyli zwycięsko, i ich wkońcu dosięgła i zmogła.

Rozesłano gońców po lekarzy — po Noviego przedewszystkiem.

Czarnego Doktora nie było nigdzie w obrębie murów miejskich. Po długiem szukaniu, znaleziono go za miastem. Siedział na kamieniu polnym, długą laską kreślił na piasku dziwne figury.

Oświadczył wręcz, że nie będzie leczył ani Hanusi, ani Krzysia. Głuchy był na prośby i błagania; obojętny na skarby, które mu ofiarowywali: z jednej strony Drewnowa, z drugiej Piotr Dąbek.

Wysłańcom, zewsząd go naciskającym, oświadczył tonem niewzruszonej stanowczości:

— Moc moja wyszła ze mnie. Zwyciężony przez ziemską miłość, zwyciężony przez ziemską boleść, nic już zdziałać nie mogę. Zresztą — dodał, głowę z rezygnacyą pochylając — ofiara spełnić się musi...

XI.

Po trzech dniach szalonej, odbierającej przy
tomność gorączki, Krzyś zbudził się jakby z j
targu. Dozorczyni spała — w komnacie było cich
Usiadł na pościeli; drżącą z osłabienia ręk
ściągnął z trudem zasłonę, która okno zakry
wała. Czuł się zupełnie przytomnym.

Wschodziło słońce — ogromne, żarem bucha
jące, ognistymi obłoczkami, niby stadem ptaków
złotopiórych, otoczone.

Wielka jasność olśniła chorego: musiał przym
knąć oczy.

Zaledwie to uczynił, ujrzał się wśród wie
kiej, bezkreśnej, błękitno-złocistej przestrzen
w której drżała przyciszona harf niezliczonyc
muzyka. Ubrany w szaty weselne szedł po zł
tych obłokach naprzeciw Hanusi, która w bi
łej, ślubnej sukni, z wiankiem na rozpuszcz
nych włosach, zbliżała się ku niemu uśmiec
nięta, obie ręce mu podając...

O tej samej godzinie i minucie, w takich s
mych okolicznościach, takież samo widzen
miała Hanusia. Szła naprzeciw Krzysia.

Zaraz po tem widzeniu, które ich ślube
mistycznym na całą wieczność złączyło — obo
pomarli.

XII.

Petrus Quercus napisał bratu swemu i niedoszłej bratowej «trefne» epitafia. Potem żył jeszcze długo w Dworku Bocianim, miewając coraz młodsze Grety, coraz starsze wino i sycąc się, a nigdy nasycić nie mogąc, Horacym i Kochanowskimi.

Drewnowa, dogadzając swej próżności, wyszła za mąż za zubożałego, dwudziestoma laty młodszego od siebie szlachetkę, który fortunę jej roztrwonił, a ją samą porzucił.

Dokonała żywota w klasztorze Klarysek, na dewocyi.

Wkrótce po pogrzebie Krzysia i Hanusi (w jednej mogile ich pochowano), Bramą Krakowską wyszedł z Warszawy pielgrzym. Był to starzec zgrzybiały, z wielkim orlim nosem, z głęboko zapadłemi oczyma, z brodą białą, jak mleko.

Wyglądał na dziadka tego pielgrzyma, co przed kilku miesiącami, pełen siły i dostojności, wstępował do kamienicy Drewnowskiej...

KONIEC.